

H.M. WARD

Autorka
bestsellerów
"New York
Timesa"

ZGADZA SIĘ.
ŻYCIE TO NIE BAJKA.

ZRANIENI

W ŻYCIU NIE MA OPCJI „COFNIJ”

 **editored**

Tytuł oryginału: Damaged 1

Tłumaczenie: Anna Hikiert

Projekt okładki: ULABUKA

ISBN: 978-83-283-3088-7

Copyright © 2013 by H.M. Ward

No part of this book may be reproduced, scanned, or distributed in any printed or electronic form.

Polish edition copyright © 2017 by Helion S.A.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63 e-

mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

Rozdział 1.

Zżerają mnie nerwy. Nie mogę przestać myśleć, że powinnam zwiewać gdzie pieprz rośnie. Z całej siły staram się opanować drżenie rąk i podchodzę do drzwi ekskluzywnej restauracji. Millie, moja najlepsza przyjaciółka, uraczyła mnie dziś rano po wyjściu z pokoju w akademiku ckliwą historyjką — podobno poznała jakiegoś zajebistego kolesia, który namawiał ją na podwójną randkę. Moją pierwszą reakcją było: nie, nie i jeszcze raz nie!

Ostatnim razem, kiedy Millie próbowała mnie wrobić w coś takiego, skończyłam na randce ze znerwicowanym kleptomanem! To, co mogło się spieprzyć, oczywiście się spieprzyło. Facet zgarnął wszystko... oprócz, oczywiście, rachunku. Poprzednim razem... cóż, wcale nie było lepiej. Chyba coś źle zrozumiałam i randka skończyła się dla mnie akcją z użyciem gazu pieprzowego.

No dobra — może to była moja wina. Może jestem zbyt nerwowa i nieufna. Prawda jest taka, że kiedy wydarzy się coś złego, nie ma sposobu, żeby to odkręcić. Niestety, w prawdziwym życiu nie ma opcji „cofnij”. Nie możesz po prostu wymazać wszystkiego i zacząć od nowa. Nieważne, z iloma facetami się umawiam, mój mózg wciąż raz po raz odtwarza wspomnienia z tamtej nocy.

Przez większość czasu przeszłość prześladowuje mnie niczym wielki, złowrogi cień bestii, kładący się na wszystkim, co robię. Czasami wydaje mi się, że słyszę zza ramienia jej złośliwy głos, który zmusza mnie do powrotu myślami do tej strasznej nocy. Wówczas mam ochotę tylko krzyczeć.

Na myśl o umówieniu się na randkę mam dreszcze. Samo wspomnienie o tym, że mam się z kimś umówić, sprawia, że słyszę człapanie wielkich łap bestii tuż za moimi plecami. Serce zaczyna mi walić jak młotem i pocą mi się dłonie. Tak bardzo chciałabym to zmienić! Muszę coś z tym zrobić! To trwa już stanowczo zbyt długo. Życie przecieka mi między palcami. Sama czuję się jak ta bestia na smyczy. Byłe potknięcie sprawia, że upadam... i to właśnie dlatego jestem tu dzisiaj. To dlatego próbuję. Jeżeli nie będę parła naprzód, runę w przepaść. Rzygam już od rozdrapywania starych ran. Mam już serdecznie dość dygotania ze strachu w cieniu tej pieprzonej bestii.

Chciałabym coś zmienić w swoim życiu. Muszę pokonać strach, który paraliżuje mnie za każdym razem, kiedy rozmawiam z kimś nowo poznanym.

Gotowa zrobić wszystko, żeby tym razem było inaczej, stoję przed restauracją. Staram się wziąć w garść i przywołać na twarz fałszywy uśmiech. Wiem, że to potrafię, więc najlepiej, jak umiem, przyklejam go sobie do twarzy, jednak czuję, że to tylko plastikowa maska, niepasująca i niewygodna z powodu rzadkiego używania. Nienawidzę być sztuczna. Nie-na-wi-dzę! Mój puls przyspiesza. Sięgam do klamki i podnoszę wzrok na drzwi. Są wykonane z młotkowanej miedzi i ozdobione wielkimi, żelaznymi okuciami. Metal pod moją

dłonią jest zimny. Pociągam masywne skrzydło do siebie i wchodzę do środka.

Widzę drewniane, rzeźbione stanowisko hostessy, a za blatem ładną blondynkę. Dziewczyna uśmiecha się do mnie szeroko. Na znajdujących się tuż obok wyściełanych ławkach siedzi kilku gości czekających na stoliki, ale nie ma zbyt wielkiego tłoku.

Podchodzę do dziewczyny i mówię:

— Mam się tutaj z kimś spotkać. Czy mogłabym sprawdzić, czy już tu jest?

Blondynka kiwa głową, więc mijam ją i wchodzę na salę. Wewnątrz panuje półmrok. Otynkowane ściany są pomalowane w ciepłych kolorach. Znad wielkich drzwi zwieszają się ciemne zasłony, a na środku pomieszczenia znajduje się duże palenisko — kamienny kominek, którego wylot sięga wysoko aż pod miedziany sufit.

Nigdy tu nie byłam. Millie mówiła, że przyjdzie nieco później, ale przyjaciel tego całego Brenta, Dustin, ma tu już ponoć czekać. Rozglądam się za facetem mniej więcej w moim wieku, siedzącym samotnie przy stoliku. Powoli obchodzę salę, ale nie widzę nikogo takiego, stoję więc przez chwilę na środku jak debil, nie wiedząc, czy powinnam zostać, czy wyjść. Nagle czuję, że jeżą mi się włoski na karku. Dociera do mnie, że ktoś się na mnie gapi. Czuję na plecach czyjś wzrok. Powoli odwracam się i rozglądam po sali. Wreszcie namierzam wpatrujące się we mnie oczy — oczy o barwie szafirów. Żołądek zaciska mi się w ciasny węzeł. A niech mnie, jakie ciacho z tego faceta! Z trudem łapiąc oddech, podchodzę powoli do stolika, przy którym siedzi.

Jego wzrok powoli prześlizguje się po mojej sylwetce, a potem Pan Przystojniak przygląda mi się otwarcie. Sposób, w jaki to robi, jest tak erotyczny, tak zmysłowy, że czuję łaskotanie w żołądku. Motylki w moim brzuchu urastają do wielkości nietoperzy i robią się większe z każdym moim krokiem. Im bliżej niego jestem, tym bardziej się denerwuję. Czy to możliwe, żeby Millie umówiła mnie z kimś tak boskim? Nie wierzę własnym oczom! Usta rozciąga mi łagodny uśmiech — nie jest już wcale sztuczny. Ja i Pan Przystojniak patrzymy sobie w oczy i nie mogę odwrócić wzroku. Moje obcasy stukają w rytm bicia serca... i nagle stoję przed nim przy stoliku.

— Hej! — udaje mi się wykrztusić; wciąż wpatruję się zachłannie w jego oczy. Są takie piękne! Dustin wygląda całkiem jak z obrazka — jest idealny. Jeśli głos ma równie powalający jak ciało, to za chwilę się rozplynie. Ten facet jest... zabójczy.

Dustin podnosi kąciki ust i obdarza mnie uśmiechem, na którego widok prawie mdleję.

— Cześć!

Och, co za głos! Jest bardziej seksowny, niż przypuszczałam — niesamowicie głęboki. W połączeniu z uśmiechem i dołeczkami w policzkach

sprawia, że nogi się pode mną uginają. Wiem, że ze strony Dustina nie mogę na nic liczyć — przynajmniej na razie — ale to najwspanialszy widok, jaki jest mi dane oglądać od dłuższego czasu. Sposób, w jaki na mnie patrzy, sprawia, że robi mi się gorąco. Kładę dłonie na oparciu krzesła stojącego naprzeciwko i odsuwam je od stołu. Pan Przystojniak nie spuszcza ze mnie wzroku; przygląda mi się, kiedy siadam.

Nie wiem, co powiedzieć, więc odwzajemniam uśmiech i sięgam po wyświechtane frazesy:

— Często tu bywasz?

— Naprawdę nie wiesz? — odpowiada, nadal mi się przypatrując — całkiem jakby nie mógł uwierzyć, że siedzę naprzeciwko. Jego świdrujące spojrzenie sprawia, że czuję dławienie w gardle. Jest bardziej niż przystojny. Ciemne pukle zmierzwionych włosów okalają mu twarz, a kilka dłuższych kosmyków opada na czoło. Z trudem pokonuję swoją irracjonalną chęć pochylecia się i poczucia pod palcami ich jedwabistości. Facet siedzący naprzeciwko mnie to z całą pewnością nie jeden z tych głupich typków z Teksasu, którym nigdy nie zamyka się jadaczka. Jest dziwnie małomówny i fascynuje mnie to.

Zjawia się kelnerka i pyta, czy może przyjąć zamówienie. Proszę o kieliszek wina. Kiedy odchodzi, zapanowuje pełna napięcia cisza. Wodzę oczami od szerokiej piersi Dustina do jego pełnych, pięknych warg. Nie mogę być wobec niego obojętna. Przyciąga mnie jak za sprawą jakiegoś zaklęcia. Powiedział ledwie dwa słowa na krzyż, a ja jestem już całkowicie rozbrojona! Sięgam po serwetkę i podnoszę na niego wzrok, przerywając milczenie.

— Wiesz, zupełnie inaczej sobie ciebie wyobrażałam.

— Serio? — pyta, uśmiechając się do mnie szeroko.

Kiwam nieśmiało głową i wtedy wraca kelnerka z moim winem. Kiedy upijam łyk, Dustin prosi:

— W takim razie powiedz mi, co teraz myślisz.

Uśmiecham się niepewnie. Czuję się zawstydzona, ale wino dodaje mi odwagi. Wzruszam ramionami i patrzę na niego spod opuszczonych rzęs.

— Sądzę, że dzisiejszy wieczór będzie bardzo miły.

— Cóż, z pewnością będzie co najmniej ciekawy.

Dustin zachowuje się tak odmiennie od większości mężczyzn, których znam! Jest taki pewny siebie! Jego ramiona mają rys, który podpowiada mi, że ta pewność siebie graniczy z arogancją. W tym momencie mój towarzysz opada na oparcie krzesła i przypatruje mi się uważnie. Patrzy mi głęboko w oczy, a kiedy odpowiadam, podnosi leciutko brwi.

Jestem tak zdenerwowana, że nie wiem, co właściwie plotę.

— No właśnie. Ja jestem tu pierwszy raz. Rzadko bywam w okolicy. Wszędzie jest tak cholernie daleko! W moich stronach na takim terenie zmieściłyby

się ze cztery miasteczka, ale chyba właśnie taki jest po prostu cały Teksas — rozwleczony do granic możliwości.

Dustin kiwa głową.

— Tak, chyba masz rację. Czyżbym słyszał u ciebie delikatny ślad akcentu... ee, wybacz, jak właściwie masz na imię?

Parskam śmiechem. „Delikatny ślad akcentu” to spore niedomówienie. Jestem jednym wielkim akcentem.

— Sidney — odpowiadam.

Pan Przystojniak pochyla się z zaciekawieniem w moją stronę.

— Jesteś z Australii? Żartujesz sobie! — Jego usta rozciąga uśmiech i wiem już, że jedynie się ze mną droczy. — Sądziłem, że w ten sposób mówią tylko w Jersey! — Mruga i szczerzy się do mnie radośnie.

Wybucham śmiechem. Przejrzał mnie! Przypuszczałam, że dzisiejsza randka będzie tragedią, ale ten koleś wydaje się ideałem. Jakaś część mnie się zastanawia, gdzie podziewa się Millie, ale w głębi duszy cieszę się, że się spóźnia. Flirtując z nim i gawędząc o niczym, dobrze się bawię. Im dłużej przebywam w jego towarzystwie, tym mniej spięta się czuję. To niesamowite! Nie wiem, jak on to robi, ale udaje mu się zmienić mnie z powrotem w dziewczynę, którą kiedyś byłam.

— Tak mam na imię — Sidney. I pochodzę z Cherry Hill w New Jersey, cwaniaku.

— Miło mi cię poznać, Sidney. Umiliłaś mi wieczór, który zapowiadał się paskudnie. — Dustin podnosi kieliszek i zanim upija łyk, kiwa z uznaniem głową w moją stronę. Ten pochlebny gest sprawia, że pragnę dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Kto tak w ogóle jeszcze robi? Jest taki inny — i podoba mi się to.

Zerkam na niego ukradkiem. Podoba mi się sposób, w jaki na mnie patrzy, w jaki wymawia moje imię. Lubię go.

— W takim razie bardzo się cieszę. Zrobiłam, co w mojej mocy. — Odsuwam sztućce i rozkładam sobie serwetkę na kolanach.

Dustin parska śmiechem.

— Taa, jasne.

Nagle słyszę za plecami głos Millie:

— Sidney? Och, tutaj jesteś! Siedzimy po drugiej stronie sali. Dzwoniłam do ciebie!

Millie ma na sobie śliczną sukienkę o marszczonej spódnicy. Rzuca mi krzywe spojrzenie i staje koło mnie z rękami wspartymi na biodrach, całkiem jakbym zrobiła coś złego.

Uśmiecham się do mojego towarzysza, a potem do niej. Nie łapię. Przyglądam się jej i zastanawiam, dlaczego nie siada obok.

— Wyłączyłam telefon, jak tylko tu przyszłam — wyjaśniam. — Jak

mogłam pozwolić, żeby przeszkadzał mi w rozmowie z tym miłym młodym człowiekiem? Daj spokój, Millie. Siadaj. Brent będzie tu na pewno lada chwila. — Rozglądam się, żeby zobaczyć, czy przypadkiem właśnie nie przyszedł.

Millie kręci głową i uśmiecha się z niedowierzaniem, a potem pochyła się i szepcze mi do ucha:

— Brent już tu jest, panno gapo. A teraz chodź i daj temu miłemu młodemu człowiekowi spokój. — Patrzy na Pana Przystojniaka, a potem znowu na mnie.

Mój uśmiech znika bez śladu. Zerkam na Millie, a później na tego wspaniałego mężczyznę siedzącego naprzeciwko mnie; serce wali mi jak młotem. Ogarnia mnie przerażenie — owija całe ciało ciasno jak mokre prześcieradło, aż sztywnieję. Wbijam wzrok w ramię mojego towarzysza — nie umiem spojrzeć mu w oczy.

— Nie byliśmy umówieni na randkę, prawda? — mamroczę.

Dustin-nie-Dustin kręci z uśmiechem głową, a ja cała się czerwienię i dostaję pięknego wytrzeszczu oczu. W jakiś dziwny sposób czuję się... urażona. Jak to możliwe, że siedziałam tu z nim nie wiadomo ile, a on nawet nie raczył wyjaśnić mi, że z kimś go pomyliłam?!

— Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć? — pytam piskliwym, podniesionym głosem.

Mężczyzna wzrusza ramionami, rozbawiony, i pociera szczękę pokrytą lekkim zarostem.

— Sądziłem, że próbujesz mnie poderwać.

Otwieram z niedowierzania buzię i gapię się na niego przez chwilę, niezdolna wykrztusić słowa. Podnoszę szybko dłonie do ust i powtarzam w kółko w myślach: o rany, o rany, o rany...! Kiedy się odzywa, zerkam na niego i widzę, że się uśmiecha.

— Całkiem nieźle ci szło. Nie miałbym nic przeciwko postawieniu ci kolacji. To nie poprawia mojej sytuacji ani trochę.

Millie patrzy na mnie, jakbym była szurnięta. Łapie mnie za nadgarstek i ciągnie w górę, więc wstaję i odchodzę z nią od stolika. Nie mogę przestać się rumienić, nie potrafię pozbyć się tego głupiego uczucia wstydu. Mam ochotę wleźć pod stół i schować się przed całym światem. Czuję na sobie odprowadzające mnie spojrzenie Pana Przystojniaka, ale nie oglądam się za siebie. Nie mogę tego zrobić, chociaż — a niech mnie! — mam na to cholerną ochotę. Jest taki niesamowity! Dlaczego zawsze przytrafiają mi się podobnie głupie rzeczy?

Rozdział 2.

Nigdy wcześniej tu nie byłam, a kiedy przyszłam, zdawało mi się, że obeszlłam całą restaurację i sprawdziłam każdy stół, jednak okazuje się, że nie. Część, do której prowadzi mnie Millie, znajduje się za ścianą przylegającą do baru. Nie miałam pojęcia, że jest tu druga sala, a to właśnie w niej mamy zarezerwowane miejsca.

Millie coś do mnie mówi, ale jestem zbyt zaaferowana, żeby jej słuchać. W końcu zatrzymuje się przy boksie przy kominku i zajmuje miejsce obok Brenta. Po drugiej stronie siedzi facet, z którym mnie umówiła. A niech to szlag — wygląda wypisz wymaluj jak mój były. I tak już jestem cała w nerwach, a na widok ludzkiego podobieństwa między tym gościem a moim eks aż się wzdrzgam. Wracają wspomnienia — tak żywe, jakby wszystko wydarzyło się całkiem niedawno. Nie mam ochoty siadać. Chcę stąd uciec. Dotykam palcami blizny ukrytej pod naszyjnikiem. Jestem rozdrażniona i lekko przerażona.

Przestań! — ganię się w myślach. Ten facet nic ci nie zrobił. Siadaj! Powtarzam to sobie w kółko jak mantrę. Nie mogę pozwolić na to, żeby moim życiem rządził strach. Zbyt długo już mu na to pozwalałam. Muszę się przełamać — i zrobię to właśnie dziś. Zbyt wiele razy zgadzałam się, żeby przeszłość brała nade mną górę. Zaledwie kilka chwil temu rozmawiałam z Panem Przystojniakiem. Dam radę — wmawiam sobie. Potrafię znów stać się dziewczyną taką jak kiedyś. Przełykam głośno ślinę i siadam. Millie miłosiernie nie informuje chłopaków, że przyłapała mnie przy innym stole na rozmowie z nieznajomym, a ja staram się zapomnieć o tym, co się przed chwilą wydarzyło, i skupić się na właściwej randce. Kiedy patrzę na „mojego” faceta, dławi mnie w gardle ze strachu.

Millie przedstawia nas sobie:

— Sidney, to Brent i jego przyjaciel Dusty.

Dusty to chłopaczek w stylu kowboja. Ma ulizane włosy z przedziałkiem z boku i nosi wykrochmaloną na sztywno koszulę. Idę o zakład, że gdybym zajrzała pod stół, zobaczyłabym też kowbojki droższe niż mój samochód.

Wzdycham i mówię:

— Hej!

Próbuję nie myśleć o tym, że dzisiejszy wieczór będzie tysiąc razy gorszy, niż się na początku zapowiadało, ale nie potrafię. Byłam już na takiej randce — a przynajmniej takie mam wrażenie. Znowu czuję, że się duszę. Robię się sztywna jak kukła. Przebywanie tak blisko Dusty’ego wyprowadza mnie z równowagi. W duchu nakazuję sobie zachować spokój, ale to nic nie daje. Nie potrafię. Mięśnie mi tężeją i mam ochotę uciec.

Uśmiecham się nerwowo, biorę ze stołu serwetkę i rozkładam ją sobie na kolanach. Mała czarna, którą mam na sobie, ma głęboki dekolt i jest na górze

obcisła, a na dole rozkloszowana. Czuję się atrakcyjna, ale sposób, w jaki Pan Kowboj obmacuje mnie wzrokiem, sprawia, że się denerwuję.

Zerkam z ukosa na Millie, która zalotnie trzepocze już rzęsami, kokietując Brenta. To niesamowite, że może siedzieć tak blisko mnie i być jednocześnie tak daleko, w swoim własnym świecie. Widać, że Brent także wpadł po uszy.

— No więc... — mówi Dusty, wlepiając wzrok w moje cycki, zanim udaje mu się niechętnie przenieść go na moją twarz. Czuję się jak bydło na targu. — Całe szczęście, że dziś nie pada.

— Bo...?

Szczerzy do mnie zęby i oznajmia:

— Bo wilgoć rozpuszcza słodycze.

Dusty ma wiejski akcent i uśmiech drapieżnika.

Podnoszę wysoko brwi — tak wysoko, że mam wrażenie, że zaraz znikną pod linią włosów — a potem uśmiecham się i parskam z udawanym rozbawieniem. Mam ochotę mu przygadać, ale wiem, że cokolwiek powiem, Millie mnie potem za to zatłucze. Aż mnie skręca od nagłej potrzeby ucieczki. Zerkam z nadzieją w stronę kuchni — może gdyby wybuchł pożar, mogłabym stąd bezkarnie zwać?

Millie i Brent są zajęci rozmową. Nachylają się ku sobie, całkiem jakby dystans między nimi wciąż wydawał im się za duży. Millie chichocze z czegoś, co mówi Brent, a potem zerka na mnie. Uśmiecham się do niej, ale za moment ona znów wpatruje się w niego jak w obrazek.

Napieram plecami na oparcie kanapy, marząc o tym, żeby znaleźć się gdzie indziej... ale nic z tego. Przyszłam tu dla Millie. Dla siebie. Biorę głęboki wdech i staram się wziąć w garść, zanim zeżrą mnie nerwy.

Czuję, że Dusty gapi się na mnie bez skrępowania. Wiem, że wlepią znowu wzrok w moje cycki. Wiercę się niespokojnie, starając się obrócić bokiem do niego, przysunąć bliżej do Millie i jej przyjaciela.

Dusty opada na oparcie kanapy i pyta:

— No to... co porabiasz?

Mam nerwy napięte jak postronki, aż zaczyna boleć mnie od tego brzuch. Zrobiłabym wszystko, żeby teraz poczuć w nim wcześniejsze motylki. Jestem taka rozdygotana, że aż mi niedobrze, i z trudem powstrzymuję się, żeby nie wstać i nie uciec. Nie mogę tego zrobić. Muszę się zdobyć na przeżycie zwykłej randki, zwyczajnego wieczoru. Jeżeli mi się to uda, odzyskam panowanie nad własnym życiem — wmawiam sobie. Zjem po prostu kolację, przelizę się z facetem, pójdziemy do łóżka i będzie po sprawie. Wszyscy moi przyjaciele tak robią. Ja też potrafię. Umiem to zrobić. I wtedy widzę bestię, patrzącą mi prosto w oczy. Cholerny potwór...

Odpowiedź na głupie pytanie Dusty'ego zajmuje mi dużo czasu — stanowczo zbyt dużo. Dusty dotyka lekko grzbietu mojej dłoni. Rysuje na niej

palcem małe kółko i mówi:

— Spokojnie. Zrozumiem, jeśli powiesz, że się jeszcze nie zdecydowałaś. Pytam tylko o tak.

Nie zabieraj dłoni! — nakazuję sobie w myślach. Serce zaczyna mi bić mocniej. Mam wrażenie, że zaraz popękają mi żebra. Przywołuję na usta fałszywy uśmiech i chichoczę nerwowo.

— Nie, nie o to chodzi. Już wybrałam. Studiuję angielski. A ty?

— Zarządzanie. — Dusty stara się zajrzeć mi głęboko w oczy, jednak za każdym razem, kiedy na niego patrzę, czuję zaciśnięte na żołądku lodowe szpony. Rany boskie, jestem wrakiem człowieka! Z tamtym kołosem rozmawiało mi się znacznie łatwiej.

Zmuszam się, żeby odwzajemnić spojrzenie Dusty'ego, i uśmiecham się, chociaż kosztuje mnie to cholernie dużo wysiłku.

— A więc chcesz zostać człowiekiem interesu?

— Coś w tym stylu. Może otworzę sklep albo zostanę menedżerem w jednym z warsztatów ojca? Nie wiem jeszcze, co chciałbym robić. Planuję obronę pracy, więc przede mną jeszcze długa droga. — Dusty podnosi rękę i obejmuje mnie w pasie.

Nie mogę oddychać. Czuję się tak, jakby rąbnął mnie w splot słoneczny. Chwilę później jest jeszcze gorzej. Jasna cholera, co ja w ogóle tutaj robię? Dlaczego każdy dotyk sprawia, że dziczeję? Muszę to zmienić — bez dwóch zdań! „W takim razie dlaczego się tak zachowujesz?” — pyta cichy głosik gdzieś w mojej głowie. Mały skurwiol, na pewno jest w zмовie z tą bestią!

Brent kiwa głową i rozmawia z Millie o dzisiejszych zajęciach. Millie chichocze.

Dusty pociera dłonią moje nagie ramię — moja sukienka nie ma rękawów. I nagle jestem gdzie indziej, pogrążona we wspomnieniach. Czuję na sobie dłonie mojego byłego. Przeszłość i terażniejszość łączą się w jedno. Sztywniej jeszcze bardziej.

— Spokojnie. Nie gryzę — zapewnia mnie Dusty. — Brent może za mnie poręczyć. Żaden ze mnie du...

— Wskazówka jego dupkometru znajduje się w pobliżu dwójki. Spokojna głowa, Sidney. — Brent uśmiecha się do mnie krzywo, a jego oczy błędzą po ramieniu, którym obejmuje mnie jego kumpel. — Ja z kolei...

Millie uderza go żartobliwie w pierś i śmieje się:

— Jesteś ideałem! Nic bym w tobie nie zmieniła! — A potem nachyla się i go całuje. Rumienię się i odwracam wzrok. Błąd! Kiedy to robię, Dusty na mnie patrzy. Nasze spojrzenia się spotykają, ale nie wynika z tego nic dobrego. Jego wzrok przywołuje w mojej pamięci wszystko, o czym chcę zapomnieć.

Na szczęście zjawia się kelnerka i Millie odrywa usta od warg Brenta, żeby

złożyć zamówienie. Dostajemy przystawki. Dusty opowiada o swojej rodzinie i domu. Wrzuca sobie do ust krewetkę.

— A u ciebie jak było? Czy twoja rodzina pochwała twój przyjazd tutaj? Jakimś cudem Dusty zmniejszył dzielący nas dystans. Siedzi teraz obok mnie, starając się do mnie przytulić. Nie mam szans się od niego odsunąć — jeżeli spróbuję, wyląduję na podłodze.

Na wspomnienie o rodzinie włoski na karku stają mi dęba. To jednak zwykłe pytanie, więc staram się odpowiedzieć normalnym głosem:

— Jasne, że tak! Czyi rodzice nie chcieliby, żeby ich dziecko poszło na studia? A ta szkoła jest świetna! — Jestem rozkojarzona. Kłamię. Moja głupia rodzina nie ma nawet pojęcia, gdzie jestem.

Dusty przysuwa się jeszcze bliżej. Ujmuje w palce pukiel moich włosów. Zerkam na niego i przekręcam się tak, że lok wysuwa się z jego dłoni.

— Pięknie dziś wyglądasz.

Natychmiast odwracam wzrok, jednak chociaż na nie patrzę na Pana Kowboja, czuję na sobie jego spojrzenie. Jeżą mi się włoski na karku. A Dusty pochyla się w moją stronę i powoli kładzie mi rękę na kolanie. Bardzo powoli. Nie zareaguję — postanawiam sobie twardo. Dam radę. Umiem to zrobić. To tylko dotyk — nic niezwykłego. To normalne. Chcę być normalna. Chcę tego tak mocno... Pięką mnie oczy. Puls przyspiesza mi tak gwałtownie, jakby gonił mnie zboczeniec z siekierą. Uśmiecham się do Dusty'ego raz jeszcze, z trudem siląc się na spokój. On bierze mój uśmiech za dobrą monetę — wsuwa dłoń pod rąbek mojej sukienki i przesuwają ją w górę mojego uda, które potem zaczyna ścisnąć. Czuję ten dotyk i sceneria się zmienia. Ciałem jestem wciąż w tym samym miejscu, ale mój umysł zanurza się w przeszłość, wracając do wspomnień, o których chciałabym zapomnieć.

Moje mięśnie reagują wbrew mojej woli. Podrywam się z kanapy i wpadam na stół, zrzucając z niego zastawę. Sztućce ze szczękiem lecą na podłogę. Podnoszę rękę, próbując się jakoś wytłumaczyć, ale kiedy się odwracam, wpadam na kelnera niosącego nad głową tacę z jedzeniem — naszym jedzeniem. Kiedy go potrącam, taca się przechyla i wszystkie dania przesuwały się jak w zwolnionym tempie na bok, a potem spadają. Talerze rozbijają się o podłogę z głośnym trzaskiem.

Przez moment stoję jak sparaliżowana. Dusty wybałusza na mnie oczy, tak samo jak Millie i Brent. Czuję na sobie ich spojrzenia, ale nie mogę im wytłumaczyć swojego zachowania. Oni nie wiedzą... Otwieram usta, ale nie wiem, co powiedzieć, więc daję nogę. Zanim ten wieczór stanie się jeszcze gorszy, zanim zrobię z siebie jeszcze większą idiotkę, wyjdę stąd — decyduję. Idę szybkim krokiem w stronę wyjścia, gotowa krzyczeć albo się rozplakać — a może jedno i drugie. Co, do jasnej cholery, się ze mną dzieje? Przecież sama tego chciałam. Powinnam mu na to pozwolić. Jest całkiem jak ostatnim razem. Przed oczami stają

mi obrazy rozmazane przez łzy. Wychodzę przez wielkie drzwi i prawie potykam się o krawężnik.

Kiedy czuję na twarzy wieczorne powietrze, zwalniam kroku. Nikt mnie nie goni. Nikt nie zmusza, żebym tam wróciła. Biorę głęboki wdech. Ostatnie pół godziny było dla mnie szaloną jazdą na emocjonalnym rollercoasterze. Najpierw zrobiłam z siebie idiotkę, a potem zupełnie straciłam nad sobą panowanie. Krzywię się w duchu na myśl o własnej głupocie.

Stoję i szukam kluczyków, a kiedy podnoszę wzrok, serce przestaje mi na chwilę bić. Na parkingu, z rękami wspartymi na biodrach, stoi przy czarnym samochodzie Pan Przystojniak. Sposób, w jaki stoi, przyciąga moją uwagę do jego szerokich ramion i wąskiej talii. Przyglądam mu się łapczywie, zanim zauważam, że jego samochód ma podniesioną maskę. Dlaczego tak dobrze mi się z tym gościem rozmawiało? Przy nim zupełnie nie czułam paniki. Byłam taka jak kiedyś i nie zachowywałam się jak szurnięta histeryczka, którą się stałam. Tęsknię za tą „starą sobą”. Tęsknię za osobą, którą kiedyś byłam. Wiem, że ona wciąż gdzieś tam we mnie jest, uwięziona i czekająca, aż ktoś ją uwolni.

Pan Przystojniak najwyraźniej wyczuwa, że się na niego gapię, bo odwraca się i patrzy na mnie. Podniesionym głosem, żebym go usłyszała, woła:

— Widzę, że żadne z nas nie ma udanego wieczoru.

Przyglądam mu się przez chwilę w milczeniu. Serce dalej wali mi jak oszalałe. Zaraz zejdę na zawał. Zanim dociera do mnie, co robię, kiwam głową i idę w jego stronę. Zatrzymuję się przy nim i mówię:

— To była kompletna porażka. — Ramiona lekko mi się rozluźniają. Ten gość — kimkolwiek jest — sprawia na mnie wrażenie, jakbyśmy znali się od zawsze. Nie wiem dlaczego. Wydaje mi się, że znam go od lat, chociaż nawet nie wiem, jak ma na imię. To takie dziwne! Wzdycham i patrzę na silnik pod podniesioną maską. — Jakiś problem z samochodem?

— Na to wygląda — odpowiada przystojny nieznajomy, przeczesując włosy palcami. — Nie mogę go odpalić. Próbowałem już wszystkiego.

Krzyżuję ręce na piersiach i patrzę, jak mężczyzna przygląda się samochodowi. Widać, że nie ma pojęcia, co robić. Ja właściwie też nie, ale coś tam niby wiem. Podchodzę do drzwi od strony kierowcy, otwieram je i siadam za kierownicą.

Pan Przystojniak gapi się na mnie, kiedy próbuję odpalić. Nic z tego. Zerkam na kontrolki i zauważam, że świeci się ta z akumulatorem. Właściciel auta stoi tuż koło mnie.

— A więc jesteś mechanikiem?

Kręcę głową.

— Tak tylko ściemniam. To zwiększa szansę na przeżycie ciekawego wieczoru. — Uśmiecham się do niego szeroko, nie do końca rozumiejąc, co mnie

napadło. Nigdy nie rozmawiam z nieznanymi kolejami... ale to już nie jest nieznanymi, prawda? Panu Przystojniakowi rzednie mina i dociera do mnie, że wziął moje słowa na serio. Śmieję się. — Tylko żartuję! Wiem co nieco o samochodach — między innymi to, że ten nigdzie dziś już nie pojedzie.

— Dlaczego?

— Wygląda na to, że padł ci alternator. No, chyba że wepchnąłeś do rury wydechowej chomika. — Teraz to mnie rzednie mina. Zaczynam się zastanawiać, czy faktycznie nie zrobił podobnej głupoty — faceci na studiach robią mnóstwo głupich rzeczy, byle tylko znaleźć pretekst do rozmowy z dziewczyną. Wsiadam z samochodu i trzaskam drzwiami, a potem przechylam głowę na ramię i krzyżuję ręce na piersiach. — Powiedz, proszę, że to nie dlatego nie chce odpalić...

Przystojniak śmieje się i przykłada dłoń do piersi, zaskoczony, że coś takiego w ogóle przyszło mi do głowy.

— Nie! Jak mogłaś wpaść na taki pomysł? A poza tym, popraw mnie, jeśli się mylę, ale to ty się do mnie przysiadłaś i się do mnie przystawiałaś. Nie przyjechałem tu wcześniej, żeby sabotować własny samochód tylko po to, by spotkać dziewczynę, o której nie wiedziałem, że tu będzie. — Jego uśmiech jest zaraźliwy. Przeczesuje ciemne włosy palcami, całkiem jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale milczy.

Kąciki jego ust drgają i rzuca mi spojrzenie, od którego przechodzą mnie dreszcze.

Podchodzę do niego, uśmiechając się stanowczo za szeroko.

— Wcale się do ciebie nie przystawiałam!

— Ależ owszem. Tam, w środku. — Wskazuje gestem restaurację. Ma teraz poważny wyraz twarzy — och, te gładkie rysy i niebieskie oczy! — Usiadłaś przy moim stoliku i wprawiłaś mnie w niezłe zakłopotanie. Nigdy wcześniej tak piękna kobieta nie uderzyła do mnie tak otwarcie. To było dość... krępujące.

Chcę otworzyć usta ze zdziwienia, ale uśmiech bierze górę.

— Wcale nie! — Wiem, że tylko się ze mną drażni, ale nie mogę przestać. Nie chcę tego! W pewnym momencie dociera do mnie, że śmieję się na całe gardło, a on krzyżuje ręce na piersiach i przystawia palec do ust, całkiem jakby próbował coś sobie przypomnieć.

— Ależ owszem — powtarza. — Zamówiłaś wino i założyłaś, że za nie zapłacę. Naprawdę, Sidney, na przyszłość powinnaś zachowywać się trochę rozważniej. — Patrzy na mnie kątem oka, popatrując co rusz na swój samochód.

Wiem, że celowo mnie podjudza, ale nie mogę się powstrzymać. Nie mogę odejść — i wcale tego nie chcę. Pan Przystojniak uśmiecha się do mnie tymi swoimi przerażająco ponętymi ustami i ten widok sprawia, że mam ochotę go pocałować — mocno, namiętnie. Zmieniam taktykę. Zamierzam wyprowadzić go z równowagi, aż straci tę swoją denerwującą pewność siebie. Staję przed nim i patrzę

na niego spod opuszczonych rzęs.

— No dobra, rozgryzłeś mnie — mówię. — Lubię cię. Pragnę cię. Nie mogę się na ciebie napatrzeć. Ale powiedz mi, przystojniaku, dlaczego powinnam zachowywać się rozważniej, skoro dam sobie rękę uciąć, że ty pragniesz mnie równie mocno? — Powoli zmniejszam dzielący nas dystans. Nasze ciała prawie się teraz stykają. Zaglądam mu głęboko w oczy.

Nie przestając się uśmiechać, odpowiada:

— Nie powinnaś. — Patrzy na mnie drapieźnie, czekając na moją reakcję. Mam wrażenie, że serce za chwilę wyskoczy mi z piersi. On tymczasem wodzi oczami od moich ust do oczu i z powrotem. Nagle jestem dojmująco świadoma własnego ciała. Pragnę czuć na nim jego dłonie. Chcę całować jego usta... a sądząc po tym, jak na mnie patrzy, on pragnie tego samego.

Przysuwam się jeszcze bliżej, drażniąc się z nim. Czuję na wargach jego oddech. Wciągam głęboko w nozdrza jego zapach.

— Zawsze tak trudno ci się oprzeć?

— A ty zawsze jesteś tak nieśmiała? Czy może tylko drażnisz się z facetem, który rozpaczliwie chce cię pocałować...

Nie daję mu skończyć — zanurzam palce w jego włosach. Gładzę je delikatnie i słyszę, jak wstrzymuje oddech. Przyprawia mnie to o dreszcze, ale i daje dziwną odwagę. Jesteśmy tak blisko siebie, a powietrze jest tak naelektryzowane, że nie wytrzymam ani sekundy dłużej. Powoli pochylam się i dotykam wargami jego ust. Pan Przystojniak stoi tuż przede mną, sprawiając wrażenie zaskoczonego. Nie odpowiada. Nie odwzajemnia pocałunku. Czuję gwałtowny przypływ rozczarowania. Opuszczam wzrok i odrywam usta od jego warg. Nie potrafię ukryć przyspieszonego oddechu ani tego, jak bardzo ten mężczyzna na mnie działa.

Kiepsko znoszę odmowę.

— Wybacz — bąkam pod nosem i już, już mam odejść, kiedy czuję, że delikatnie ujmuję mnie za podbródek. Patrzę mu w oczy i widzę w nich coś, czego zobaczyć nigdy bym się tam nie spodziewała.

Uśmiecha się do mnie łagodnie.

— Nie. Po prostu lubię najpierw poznać lepiej kogoś, z kim mam się całować na ekskluzywnym parkingu.

Odwzajemniam uśmiech.

— Nie wiedziałam, że parking też jest ekskluzywny.

— Chyba jest. A skoro już o tym mowa, panno Sidney, czy byłaby pani tak miła i zdradziła mi swoje nazwisko?

— Cóż to za gadka? — pytam ze śmiechem.

— A zła?

— Sidney Colleli. — Przygryzam dolną wargę i podnoszę na niego

nieśmiało wzrok.

— Peter Granz. — Ma tak głęboki, dźwięczny głos! Wymawia swoje imię w taki sposób, że cała aż się rozpływam... A sposób, w jaki całuje... trudno to opisać. Peter delikatnie zbliża swoje usta do moich i składa na nich lekki pocałunek — pocałunek, który sprawia, że moje ciało przeszywa elektryczny impuls, tak że aż podkurczam palce u stóp. Przytulam się do niego, rozkoszując się uczuciem bliskości. Każda cząstka mojego ciała drży, błagając o więcej. Pocałunek jest tak delikatny, tak krótki... Kiedy Peter odsuwa się ode mnie, z trudem łapię oddech.

— Miło mi cię poznać — mówię zdyszczanym głosem.

Rozdział 3.

Oglądam się na restaurację, bojąc się, że w każdej chwili ze środka może wyjść Dusty. Zdeterminowana, by szybko się stąd zmyć, patrzę na Petera i pytam:

— Podrzucić cię do domu?

Kiwa głową i odpowiada:

— Byłoby super.

Uśmiecham się szeroko. Gdzieś w środku mnie narasta fala dziewczęcego chichotu, którą tłumię z najwyższym trudem. Będę sama w swoim samochodzie z tym niesamowitym facetem! Mam wrażenie, że mózg mi wyparował — zniknął bez śladu podczas tamtego pocałunku.

Peter idzie za mną przez parking. Wsiadamy do auta i odpalam silnik. Manewruję po parkingu, a kiedy wyjeżdżam na ulicę, pytam:

— Którędy?

Peter uśmiecha się do mnie bezradnie.

— Nie wiem. Po prostu tu przyjechałem. Jakoś.

Ten jego uśmiech jest rozbijający. Peter wygląda tak chłopcęco i... wręcz idealnie!

Śmieję się i zerkam na niego z rozbawieniem.

— Nie wiesz, gdzie mieszkasz?

— Wiem, gdzie mieszkam. Ale nie mam pojęcia, jak tam dojechać. Dopiero co się tu przeprowadziłem.

— Och! Jak długo tu mieszkasz?

Znowu uśmiecha się nieśmiało.

— Kilka tygodni, ale tutaj jestem pierwszy raz. Miasto jest całkiem spore. Przyznaję, że nie uważałem zbyt, kiedy tu jechałem, a moja orientacja w terenie jest w najlepszym razie marna. Korzystam z GPS-u. Jutro zaczynam nową pracę i wpadłem tutaj, żeby coś przekąsić. Nie przepadam za fast foodami. Usłyszałem o tej restauracji od kogoś i postanowiłem ją sprawdzić. A potem spotkałem ciebie... i oto cała historia. — Peter ma w sobie jakąś naturalną swobodę i otwartość. Opada na oparcie fotela i wygląda przez okno. W pewnej chwili wskazuje na wschód i mówi: — To chyba będzie gdzieś tam.

Nie mogę powstrzymać śmiechu.

— Tam jest tylko wysypisko śmieci!

Mój współpasażer ściąga ciemne brwi, wygląda przez okno, a potem patrzy na mnie nieufnie.

— Jesteś pewna? Wydawało mi się, że mieszkanie prezentuje się całkiem nieźle. — Pochyliła się do przodu i znów wygląda przez okno. Jest już ciemno. Niebo ma atramentowo czarny kolor i jest usiane gwiazdami. Jediną roślinnością przy drodze są krzaki mimozy, które wystają z ziemi niczym kościste palce, oraz

wątle, wyschnięte trawy.

Wycofuję i pytam:

— Jak się nazywa twoje osiedle? — Staram się jechać powoli, żebyśmy nie przegapili zjazdu, jeśli będzie trzeba szybko wskoczyć na autostradę.

— Ridgewood, czy coś w tym stylu. Mieści się po drugiej stronie ulicy, przy której jest uczelnia. — Peter przygląda mi się. Czuję na policzku jego wzrok. Bezwiednie przygryzam dolną wargę i zaczynam ją ssać. Żar jego spojrzenia sprawia, że się denerwuję. Kiedy mówi, jego głos jest tak głęboki, że przenika mnie dreszcz. — Rób tak dalej, a będę zmuszony cię pocałować.

— Kieruję! — zauważam, a potem zerkam na niego i przestaję przygryzać usta.

— Wcale nie powiedziałem, że to rozsądne — powiedziałem tylko, że będę musiał to zrobić. Masz piękne usta, a kiedy tak robisz, zaczynam mieć ochotę także je possać.

Czuję, jak policzki płoną mi żywym ogniem, a usta rozciąga wariacki uśmiech. Peter szczyrzy się do mnie łobuzersko.

— Jakie to urocze — rumienisz się!

— Zamknij się! — śmieję się, czekając, aż z policzków zniknie mi rumieniec.

— Wcale nie, to słodkie. Podoba mi się!

Kiedy zawijamy na parking, Peter milknie. Okazuje się, że mieszka jakieś pięć minut jazdy od restauracji. To był pewnie pierwszy punkt orientacyjny, który zobaczył, kiedy się tu przeniósł.

— Który blok? — pytam, próbując zdecydować, w którą stronę skręcić. Blokowisko jest naprawdę ogromne. W pobliżu mieszka kilku moich przyjaciół — jest tu boisko do siatkówki, klub i basen. Ja i Millie mieszkamy w akademiku i możemy tylko marzyć o podobnych apartamentach.

— Tędy — wskazuje, a ja zawracam na tyły kompleksu. Peter sznuruje usta i patrzy na mnie uważnie. — Wpadniesz na filiżankę kawy?

Gapię się na niego przez chwilę w milczeniu. Rany boskie, jest taki piękny! Chciałabym poznać go lepiej, ale nie mam pojęcia, co mu chodzi po głowie, a poza tym jest już dość późno. Nie lubię przygód na jedną noc i mam dość podobnych akcji z facetami. Zależy mi na czymś poważniejszym. Rany, brzmię jak naiwna nastolatka — albo stara, zdesperowana panna! Ale gdyby między nami zaiskrzyło... to byłoby czadowe. Moje myśli pędzą jak oszalałe.

Zerkam na niego nerwowo.

— Masz na myśli seks czy naprawdę będziemy pić kawę?

Peter parska śmiechem, a potem udaje zaskoczenie i przykładą dłoń do piersi.

— Rany boskie! Czy to właśnie o to chodzi tym wszystkim laskom w

Starbucksie, kiedy proponują mi kawę?

Uderzam go żartobliwie w ramię i kręcę z niedowierzaniem głową. Odkąd wsiedliśmy do samochodu, ani na chwilę nie przestaję się uśmiechać. Parkuję i oboje wysiadamy z auta. Wchodzę z Peterem na pierwsze piętro, bo nie chcę, żeby pomyślał, że gardzę jego kawą — nie po tym komentarzu na temat Starbucksa. Rozmawiamy o niczym. On się ze mną przekomarza, a ja odpowiadam tym samym. Tak zwyczajnie — nic nie jest wymuszone, a ja wcale się nie boję. Mam już tak bardzo dosyć samotności! Wystarczył jeden wieczór, żeby moje życie z powrotem nabrało kolorów. Chcę je znowu zmienić. Chcę się wygrzebać z tego bagna i znowu zacząć żyć pełnią życia. Jestem rozbita i zrezygnowana, ale teraz czuję, że może zdołam się jeszcze pozbierać.

Peter sięga do kieszeni i wyciąga klucze. Przyglądam mu się, kiedy otwiera drzwi. Ma tak silne, umięśnione ramiona, przechodzące w mocny tors i wąską talię. Myślę o tym, jak cudownie byłoby dotknąć jego brzucha i poczuć pod palcami te mięśnie...

Peter otwiera drzwi i ogląda się na mnie. Uśmiecha się, całkiem jakby wiedział, o czym myślę, i mówi:

— Pani przodem.

Wchodzę do środka; wszędzie jest pełno kartonów. Niektóre nie są rozpakowane, ale większość z nich jest otwarta, tak jakby szukał czegoś na chwilę przed wyjściem.

— Witaj w moich skromnych progach.

— Wcale nie są skromne — protestuję. — I wyglądają znacznie lepiej niż wysypisko. Musisz się po prostu rozpakować. — Rozglądam się dookoła. Pod ścianą stoi tapczan. Peter wchodzi do małej kuchni przy salonie i zabiera się do robienia kawy.

— Głodna? — woła do mnie. — Zdołałaś w ogóle coś przekąsić? Kiedy wyszłaś z restauracji, wyglądałaś na nieźle roztrzęsioną, więc domyślałam się, że nie miałaś okazji. — Staje w drzwiach kuchni. Odwracam się w jego stronę. Jest bardziej spostrzegawczy, niż przypuszczałam.

— Nie, w porządku. Kawa wystarczy.

— Ach, no tak — kawa — mówi i mruga do mnie porozumiewawczo.

— Nie o to... Rany, jesteś taki... — Śmieję się i kluczę między kartonami w stronę kanapy.

Peter wystawia głowę z kuchni, przytrzymuje się futryny i pyta:

— Jaki? Taki uroczy? Taki męski? Seksowny? Taki...

— Irytujący! — Oczywiście nie to mam na myśli. Ani przez chwilę nie potrafię przestać się przy nim uśmiechać.

— Och, miałem nadzieję, że powiesz: „Taki seksowny — nic, tylko wskoczyć ci do łóżka”, ale chyba jakoś to przeżyję. — Mruga do mnie i znika z

powrotem w kuchni. Zanim udaje mi się coś odpowiedzieć, dodaje: — Mam w lodówce trochę wędliny. Zrobię ci kanapkę. Daj mi tylko chwilę.

Słyszę, jak krząta się w kuchni, i postanawiam nie protestować. Jestem głodna. Nie zdołałam nic zjeść — wypiałam tylko wino, a kolacja złożona z samego wina to niezbyt mądry pomysł.

Sadowię się na sofie, zdejmuję szpilki, podwijam nogi pod siebie i czekam, skulona. Kanapa pachnie Peterem. Wtulam twarz w miękki zamsz i wdycham zapach — piżmowy i męski. A niech mnie, jak ten facet cudownie pachnie! Gdyby meble mogły być seksowne, to byłyby na pewno pokazowy model. Wciskam nos w poręcz i wciągam zapach głęboko do płuc... i właśnie w tym momencie do pokoju wchodzi Peter z talerzem w dłoni. Staje jak wryty i patrzy na mnie, rozbawiony i zaskoczony zarazem.

— Wąchasz moją kanapę?

— Wcale nie! — Błyskawicznie siadam — o wiele za szybko. Panikuję. Peter gapi się na mnie, jakbym była szurnięta. Cóż, właściwie to pewnie jestem, skoro wącham jego kanapę. Potrzebuję czegoś, co odwróci jego uwagę. Czegokolwiek. Szukam gorączkowo, ale na myśl przychodzi mi tylko jedno, więc mrugam do niego i najbardziej uwodzicielskim głosem, na jaki mnie stać, mówię:

— No to co będzie z tą kawą?

Kiedy Peter się uśmiecha, twarz aż mu promienieje. Podchodzi do mnie i podaje mi talerz. Biorę go od niego z wdzięcznością. Przez chwilę mam ochotę rozłożyć kanapkę i schować się za kromkami chleba. Sposób, w jaki Peter na mnie patrzy, podsycia jeszcze rumieniec na mojej twarzy. Dałam się przyłapać na wąchaniu jego kanapy... Rany boskie, to chyba najgorsze, co mogłam zrobić! Pewnie teraz sobie myśli, że uciekłam od czubków.

Zapanowuje niezręczna cisza i znów zaczynam się denerwować. Między jednym a drugim kęsem kanapki zagaduję:

— Nie masz południowego akcentu, ale nie potrafię rozpoznać, skąd jesteś.

— Z Connecticut. Z północy, tak samo jak ty, panno Jersey.

— Przeprowadziłeś się tu z powodu pracy?

Kiwa głową.

— Tak. Uznałem, że najwyższy czas coś zmienić. — Kiedy to mówi, odwraca wzrok i wbija go w podłogę. Za tym oszczędnym stwierdzeniem kryje się coś jeszcze, coś bolesnego, ale nie naciskam. — Pojawiła się szansa na nową pracę, więc pomyślałem, że Teksas będzie inny. Skorzystałem z okazji, wkurzając przy tym całą rodzinę — taki mały bonus. — Kiwa mi głową, a potem siada obok mnie na kanapie.

— Taa, moja rodzina też była wściekła, kiedy się tu przeprowadziłam. Wszyscy mieli do mnie straszne pretensje o to, że ich zostawiam — całkiem jakby nie mogli sobie beze mnie poradzić. — Odgryzam kęs kanapki i kręcę głową. — Są

tacy apodyktyczni, że uważają, że nikt nie powinien nawet oddychać bez ich pozwolenia. Cieszę się, że się stamtąd wyrwałam. Potrzebowałam swobody. — Kończę kanapkę i rozglądam się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłabym odstawić talerz.

— Wiem, co masz na myśli. — Peter uśmiecha się i zabiera go ode mnie. — Szczerze powiedziawszy, jesteś pierwszą osobą, z którą tu rozmawiam i jakoś się dogaduję. Każdy wygląda jak wyjęty z planu filmowego.

— No właśnie! Dokładnie to samo powiedziałam Millie, kiedy się tu przeprowadziłam. Właściwie to rzuciłam takim tekstem w grupie znajomych, ale tylko Millie się roześmiała, więc uznałam, że będzie z niej dobry materiał na przyjaciółkę. Reszta nie była zbyt rozbawiona.

— Millie to ta dziewczyna, która przyszła po ciebie do mojego stolika? — pyta Peter; wstaje i idzie do kuchni po kawę.

Potwierdzam skinieniem głowy. Kiedy wraca, pytam:

— Co sobie pomyślałeś, kiedy zorientowałam się, że nie jesteś osobą, z którą miałam się spotkać na randce w ciemno?

Peter podaje mi kubek z kawą i siada z powrotem obok.

— Nie wiedziałem, że jesteś na randce w ciemno. Dotarło do mnie, że to pomyłka, w tej samej chwili co do ciebie — no, może ciut wcześniej. Miałaś uroczą minkę. Cieszę się, że się zatrzymałaś i zagadałaś do mnie po tym, jak wyszłaś. — Peter patrzy na mnie znad brzegu swojego kubka, pijąc kawę. Te niebieskie oczy są... odurzające. Nie mogę przestać się na niego gapić.

Przez dłuższą chwilę rozmawiamy o niczym, aż wreszcie stawiam swój kubek na stojącym obok pudełku. Przez cały czas naszej rozmowy czuję, jak przyciąga mnie do Petera jakaś niewidzialna siła. Ma on w sobie coś, co do mnie przemawia i sprawia, że łączy mnie z nim więcej niż z kimkolwiek innym — a ja wcale się tego nie boję, chociaż nie wiem, co to jest.

Peter jest bardzo miły. Kiedy się uśmiecha, ten uśmiech rozświetla całą jego twarz. A mimo to w jego oczach jest jakiś cień, całkiem jakby życie było dla niego surowsze, niż daje po sobie poznać. Czuję to. Ciągnie swój do swego, mawiają, a moje życie też nie było lekkie. Kiedy trafiam na kogoś tak samo kruchego i po przejściach jak ja, natychmiast wyczuwam w nim bratnią duszę, jednak nie ma zbyt wielu takich osób. Nie wiem, jak inni reagują, kiedy ich życie wali się w gruzy — ja w każdym razie nie zamierzam się poddawać, nie chcę stracić wiary w ludzi. Cierpienie mnie nie zniszczy — nie pozwolę na to. W oczach Petera widzę to samo niezłomne postanowienie — i słyszę je w jego głosie. Coś ukrywa przed światem, ktoś go kiedyś zranił. Te słodkie żarciki, ten zawadiacki uśmiech i roziskrzony wzrok — to maska, za którą ukrywa ból, ale na próżno. Jest rozbity, rozdarty tak samo jak ja. A to przyciąga go do mnie w jakiś sposób i nie mogę tego zlekceważyć.

Peter wyciąga rękę i stawia swój pusty kubek na tym samym kartonie co ja. Kiedy wraca na swoje miejsce, ociera się o mnie ramieniem. Chłonę jego zapach. Rany, pachnie wręcz nieziemsko. Magnetyzm, który mnie do niego przyciąga, jest nie do przewyciężenia. Peter siedzi teraz tuż obok, bardzo blisko mnie. Zagłębia mi głęboko w oczy i żołądek fika mi powolnego koziołka. To jest to. Czuję to. Mogłabym przespać się z nim i zapomnieć o ostatnim razie. Tak daleko już zaszłam... Jeszcze kilka kroków, parę minut. Mogę to zrobić. Potrafię, postanawiam twardo.

Nie mówiąc już o tym, że czuję się dzięki niemu tak, jakbyśmy byli razem od zawsze. Chcę go dotykać — to takie dziwne! Nie czułam się tak od naprawdę długiego czasu. Całkiem jakby Peter przywrócił mnie do życia... A teraz mogę tu tylko siedzieć i pilnować się, żeby się na niego nie rzucić i nie zanurzyć palców w jego włosach. Chcę czuć go blisko. Chcę, żeby całował moje usta, żeby pieścił mnie aż do rana. Kiedy wypuszcza powietrze, czuję na policzku jego oddech — ciepły i cudowny. Serce bije mi szybciej, gdy Peter przysuwa się odrobinę bliżej. Jego oczy błędzą po mojej twarzy, chłonąc każdy szczegół. Z nerwów czuję w żołądku łaskotanie.

Peter podnosi rękę i gładzi moją twarz, delikatnie przesuwając opuszkami palców po moim policzku. Zamykam oczy i wtulam się w jego dłoń. Czuję, jak każda cząstka mojego ciała budzi się do życia. Głos więźnie mi w gardle. Nie potrafię wykrztusić słowa. Czuję narastające między nami napięcie; jeszcze chwila i się zapomnę... Chcę się zapomnieć. Chcę na chwilę przestać myśleć, chcę żyć własnym życiem i zatracić się w pocałunku. To takie dziwne — ale nie bronię się przed tym. Wręcz przeciwnie — zmuszam się do parcia naprzód.

Moje ciało przeszywa fala gorąca; pragnę go, chcę czuć smak jego pocałunków i tulić go w ramionach. Peter odgarnia z mojej twarzy kosmyki włosów, pochyla się nade mną i dotyka wargami moich ust. Wpijam się w niego z zapartym tchem, niezdolna ukryć, jak na mnie działa. Jego dolna warga ociera się zmysłowo o moją. Peter całuje mnie — początkowo lekko, delikatnie, z wahaniem. Każdy pocałunek jest nieskończenie powolny i niepewny, tak jakby Peter pragnął sprawdzić, czy może pozwolić sobie na więcej. Przywiera wargami do moich ust coraz mocniej i gryzie mnie lekko w dolną wargę; w odpowiedzi wtulam się w niego cała i przyciskam mocniej usta do jego ust. Czuję, jak przesuwa koniuszkiem języka po moich zębach. Powtarza to, potem robi to jeszcze raz, aż wreszcie otwieram usta. Błędząc językiem po ich zakamarkach, Peter całuje mnie mocniej. Z gardła wyrывa mi się jęk rozkoszy i wtulam się w niego jeszcze mocniej — nie chcę, żeby przestał. Całe moje ciało płonie. Każda cząstka mnie reaguje żywiołowo na najlżejszy dotyk tego mężczyzny. Gdy pieści moją skórę, czuję się lżejsza, całkiem jakbym unosiła się w powietrzu.

Przywieram do niego jeszcze mocniej i gładzę jego plecy, przesuwając

palcami po umięśnionym ciele. Peter przesuwając ręce na moją talię i wkłada je pod rąbek sukienki. Jego dotyk jest cudowny. Puls mi przyspiesza — nie potrafię tego powstrzymać. Nie umiem zamaskować urywanego oddechu, reakcji na dotyk Petera. Jego dłonie rozpalają moją skórę. Pociągamy go na siebie i kładziemy się na sofie. Jego usta wciąż wpijają się w moje wargi, a ja odwzajemniam jego pocałunki.

Nigdy wcześniej nikt na mnie tak nie działał. Pamiętam wiele cudownych pocałunków, ale to nie to samo — to więź, która sięga głębiej. Każdy jego pocałunek przeszywa mnie jak strzała i niesie za sobą ładunek, który zostawia głęboko w mojej duszy palący ślad. Rzadko w życiu bywam czegoś stuprocentowo pewna, ale teraz jest właśnie jeden z takich momentów: wiem ponad wszelką wątpliwość, że Peter Granz jest... inny. Wszystko w nim — od jego dotyku aż po głos — mnie do niego przyciąga.

Rozpinam po kolei guziki jego koszuli. Kiedy ta opada na podłogę, moim oczom ukazuje się pięknie wyrzeźbiona klatka piersiowa. Wzdycham i przesuвам palcami po twardych jak skała mięśniach. Peter obserwuje, jak przeciągam ręką po jego piersi i sięgam do brzucha. Kiedy zatrzymuję dłoń na wysokości jego pasa, podnoszę na niego wzrok.

— Jesteś taka piękna — szepcze, a potem pochyla głowę i składa na mojej szyi pocałunek. Przymykam oczy i rozkoszuję się rozlewającym się po moim ciele dreszczem. Peter przesuwając ręce do stanika mojej sukienki, powoli badając, jak daleko może się posunąć. Gdy jego dłoń ociera się o moją pierś, nie mogę się powstrzymać i jęczę mu prosto do ucha. Napieram biodrami na jego biodra i czuję, jaki jest twardy — jak mocno mnie pragnie.

Peter zostawia na mojej szyi gorące ślady pocałunków. Jego usta są tak rozpalone! Za każdym razem, kiedy przyciska je do mojej skóry, moje ciało przenika dreszcz, który aż podrywa je do góry. Nie potrafię być bierna. Wszystko, co robi, zmusza mnie do reakcji. Moje ręce błądzą po jego umięśnionych plecach — jego mięśnie są tak twarde i napięte! Peter zmienia pozycję i przesuwa nogę nieco na bok. Nie spuszczając ze mnie wzroku, dotyka dekoltu mojej sukienki i powoli zsuwa jedno ramiączko. Przyglądam mu się, oddychając głęboko, powoli. Kiedy tak na mnie patrzy, oczy mu ciemnieją. Delikatnie zsuwa drugie ramiączko, które opada luźno. Czuję na sobie jego palący wzrok. Wiem, że tego chcę. Peter zsuwa górę sukienki w dół.

Mam na sobie przezroczysty, czarny stanik — wszystko przez niego widać. Peter wbija we mnie wzrok, całkiem jakby nie mógł się napatrzeć, aż wreszcie schyla głowę na moją pierś. Najpierw przesuwa wargami po materiale, przyprowadzając mnie do dreszczu rozkoszy i sprawiając, że moje brodawki stają się tak twarde, że aż boli. Tracę resztki zdrowego rozsądku. Jęczę pod ciężarem ciała Petera, przywieram do niego i cała drżę. Czuję, że to, co robię, jest słuszne, dobre

— i pragnę tego. Chcę czuć na sobie jego usta. Chcę czuć na skórze dotyk jego języka. Jęczę znowu i wplatam palce w jego ciemne włosy. Wyginam plecy w łuk, przyciskając pierś mocniej do jego ust. Dłonie Petera sięgają do ramiączek mojego biustonosza. Zsuwa jedno i odsłania miękką skórę mojej piersi, a potem całuje moje nagie ramię. Jego usta wędrują niżej, wypalając ścieżkę gorących pocałunków. Czuję na nagiej skórze jego dłoń, ciepłą i ciężką. Zatrzymuje się chwilę na mojej piersi i waży ją w dłoni. Jego kciuk pociera brodawkę, sprawiając, że moje biodra zaczynają żyć własnym życiem. Dysząc ciężko, szepczę jego imię, błagając go, żeby mnie całował, dotykał, pieścił... On muska wargami moją skórę i mam wrażenie, że tracę zmysły. Całe moje ciało żywiołowo reaguje na jego pieszczoty — każdy centymetr mojej skóry płonie żywym ogniem. Pragnę tego mężczyzny, potrzebuję go! Peter całuje i kąsa lekko moją pierś, dopóki z pożądania nie staję na granicy obłędu. Wpieram biodra w jego, pragnąc więcej... a wtedy on zsuwa dłoń na moją nogę i powoli przesuwa palcem w górę uda. Rozchylam kolana i zaczerpuję głęboko tchu, pragnąc z całej duszy, żeby Peter wsunął rękę pod moją sukienkę i dotknął tego rozpalonego punktu między moimi nogami. Peter porusza się powoli, obserwując mnie cały czas. Gdy przesuwa delikatnie ręką po materiale moich majteczek, prawie wariuję. Nie wytrzymam dłużej tego, jak się ze mną drażni — jak mi się przygląda, całkiem jakby dobrze wiedział, jak na mnie działa, i robił to celowo. Wpijam paznokcie w jego przedramię i przeciągam nimi po jego skórze... i nagle Peter traci nad sobą resztki panowania, zupełnie jakby mój gest sprawił, że podjął decyzję. Napiera na mnie całym ciałem, wsuwa mi dłoń między uda i przyciska zachłannie usta do mojej piersi. Wiję się pod dotykiem jego dłoni, a moje ciało przeszywa gwałtowny dreszcz.

Wszystko jest idealnie... do momentu, kiedy czar chwili przerywa ostry dźwięk: telefon w kuchni dzwoni, wypełniając puste pokoje głośnym echem. Peter zamiera. Przenikliwy dzwonek dźwięczy natarczywie raz po raz, bez końca. Dzwoni i dzwoni. Peter wzdycha w moje ramię. Oboje leżymy przez chwilę bez ruchu, aż wreszcie on wstaje, siada i ignorując telefon, pociera twarz dłońmi. Wzdycha ciężko jeszcze raz i mówi:

— Wybacz mi, Sidney, ale nie mogę tego zrobić.

Kiedy dociera do mnie, co ma na myśli, coś we mnie pęka. Nie rozumiem, co się stało, jednak on, zamiast mi wyjaśnić, wstaje i odwraca się do mnie plecami. Nie widzę jego twarzy, tylko napięte mięśnie na jego plecach. Po chwili Peter zakłada ręce na głowę i znowu głośno wzdycha. Podnosi wzrok na sufit i odwraca się do mnie. Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, serce mi zamiera. Jeżeli wcześniej uważałam go za ciacho... to nie wiem, co powiedzieć o nim teraz. Jego pierś wygląda, jakby wyszła spod dłuta Michała Anioła, ale te oczy... te niesamowite niebieskie oczy sprawiają, że tracę głowę. Gapię się na niego, nie mając pojęcia, o czym myśli.

Telefon przestaje dzwonić i nastaje niezręczna cisza. Wstrzymuję oddech, a Peter podnosi z podłogi koszulę i ją zakłada. Ja tymczasem nasuwam z powrotem ramiączko stanika i poprawiam sukienkę.

Jestem taka rozpalona — i taka zdenerwowana! Chcę wiedzieć, dlaczego mnie odtrącił. Nigdy wcześniej nikt mi czegoś takiego nie zrobił. Czuję się głupio, że sprawy zaszły tak daleko, a potem wszystko skończyło się tak nagle. Zastanawiam się, czy zrobiłam coś nie tak. Wbijam wzrok w jego plecy. Stoi tuż obok, na wyciągnięcie ręki.

— Wybacz mi, Peter — mówię. — Nie sądziłam, że to tak wyjdzie. Naprawdę nie przyszłam tu, żeby się z tobą przespać. — Mówię prawdę. Wcale nie miałam zamiaru pójść z nim do łóżka, ale gdy mnie pocałował... chciałam coś poczuć — choćby przez chwilę — coś innego od nieustannego bólu i żalu, które towarzyszą mi każdego dnia. To była chwila, w której mogłam się zatracić i zapomnieć o wszystkim, szansa na wyrwanie się z tego koszmaru.

Jestem zbyt zachłanna. Za dużo chciałam. Nie powinnam była na to pozwolić. Powinnam się zachować jak normalna, skromna dziewczyna i powiedzieć „nie”. Problem w tym, że nie jestem chyba normalna — zbyt wiele przeszłam. Noszę w sobie zbyt wiele blizn. Nie mogę na niego patrzeć.

Peter szuka mojego wzroku — czuję to, ale nie patrzę na niego. Wsuwa rękę do kieszeni i wbija spojrzenie w podłogę.

— Wiem. Kawa... — Mam wrażenie, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale nie kończy zdania. Zamiast tego patrzy na mnie przez chwilę niepewnie i żołądek zaciska mi się w ciasny supeł. Przepelnia mnie poczucie winy, paniczny strach i wściekłość — aż mnie mdli. Peter odwraca wzrok i milczy.

Cisza między nami jest ciężka i zimna. Muszę stąd wyjść. Każda cząstka mnie krzyczy, żebym stąd uciekała. Marnie znoszę upokorzenie. Próbuję się uśmiechnąć, ale niezbyt mi to wychodzi — mam za mocno zaciśnięte zęby.

Nie przychodzi mi do głowy nic, co mogłabym mu powiedzieć — nic, co mogłoby poprawić sytuację — więc sięgam po torebkę i rzucam tylko:

— Dzięki za kawę. — Ostatnie słowa dźwięczą niezamierzonym podtekstem i głos więźnie mi w gardle. Przerazona, podnoszę na Petera spłoszony wzrok.

Po jego twarzy przemyka cień zawstydzenia. A niech mnie szlag! Nie zauważyłam tego wcześniej, ale... on jest nieśmiały! Jest w nim ślad nieufnego chłopca. Za chwilę padnę trupem. Jest taki idealny! Oto mężczyzna doskonały... który właśnie mnie odtrącił.

Peter odzyskuje nieco ze swojej pewności siebie i po chwili po nieśmiałości nie ma już śladu. Pochyla się i całuje mnie w policzek.

— Dzięki za wszystko.

Wymieniamy jeszcze kilka zdań, jednak uczucie więzi nie znika. Trudno mi go zostawić — nie chcę stąd wychodzić. Czuję się, jakbym w jakiś sposób go

zraniła, ale wiem, że nie mogę tu zostać. Nie po tym, co się wydarzyło. To nie jest coś, co można zbagatelizować. Jednak jeśli jeszcze kiedyś się spotkamy, nie ma szans, żebyśmy zostali przyjaciółmi — nie po tym wszystkim, co się wydarzyło. Za bardzo się przed nim obnażyłam, a nie należę do osób, które pchają się tam, gdzie ich nie chcą. Idę za Peterem do drzwi. Nie odzywa się ani słowem. Odwracam się do niego i z rozchylonymi wargami patrzę mu w oczy. Pytanie wisi między nami w powietrzu — nie muszę go wypowiadać — ale on ucieka wzrokiem w bok. W porządku. Nie chce nawet na mnie patrzeć. Wszystko jedno. Opieram się chęci nawrzeszczenia na niego i z impetem zbiegam po schodach. Peter wychodzi na klatkę i patrzy za mną, dopóki nie wsiądę do samochodu. Odjeżdżam, nie oglądając się za siebie.

Rozdział 4.

Kiedy wracam do akademika, jestem w maksymalnie parszywym nastroju. Poznałam chodzący ideał i wszystko spieprzyłam. Nie wiem nawet, co zrobiłam nie tak! Czy chodziło o to, że wbiłam mu w rękę paznokcie? Czyżbym przypomniała mu o zdechłym kotku albo o czymś w tym stylu? Idę korytarzem ze spuszczoną głową. Drzwi nadal są otwarte. Mieszkam w żeńskim akademiku — część dziewczyn jest już w piżamach, inne nadal są ubrane.

Mijam kilkoro drzwi i macham do koleżanek. Któraś z nich gwizdże na mój widok.

— Ale laseczka! — woła za mną jakaś blondynka. Nawet jej za dobrze nie znam. Widujemy się na zajęciach i to wszystko. Kiedy podnoszę na nią wzrok, rusza wymownie brwiami, zakładając najwyraźniej, że wracam z udanych łowów.

Taa, udanych jak jasna cholera!

Skrećam za róg i widzę na końcu korytarza otwarte drzwi do mojego pokoju. Ich widok napędza mnie smutkiem. Nie chcę rozmawiać z Millie o Peterze. Nie mówiąc już o tym, że będzie na mnie na pewno wściekła z powodu numeru, który wycięłam jej przy kolacji. To było głupie, ale ten cały Dusty... rany boskie! Chyba nie mogła wybrać nikogo gorszego — no, chyba że umówiłaby mnie z podstarzałym harleyowcem, mającym świra na punkcie stóp. Niech to szlag!

Patrzę na drzwi i powoli dojrzewam do podjęcia decyzji. O Peterze i o tym, co się między nami wydarzyło, najlepiej będzie zapomnieć. Nie chcę o tym rozmawiać. Sam fakt, że zostałam odtrącona, jest już wystarczająco upokarzający, ale jeszcze gorsze jest to, że Peter odrzucił mnie po tym, jak pozwoliłam mu na tak wiele — a przecież dopiero co się poznaliśmy. To był naprawdę widowiskowy koszt — tak jakby nie wystarczyły mi zwykłe policzki wymierzone mi codziennie przez życie. Odsuwam zmartwienia na bok i przywołuję na twarz zdeterminowaną minę: wszystko gra.

Okazuje się, że w naszym pokoju odbywa się dziś nasiadówka. Kiedy wchodzę, widzę na podłodze sześć dziewczyn robiących brzuszki. Patrzę na Millie i rzucam jej pytające spojrzenie: „Co to, do jasnej cholery, ma być?”

Millie siedzi na krześle przy naszym wspólnym biurku. Ponieważ nie jest spocona i nie ma zboląłego wyrazu twarzy, domyślam się, że dopiero czeka na swoją kolej — w pokoju nie ma więcej miejsca.

— Znalazłyśmy starą taśmę z ćwiczeniami na brzuch. Megan stwierdziła, że zrobi cały program, i założyłyśmy się, która pierwsza padnie.

Kiwam głową, rzucam torebkę na szafkę nocną i siadam na swoim łóżku. Millie przygląda mi się uważnie przez chwilę. Widzę, że chciałaby pogadać, ale nic nie mówi. To dobrze. Zdejmuję buty, biorę swoje rzeczy i idę pod prysznic.

Dzisiejszy dzień był całkiem do dupy. Muszę go z siebie zmyć — i to bardzo

dokładnie.

Staję pod prysznicem i pozwalam, żeby strumienie wody spływały po moim ciele, ale nieważne, jak długo poddam się ich kojącemu dotykowi — nie mogę pozbyć się wspomnienia dłoni Petera na moim ciele; całkiem jakby ktoś wypalił je w moim mózgu. Nie mam pojęcia, co zrobiłam źle. Nie wiem, czy liczyłam dziś wieczór na seks z Peterem — to nie było w moim stylu, pozwolić, żeby sprawy zaszły tak szybko tak daleko — ale nigdy bym nie pomyślała, że wszystko skończy się tak nagle.

Próbuję się uspokoić i wracam do pokoju — odkąd wyszłam, minęło dwadzieścia minut. Szóstka dziewczyn leży na podłodze, trzymając się za brzuchy.

— O mamusiu! Za chwilę umrę! — jęczy leżąc z boku Evie, zwinięta w kłębek. Ciemne włosy rozsypane wokół jej głowy wyglądają jak plama atramentu.

— Mówiłam wam, że to będzie hardcore! Mówiłam, ale nikt mnie nie słuchał! — krzyczy Millie z rękami wspartymi na biodrach i miną „A nie mówiłam?”.

— No to — wchodzę jej w słowo — kto wygrał?

Millie obrzuca porozkładane na podłodze nieszczęśniczki wzrokiem i kręci głową.

— Tia wytrzymała najdłużej. Dziewięć minut.

Tia podnosi ramię do góry i pokazuje wyciągnięty kciuk.

Śmieję się.

— Super, Tia! Gratki dla wszystkich. Ten program to masakra. Jutro wszystkie będziecie chodziły przygarbione jak stare babcie!

Któraś z dziewczyn zaczyna się śmiać, ale śmiech szybko zmienia się w jęk bólu.

Millie patrzy na mnie ze swojego łóżka; siedzi po turecku z rękami wspartymi na kolanach.

— Gdzie zniknęłaś na cały wieczór? Wydawało mi się, że zależy ci na tej randce.

Millie jest blondynką z szopą jasnych loków. Dziś wieczór ściągnęła je w kucyk; ma na sobie top i bokserki.

Wzruszam ramionami, jakby nigdy nic, ale ściska mnie w dołku.

— Nigdzie. Przepraszam, że cię wystawiłam do wiatru.

Millie wygląda na wkurzoną, ale po chwili widzę, jak zwiesza z rezygnacją ramiona, i wiem, że mi wybaczyła.

— Nie powinnam była cię do tego zmuszać.

— Zabrałaś ją na następną randkę w ciemno? — pyta Tia. — Chyba dawno nikt ci nie skopał dupy, Millie.

To fakt. Wszyscy wiedzą, że namawianie mnie na takie rzeczy to niezbyt dobry pomysł.

— Nasza Jersejka mnie nie skopie — mówi Millie, wykrzywiając się do Tii.
— Mam immunitet.

Śmieję się.

— Po dzisiejszym wieczorze? Nie bądź taka pewna. Nigdy więcej randek w ciemno. Zrób mi, proszę, tę przysługę i nie umawiaj mnie więcej z dupkami, dobra? W razie potrzeby potrafię znaleźć sobie jakiegoś sama, a jeżeli to zrobię, karm mnie lodami, dopóki się nie porzygam.

— Lodami? — pyta z podłogi Tia i siada z twarzą wykrzywioną bólem. — Co ty, dwanaście lat masz? Duże dziewczynki po gównianej randce idą się nastukać.

Nie ja — co to, to nie — ale żadna z nich nie musi o tym wiedzieć. Śmieję się ze wszystkimi i zgadzam się wyjść z nimi jutro do pubu. I tak mam wymówkę: następnego dnia rano idę do pracy, więc będę musiała wcześniej wstać — kac wykluczony — i żadna z nich nie będzie mi więcej zawracać głowy.

Nazajutrz zjawiam się w pracy wcześniej. Jestem asystentką wykładowcy na wydziale angielskiego, na którym studiuje. Biura profesorów mieszczą się na górze, z dala od klas. Dzisiaj jest tutaj dziwnie pusto, więc wraz z innymi studentami, którzy tu pracują, kręcimy się bez celu, zastanawiając się, gdzie się podziewają wykładowcy. O tej porze zazwyczaj wre tu jak w ulu: dzwonią telefony i warkoczą kserokopiarki, a nauczyciele spieszą się, żeby zdążyć na wykłady na ósmą — jednak dzisiaj jest inaczej, dziwnie cicho.

Wchodzę do środka i idę do biura Tadwicka, ale nie dostrzegam żadnego śladu jego obecności — na biurku brak kubka z parującą kawą, a ekran komputera jest ciemny. Cóż, pewnie Tadwick się spóźni, uznaję.

Kładę torebkę na jego biurku, żeby nikt jej nie skubnął, i patrzę na zdjęcia w ramkach. Tadwick nie jest stary, ma może góra czterdzieści pięć lat, gęste brązowe włosy i ciemne oczy. Na jednym ze zdjęć są dwie małe dziewczynki patrzące na Tadwicka jak na najlepszego tatę na świecie. Wyglądają na takie szczęśliwe... To uczucie jest mi tak obce, że nawet nie jestem w stanie go sobie wyobrazić.

Wychodzę z biura i dołączam do reszty studentów. Ktoś mówi: „Pięć minut i idziemy do domu” i wszyscy się śmieją. Siadam na pustym biurku jednego z asystentów. Główny asystent Marshal chodzi w tę i z powrotem — zaraz od tego chodzenia wytrze w dywanie dziurę. Spóźnianie się jest dla niego czystą abstrakcją. Jest pedantem i ma bzika na punkcie kontroli, więc w tej sytuacji zachowuje się, jakby lekko ześwirował. I tak w razie czego wszyscy spóźnimy się na wykłady — nie tylko on — ale chociaż nie mamy na to wpływu, on zachowuje się tak, jakby to była jego wina. Zajęcia już się zaczęły — jest pięć po ósmej. Wszyscy asystenci powinni się wpisać na listę i iść na lekcje, ale w głównym biurze nikogo nie ma — więc nie ma kto jej wywiesić. Wszystko jest nadal pozamykane, całkiem jak w środku nocy.

Wszyscy nauczyciele są w sali konferencyjnej na końcu korytarza. Jeden ze studentów, Ryan, próbuje podsłuchiwać pod drzwiami, ale kiedy wreszcie wraca, mówi, że nic nie usłyszał.

— Co się dzieje? Gdzie są wszyscy? — pyta mnie spanikowanym głosem Marshal. Jest wysokim, chudym blondynkiem o żyłastym ciele skatera — całkiem przystojnym, ale niestety, zbyt narwanym, żeby można go było uznać za atrakcyjnego. Dodajcie do tego aspołeczne nastawienie rozhisteryzowanej zaściankowej pedantki i macie wypisz wymaluj Marshala. Chociaż trudno się z nim dogadać, nauczyciele go uwielbiają, bo jest pracoholikiem — wszystko musi być u niego dopięte na ostatni guzik.

— Są w sali konferencyjnej — mówię, skubiąc paznokieć. Skręca mnie z niepokoju. Nie mam pojęcia, co takiego mogło się wydarzyć, że wykładowcy olali pracowników i wykłady.

Marshal wypuszcza powietrze z głośnym sykiem.

— Co to za narada? Wykłady już się powinny zacząć! Wiesz, że wszystkie młodsze grupy mogą uznać, że stosuje się tutaj zasadę pięciu minut spóźnienia, i iść do domu?

Kiwam głową.

— Może i tak, ale Tadwick nie puści tego płazem. Kiedyś spóźnił się dwadzieścia minut, a gdy nie zastał grupy, wpisał wszystkim nieobecność. Można mieć u niego tylko dwie nieobecności, więc połowa grupy poleciała. O jego surowości krążą legendy. Wątpię, żeby sobie poszli.

Marshal i ja jesteśmy przydzieleni do tego samego profesora. On zajmuje się studentami wyższych lat, a ja świeżakami. Widzę, że moje skubanie paznokci go wkurza, więc zamiast tego zaczynam obskubywać sweter. Marshal wzdycha i kręci głową. To nie moja wina, że reaguję tak nerwowo; poza tym kiepsko spałam i miałam dwa paskudne dni z rzędu.

Tego ranka postanowiłam przykleić na twarz uśmiech i nie dać się wyprowadzić z równowagi — choćby nie wiem co.

Macham nogami, pochylam się i opieram ręce na biodrach. Chwilę później do biura wpada Tia i opada na kanapę po drugiej stronie pomieszczenia. Wszystkie jej rzeczy sypią się na podłogę, a ona wydaje z siebie zboląły jęk.

— Co jej jest? — pyta Marshal, patrząc na nią podejrzliwie. — Mam nadzieję, że nie jest chora, bo jeśli tak, nie powinno jej tu być — mówi, podnosząc głos o pół oktawy.

— Spokojnie, nerwusie! Wygrała wczoraj konkurs fitnessowy.

Marshal mruga, nie rozumiejąc.

— Mój brzuch zdecydowanie nie był na to przygotowany — jęczy Tia. — Pieprzone zajęcia pilatesu! Czuję się, jakby ktoś zrobił sobie z moich bebechów worek treningowy! — Stęka i przewraca się na bok.

Nagle Marshal odwraca się w moją stronę.

— Podejrzewam, że ta historyjka ze spóźnieniem Tadwicka na połowę zajęć to bujda. — Przykłada z namysłem palec do ust i dodaje: — Chociaż w sumie dobra bujda też może napędzić świeżakom stracha. Może rzeczywiście nie uciekną.

— Zostaną — uspokaja go z drugiego końca pokoju Tia. Nie mam pojęcia, po co się położyła — teraz pewnie nie da rady wstać. Macha ręką i mówi: — W każdym razie moja grupa pewnie już dawno dała nogę. Na Strickland nie zaczekałoby nawet dwóch sekund.

Marshal zerka na nią i prychnie kpiąco.

— To dlatego, że Strickland jest zbyt pobłażliwa.

Ktoś za plecami Marshal'a odchrząkuje głośno.

— Naprawdę? Nie wiedziałam o tym. — Do biura wchodzi Strickland we własnej osobie i patrzy na Marshal'a z ukosa. — W tym semestrze będę ich trzymała krócej i powiem im, żeby podziękowali za to tobie, Marshal.

Marshal wytrzeszcza oczy tak, że lada chwila wyjdą mu z orbit, a kącik ust Strickland unosi się w uśmiechu. Psorka tylko się z nim drażni, jednak Marshal ma problem z rozpoznawaniem sarkazmu. Strickland obrzuca go krytycznym spojrzeniem i dodaje:

— Rany boskie, naprawdę sądzisz, że to zrobię? Marshal, naucz się wreszcie rozpoznawać, kiedy ktoś robi sobie z siebie bekę.

Doktor Cyanna Strickland jest dziekanem wydziału. To starsza kobieta o skórze w kolorze miedzi i kasztanowych włosach z pasemkami siwizny. Zazwyczaj ubiera się w kostiumy w żywych barwach, ale dziś ma na sobie czarne ubranie — to do niej niepodobne. Machnięciem ręki zbywa gorączkowe przeprosiny Marshal'a. Widok jej miny sprawia, że czuję w żołądku niepokojący chłód. Stało się coś złego.

Strickland krzyżuje ramiona na piersi i mówi:

— Mamy ważniejsze sprawy do omówienia. Obawiam się, że przynoszę złe wieści. Jak zapewne wiecie, od zeszłego roku, od czasu zawału, doktor Tadwick prowadził zajęcia dwa razy w tygodniu. Po chorobie szybko doszedł do siebie i miał wrócić na pełny etat, jednak... — urywa, splata dłonie i rozgląda się po zgromadzonych — stało się inaczej. Doktor Tadwick odszedł od nas w zeszły weekend.

Opada mi szczeka — tak samo zresztą jak wszystkim obecnym w pomieszczeniu. Kiedy Tadwick wrócił do pracy, żartował sobie ze swojego zawału. Był pełen życia... i był taki młody, w porównaniu do innych wykładowców! Miał dobre perspektywy i świat stał przed nim otworem. Większość wykładowców odchodzących z naszej uczelni była dwukrotnie starsza niż on. Tadwick był młody, zbyt młody... i każdy go lubił.

Wszyscy w pokoju są wstrząśnięci. Mają równie zaskoczone i przerażone miny jak ja. Tadwick cieszył się wśród nas szacunkiem i sympatią. Strickland czeka

chwilę, po czym kontynuuje:

— Wiem, wiem. Nikt się tego nie spodziewał. Wszyscy sądzili, że... — Drży jej głos. Stara się zachować kamienną twarz, ale przychodzi jej to z dużym trudem. — Był dobrym kolegą po fachu i przyjacielem. W zaistniałej sytuacji musieliśmy szybko znaleźć kogoś na miejsce doktora Tadwicka, tak żeby jego uczniowie mogli kontynuować naukę. Nasza uczelnia zatrudniła nowego nauczyciela, jednego z moich byłych studentów, który poprowadzi jego zajęcia. Sidney, Marshal, zaraz się z nim spotkacie. W tej chwili informuje studentów o wszystkim. Nie wiem, czy planuje dziś poprowadzenie wykładu, czy zwolni uczniów do domu — decyzja należy do niego.

Marshal i ja potwierdzamy skinieniem głowy, że przyjęliśmy to do wiadomości.

Nie wierzę, że Tadwick nie żyje. Jestem wstrząśnięta i nie potrafię się pozbierać. Jego biedne córeczki... Serce ściska mi się z żalu. Kilka razy miałam okazję spotkać te dziewczynki. Ostatnim razem, kiedy je widziałam, przyszły tu z matką, żeby zabrać Tadwicka na obiad — to miała być niespodzianka. A teraz... on odszedł. W ich rodzinie pozostanie pustka, której nie da się niczym zapełnić. Pięką mnie oczy, ale nie umiem płakać. Zbyt wiele łez wypłakałam i teraz nie popłyną, dopóki im na to nie pozwolę. A ja nie zamierzam tego robić. Nie teraz. Nie tutaj.

Strickland patrzy na mnie, całkiem jakby czytała mi w myślach.

— Pogrzeb odbędzie się jutro po południu, gdybyście chcieli przyjść. — Potem podaje szczegóły dotyczące ceremonii pogrzebowej i zwracając się do mnie, dodaje: — Sidney, proszę cię o pomoc w ogarnięciu terminarza. Pewnie część studentów będzie tą wiadomością trochę rozstrojona. Doktor Tadwick był obiecującym młodym wykładowcą. Nikt się nie spodziewał tego, co się stało.

Wiem, że studenci będą wstrząśnięci — a szczególnie ci z grup Marshal'a. Grupy na wyższych latach są niewielkie. Wszyscy się tam znają. Moje grupy liczą po setki studentów. Większość z nich nie знаła Tadwicka zbyt dobrze i nie mam pojęcia, jak zareagują na wiadomość o jego śmierci. Jak w amoku kiwam głową i kieruję się do wyjścia. Moja grupa ma teraz zajęcia na dole — i pewnie już zjadła nowego wykładowcę żywcem.

Kiedy schodzę po schodach, myśląc o Tadwicku, czuję w piersi ogromną pustkę. Moje emocje są jedną wielką skłębioną masą... A kiedy jeszcze pomyślę o tym, co wydarzyło się wczorajszego wieczoru, mam wrażenie, że wciągnął mnie jakiś szalony wir. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Przed oczami mam uśmiech Tadwicka, w uszach dźwięczy mi jego głos, przypominają mi się jego wykłady, wspominam to, czego mnie nauczył — i czego nigdy nie zapomnę. Gdy myślę o jego życiu, które tak nagle się skończyło, przepelnia mnie poczucie beznadziei. To nie w porządku! Bolesny ucisk w piersi sprawia, że czuję dławienie w gardle, które

przyprawia mnie o mdłości. Nie potrafię myśleć o tym, że Tadwick nie żyje — widzę go oczyma duszy w jego brzydkiej patchworkowej kurtce z paskudnymi guzikami. Przypominam sobie jego sylwetkę za biurkiem... i zdaję sobie sprawę z tego, że już nigdy jej tam nie zobaczę.

Są ludzie poświęcający swój czas na przekazywanie innym wiedzy, którą sami posiadli. Teraz wydaje mi się to bez sensu. Kiedyś sądziłam, że pozjadałam wszystkie rozumy, ale Tadwick... miał w sobie taką łagodność! Mawiał, że życie jest podróżą. Że nikt nie wie wszystkiego — i najlepsze w tym jest to, że wcale nie musi. Twierdził, że nie trzeba być wszechwiedzącym, żeby wiedzieć, jak żyć.

Istnieje różnica między mądrością a wiedzą. Tadwick był mądry. Gdy zbliżam się do drzwi sali, ściska mnie z żalu w gardle. W normalnych okolicznościach wszłabym do sali bocznym wejściem i usiadła w pierwszym rzędzie, ale nie dziś.

Dławienie w gardle staje się tak mocne, że z trudem przełykam ślinę. Podchodzę do głównego wejścia do sali i stoję jak sparaliżowana, gapiąc się na srebrną klamkę. Przed wejściem do środka odmawiam w myślach krótką modlitwę za Tadwicka i jego rodzinę. Nie jestem wierząca, ale nie umiem się oprzeć temu impulsowi. Mam wrażenie, że to słuszne, właściwe.

Kiedy otwieram drzwi sali, widzę ciągnące się jak okiem sięgnąć rzędy siedzeń — wszystkie są pełne, więc domyślałam się, że nowy wykładowca postanowił jednak poprowadzić zajęcia. Studenci rozmawiają o *Antygonie* i odpowiadają na pytania dotyczące tego dramatu — dzisiejszego tematu wykładu.

Obrzucam spojrzeniem pierwszy rząd i widzę kątem oka nowego nauczyciela. Dostrzegam tylko, że ma na sobie czarny garnitur. Nie przyglądam się mu — zamiast tego schodzę powoli po schodach. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Wszyscy wiedzą, że byłam... jestem asystentką wykładowcy. Wbijam wzrok w swoje stopy i schodzę na środek auli. Mam wrażenie, że otacza mnie szczelna bańka. Odgłosy wokół mnie są przytłumione. W połowie drogi, kierowana jakimś dziwnym przeczuciem, podnoszę wzrok. Jeż mi się włoski na karku i czuję, że ktoś mi się przygląda.

Powoli się rozglądam, żeby sprawdzić, kto się tak na mnie gapi. To mężczyzna stojący na przedzie auli. Przypatruje mi się przez chwilę i nagle przenika mnie zimny dreszcz. Każda komórka mojego ciała eksploduje. Czuję, jak mózg w środku czaszki rozpada mi się na kawałki.

Nie, to niemożliwe... Och, tylko nie to!
Zatrzymuję się i wytrzeszczam na niego
oczy. To Peter!

Rozdział 5.

Każdy centymetr mojej skóry pokrywa gęsia skórka. W dół kręgosłupa pełźnie mi nieprzyjemny dreszcz i miesza się z pożądaniem, wciąż jeszcze tłącym się we mnie od zeszłego wieczoru. Stoję jak wryta na schodach i gapię się na Petera bez słowa... a on przygląda mi się tymi swoimi cudownymi oczami. Usta ma lekko rozchylone — przerwał w pół zdania — i patrzy na mnie z głową przechyloną nieco na ramię. Mruga, jakby nie dowierzał własnym oczom — jakby podejrzewał, że to tylko sen i kiedy znowu otworzy oczy, zniknę.

Nie mam pojęcia, co sobie myśli — ma denerwująco spokojną minę. Powoli ogarnia mnie przerażenie, żrące jak kwas, wypalając wszystkie inne emocje. Chociaż w tej chwili ich nie czuję, wiem, że tam są, stłoczone za tamą, która lada chwila może zostać przerwana.

Kiedy patrzę na jego ubranie — idealnie skrojony, szykowny garnitur — wreszcie do mnie dociera. Peter stoi przed pulpitem. Odpowiada — albo odpowiadał — na pytania studentów. A niech to szlag!

Peter jest nowym wykładowcą. Peter jest nauczycielem, który zastąpił Tadwicka. Peter jest... moim szefem.

Moje serce staje się kruche jak szkło — mam wrażenie, że kiedy tylko nabiorę powietrza, ono pęknie. Czuję się taka spięta! — wciąż pamiętam dotyk rąk Petera na moim ciele. Mam wrażenie, że moje ciało i moją umęczoną duszę przygniata jakiś wielki ciężar. Zbyt wiele się dziś wydarzyło — i to samych złych rzeczy. Czuję, jak wędrują po mnie cieniutkie linie pęknięć — za chwilę rozpadnę się na drobne kawałeczki.

Reaguję instynktownie. Wbrew własnej woli, ale nie umiem się powstrzymać. Zaczerpuję gwałtownie tchu, zasłaniam usta dłonią i zaciskam wargi tak mocno, że aż boli. Jakaś cząstka mojego umysłu nakazuje mi się ruszyć, usiąść i być cicho, ale nie mogę tego zrobić. Stoję jak wryta i rozpadam się w środku na kawałki, a Peter patrzy na mnie tymi swoimi niesamowitymi oczami. Patrzy i patrzy, stojąc bez ruchu, jakbym przyleciała z kosmosu.

Studentka, której właśnie odpowiadał, Lily, znów zadaje pytanie. Kątem oka widzę, jak podnosi rękę.

— Przepraszam, doktorze Granz?

Peter wzdryga się i odwraca do niej. Uśmiecha się szeroko, całkiem jakby nic się nie stało. Całkiem jakby wcale mnie tu nie było. Wciąż stoję na schodach jak skamieniała, a uczniowie popatrują na mnie dziwnie. Salę wypełnia echo głębokiego głosu Petera. Słysząc go z głośników tak wyraźnie, że nie mogę tego znieść. Mam ochotę stąd uciec, ale nie mogę.

Odsuwam dłoń od ust i schodzę do mojego miejsca na przedzie sali. Peter już na mnie nie patrzy. Prowadzi dalej wykład, a ja siedzę jak na torturach i

wpisuję pytania do interaktywnego pulpitu — jednego z tych, które szkoła kupiła w zeszłym roku. Studenci odpowiadają na pytania za pomocą dotykowych ekranów, a wykładowca może przeczytać wszystko u siebie — to duże udogodnienie, ale większość nauczycieli nie potrafi z tych urządzeń korzystać i właśnie dlatego w każdym zajęciach uczestniczy asystent.

Wykład trwa, a ja staję się coraz bardziej otępiała. Nie umiem sobie z tym poradzić. Zbyt dużo się wydarzyło, za szybko. I tak już czuję się wystarczająco okropnie — tutaj, w sali Tadwicka, ze świadomością, że już nigdy go nie zobaczę. W połączeniu z obecnością Petera, która jeszcze wszystko komplikuje... to dla mnie za wiele. Nie dam rady widywać go codziennie, słuchać, jak mi mówi, co mam robić, siedzieć z nim godzinami i odwalać dla niego papierkowej roboty. Żołądek zaciska mi się w supeł i zbiera mi się na mdłości. Pod koniec wykładu kulę się na swoim krześle tak bardzo, że już chyba bardziej nie mogę.

Peter kończy zajęcia. Odwraca się i przez chwilę patrzy na swój pulpit, podczas gdy ja zbieram swoje rzeczy i szykuję się do wyjścia. Kiedy zaczynam wchodzić po schodach, słyszę jego głos:

— Sidney Colleli, proszę cię na słówko, zanim wyjdiesz. Słyszę za plecami szelest papieru, gdy Peter zbiera swoje notatki.

Powoli się odwracam i podnoszę na niego wzrok. Gula w moim gardle jest już chyba rozmiaru mojej własnej głowy. Nie mogę przełknąć śliny. Jestem roztrzęsiona. Ledwie stoję. Rozmowa z nim to bardzo zły pomysł, ale w pobliżu kręci się jeszcze kilkoro studentów. Nie mogę go zbyć ot tak.

Czy ludzie z grupy zauważyli moją dziwną reakcję na widok Petera? Umawianie się z wykładowcą jest wbrew polityce uniwersyteckiej, nie mówiąc już o randkowaniu z szefem, a wychodzi na to, że Peter jest dla mnie i jednym, i drugim. Jeżeli ktoś się dowie, do czego między nami doszło... wylecimy oboje. Na uczelni nie ma miejsca na tego typu rzeczy. Kiedy zgłaszałam się na stanowisko asystenta, znałam zasady. Wówczas sam pomysł przespania się z nauczycielem wydawał mi się idiotyczny, ale teraz... cholera, jasna, jasna cholera! Ogarnia mnie panika. Gdy idę w stronę Petera, próbuję się ogarnąć. Uśmiecham się do niego szeroko, jak gdyby nigdy nic, i krzyżuję ręce na piersiach.

— A więc mam przyjemność z doktorem Granzem, he?

Patrzy na mnie spode łba. Układa papiery i wsuwa je do teczki.

— Tak. W zeszłym semestrze obroniłem pracę doktorską. Używam tytułu od niedawna. Chyba jeszcze się do niego nie przyzwyczailem.

Kiwam głową.

— Mhm. I pewnie właśnie dlatego zapomniałeś mi o nim powiedzieć?

Obrzuca mnie spojrzeniem mówiącym, że to zły moment na taką rozmowę, a potem patrzy na mnie bezczelnie, całkiem jakby rzucił mi wyzwanie. Nie wytrzymuję i odwracam wzrok. Nie mam siły. Peter chrząka i mówi:

— Spotkajmy się w moim biurze o piętnastej. Musimy omówić parę spraw.
— Wyjmuję z torby nowy plik kartek i kładzie je na pulpicie.

Nie odpowiadam od razu. Wpatruję się w swoje trampki, a potem w jego czarne półbuty — eleganckie, klasyczne lakierki w dwóch kolorach. Uwielbiam takie staroświeckie buty! Przypominają mi o tańcu i śmiechu — rzeczach, które są mi w tej chwili tak obce...

Otwieram usta, zamierzając coś odpowiedzieć, ale w końcu uznaję, że nie ma sensu. Potrzebuję tej pracy. Zrobiłam wszystko, żeby ją dostać, i nie pozwolę, żeby Peter to spieprzył. Kiwam głową i odwracam się na pięcie. Nie oglądam się na niego. Wchodzę bez słowa po schodach.

W głowie układam plan. Muszę wprowadzić między nas trochę dystansu. Muszę sobie znaleźć nowego wykładowcę. Pójdę do Strict-land i poproszę ją, żeby przydzieliła mnie do kogoś innego.

Kiedy docieram na półpiętro, widzę wchodzącego do sali Mar-shala. Podnosi na mnie wzrok i kiwa głową w stronę stojącego za moimi plecami Petera.

— I co? Jaki on jest? — pyta półgłosem. Oglądam się na ścierającego tablicę wykładowcę.

— A skąd mam wiedzieć? — odburkuję i idę dalej.

Marshal rzuca mi zdziwione spojrzenie. Po drodze potrącam go ramieniem, bo nie raczył usunąć mi się z drogi. Nie mam ochoty na jakieś durne pogawędki.

Muszę znaleźć Strictland — i to szybko.

Kiedy docieram do biura, wszystko wydaje się z powrotem w najlepszym porządku. Asystenci siedzą przy swoich biurkach, wykładowcy chodzą w tę i we w tę z kawą i papierami w dłoniach, spiesząc na wykłady.

Idę do biura Tadwicka i staję w drzwiach. Spędziłam tyle godzin! Przechylam głowę na bok i opieram ją o futrynę. Rozglądam się po pokoju, prześlizgując się wzrokiem po książkach Tadwicka — jego ulubionej poezji i prozie. Patrzą na jego zdjęcia i małą glinianą maskarę, wyglądającą jak rozjechany kot. Zrobiła ją dla niego jedna z jego córeczek. Pamiętam, jak przyniósł tu figurkę i pękał z dumy, chwając się dziełem swojej małej artystki. Tamtego dnia był taki rozpromieniony!

Mrugając gwałtownie, próbuję się pozbyć uporczywego pieczenia powiek. Życie jest takie krótkie... Wiem o tym... ale nadal nie mogę uwierzyć, że odszedł. Nie dociera do mnie, że już nigdy go nie zobaczę. To takie... nierealne. Mój umysł nie potrafi tego pojąć, a ja nie umiem pogodzić się z tym, że doktor Tadwick nie żyje.

Kiedy ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu, prawie podskakuję. Odwracam się jak oparzona, z całej siły próbując powstrzymać obronny odruch uderzenia intruza pięścią w twarz. Podkradanie się do mnie jest złym pomysłem nawet w normalnych okolicznościach, a dziś jest to pomysł wyjątkowo nietrafiony. Jestem wściekła.

Jestem ogłupiała. Targa mną milion uczuć, a jednocześnie czuję w środku dziwną pustkę. Mam ochotę komuś przywalić. Ból, który bym przy tym poczuła, byłby czymś znajomym, czymś, z czym umiałabym sobie poradzić... Bo nie mam pojęcia, jak poradzić sobie z tym, co czuję w tej chwili.

Kiedy się opanowuję, widzę, komu o mało nie przyłożyłam — to doktor Strickland! Chociaż odwróciłam się do niej gwałtownie, nie cofnęła się ani nie zabrała ręki. Uśmiecha się do mnie, ale pod tym uśmiechem czai się ukryty ból. Ten uśmiech to maska.

— Wszystko w porządku, Sidney? — pyta wykładowczyni. — Domyślam się, że ty i Marshal musicie być wstrząśnięci.

— Nic mi nie jest. — Staram się brzmieć normalnie. To moja odpowiedź „na odczepne”. Nic mi nie jest, wszystko w porządku — w najlepszym porządku! Tyle tylko, że nic nie jest w porządku. Wszystko jest do dupy. Sztuczny uśmiech znika z mojej twarzy. — No dobrze, wcale nie. Kiepsko się czuję. Nie byłam na to przygotowana... Nie wiem, co robić.

Strickland patrzy na mnie tak współczującym wzrokiem, że trudno jest mi go wytrzymać i się nie rozpłakać.

— Chodź ze mną. — Zabiera rękę, odwraca się i idzie do swojego biura, a ja za nią.

Kiedy pierwszy raz tu trafiłam, pomyślałam, że Strickland to szurnięta kociara. Pełno tu figurek i zdjęć kotów — są dosłownie wszędzie: małe plastikowe kotki zwieszają się z żyrandola, na półkach siedzą ceramiczne pomarańczowe koty, na krzesłach leżą poduszki z wyszytymi kociakami, a biurko jest zavalone zdjęciami kotów w ramkach. Serio. To jest przerażające! W końcu dowiedziałam się, że zaopatrzyła się w te wszystkie koty, kiedy padła ofiarą głupiego żartu i zorientowała się, że podobne rzeczy przerażają ludzi. Cóż, muszę powiedzieć, że ma ciekawe poczucie humoru.

Siadam na poduszce z wyszytym kotkiem i opadam na oparcie krzesła. Strickland przechodzi za biurko i także siada.

— Sidney, wiem, że miałaś dziś ciężki dzień. Czy straciłaś już kiedyś kogoś? Kiwam głową i splatam mocno palce złożonych na podolku dłoni.

— Tak.

Ona również kiwa głową, czekając, aż powiem coś więcej, ale milczę. Są rzeczy, o których nie chcę mówić, tajemnice, które wolę zachować dla siebie. Nie mogę o tym rozmawiać. Nie teraz... nigdy.

— Cóż, możesz porozmawiać o tym ze szkolnym psychologiem. Może to pomoże... Lepiej, żebyś nie męczyła się z tym sama. Wiesz, że wszystkim nam będzie go brakować.

Kiwam głową.

— Jak było na porannym wykładzie z nowym nauczycielem?

Podnoszę na nią wzrok, lekko spłoszona.

— Dobrze. Doktor Granz poprowadził zajęcia... — Urywam na chwilę, ale w końcu wyrzucam to z siebie: — Czy mogłabym prosić o przeniesienie do innego wykładowcy?

Strickland wydaje się zaskoczona. Pochyliła się w moją stronę i kładzie dłonie płasko na biurku.

— Dlaczego? Czy coś jest nie tak? Czy doktor Granz...

— Nie — zaprzeczam szybko. — Po prostu chyba nie dam rady pracować nadal tutaj, w biurze pana Tadwicka. Byłoby mi o niebo lżej, gdyby przydzieliła mnie pani do kogoś innego — kłamię. No, odrobinę. Nie mam ochoty siedzieć tutaj z Peterem każdego dnia. Nie chcę na niego patrzeć i wspominać dotyku jego rąk na moim ciele... a już na pewno nie chcę pamiętać o tym, jak mnie wyrzucił z mieszkania.

Doktor Strickland kręci głową.

— Przykro mi, Sidney, ale wszystkie stanowiska asystenckie są już dawno obsadzone. Zwyczajnie nie mam cię do kogo przydzielić. Będziesz się musiała nauczyć, jak sobie z tym radzić, i jestem pewna, że doktor Granz chętnie ci w tym pomoże. Chyba że chcesz zrezygnować? — Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Wiem, że szukanie i szkolenie nowego asystenta w środku roku akademickiego to ostatnia rzecz, na jaką ma ochotę.

— Nie, nie chcę odchodzić — mówię. — Potrzebuję tej pracy. — Patrzę na swoje dłonie — na lakier na paznokciach, które wczoraj były tak ładnie pomalowane, a teraz są całe poobskubywane. Przed oczami stają mi obrazy z wczorajszego wieczoru. Widzę oczy Petera i słyszę w głowie echo jego głosu. Czuję palący dotyk jego dłoni na mojej skórze i jego pocałunki na moim ciele. Zaciskam usta i odsuwam od siebie wspomnienia. Będę musiała sobie z tym poradzić. Peter jest teraz częścią mojego życia — czy tego chcę, czy nie.

Rozdział 6.

W porze lunchu jestem już kłębkim nerwów. Idę do stołówki i biorę sobie coś do jedzenia, a potem kieruję się do stolika, który dzielę z Millie i Tią. Przedzieram się przez tłum studentów, aż wreszcie siadam obok Millie przy długim stole pod oknami — cała ściana jest przeszklona. Za nią znajduje się ogród, w który szkoła władowała mnóstwo kasy. Cały jest wyłożony czerwonym brukiem, pełno w nim kwiatów i superzielonej trawy — serio, jest aż nienaturalnie zielona! Na początku myślałam, że jest sztuczna. Wszystko wkoło ma tutaj ten chorobliwy odcień żółci, spowodowany chronicznym brakiem wody. Od trzech lat panuje susza — i widać to na pierwszy rzut oka. To właśnie dlatego ten mały ogród jest taki niezwykły. Wydaje się kompletnie nie na miejscu, ale robi duże wrażenie na potencjalnych studentach.

Kiedy siadam, Millie grzebie widelcem w swojej sałatce, całkiem jakby jeden liść sałaty mógł być smaczniejszy od drugiego. Sałatka jest bez sosu — to same warzywa. Ja mam na talerzu corn doga i frytki. Złe dni wymagają jedzenia, od którego rośnie dupa. Zanurzam swojego corn doga w ketchupie i odgryzam kęs. Nie jestem zbyt głodna, ale może kiedy coś przekąszę, poczuję się lepiej.

Tia patrzy na mnie, jakbym wciągała z asfaltu rozjechaną wiewiórkę.

— Co jest? — burczę i lypię na nią gniewnie.

— Nic, nic — odpowiada, wbijając wzrok w swój talerz.

Millie wzdycha i patrzy na mnie podejrzliwie.

— Co się stało? Wyglądasz na wkurzoną. — Nadziewa na widelec kolejny liść sałaty i obraca go, dokonując szczegółowych oględzin przed wrzuceniem go do ust.

— Nic. Wszystko. — Dzisiejszy dzień jest po prostu megagówniany. Zmarł mój ulubiony nauczyciel. Wczoraj prawie się przespałam z kolesiem, który potem kazał mi spieprzać. Ach, a przy okazji jest on moim nowym szefem. Co za peszek!

Moje ponure rozmyślenia przerywa Tia, mówiąc:

— Słyszałam, że następca Tadwicka poprosił cię już do swojego biura. Co zrobiłaś?

— Jesteś taktowna jak cholera, Tia — beszta ją Millie, kręcąc głową i nabijając na widelec kolejną porcję sałaty.

— Kto ci powiedział? — pytam, ignorując wścibstwo Tii.

— Marshal. Po wykładach był jakiś... dziwny. Mówił coś o tym, jak wkurzyłaś doktora Granta...

— Granza — poprawiam ją.

— No właśnie, jak już zdążyłaś wkurzyć Granza. Serio, Sidney? Co zrobiłaś? — Tia pochyla się w moją stronę. Siedzi naprzeciwko mnie z nietkniętym lunchem.

Wzruszam ramionami i rozmazuję po talerzu ketchup z na wpół zjedzonego corn doga.

— Nie wiem — mówię, wpatrując się w czerwone smugi. — Granz to chyba kawał skurwiela. Pewnie chce mnie sobie ustawić czy coś w tym stylu. Wiecie, jakimi dupkami potrafią być nauczyciele w pierwszym dniu. — Cóż, to akurat jest prawda. Od tego zależy, jak będą wyglądały ich układy z uczniami przez resztę roku. Wykładowcy, który pierwszego dnia da sobie wejść na głowę, nikt potem nie szanuje.

Millie przypatruje mi się uważnie.

— Cóż, skoro dzisiejszy dzień był taki gówniany, chyba należałoby go zakończyć kilkoma margaritami.

— Ty to nic, tylko kończyłabyś każdy dzień margaritami — odpowiadam z przekąsem, nie patrząc na nią. Ketchupowe mazaje na moim talerzu niepokojąco przypominają jakieś dzieło van Gogha. Mogłabym je nazwać *Brakujące ucho*.

— Cóż, ostatnimi czasy akurat tobie chyba dobrze by zrobiły. Pomyśl o tym. — Millie prostuje się na swoim krześle i patrzy gdzieś w przestrzeń. Tia pochyla głowę i skupia się na swoim posiłku.

— O czym? O co ci chodzi?

Millie milczy. Patrzy na mnie tak, jakby była przekonana, że wiem, o co jej chodzi, ale tak nie jest.

— Daj spokój, Millie — jeśli chcesz mi coś powiedzieć, po prostu zrób to. — Odkładam corn doga na talerz, wyczuwając zbliżającą się tyradę.

Millie wygląda, jakby już, już miała zacząć, ale nagle zmienia zdanie. Kręci głową i mówi:

— Nie, to nic.

— Nie no, daj spokój — mów!

— Naprawdę nie powinnam...

— Po prostu powiedz, o co ci chodzi!

— No dobra! — woła zadziwiająco głośno jak na kogoś o tak drobnej posturze. Wbija palce w brzeg stołu, potrząsa szopą jasnych loków i krzyczy: — Nic ci się nie podoba! Wszystko, co robię, jest złe. Każdy facet jest zły! Wszyscy są źli! Rany, Sidney! Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że może raczej chodzi o ciebie? To znaczy kiedy wszystko jest złe, może się okazać, że jest odwrotnie — i że to właśnie z tobą jest coś nie tak! Może to ty nie potrafisz się dopasować!

Patrzę na nią i mrugam z niedowierzaniem. To chyba najbliższa kłótni rozmowa, jaka się nam przydarzyła, odkąd znam Millie. W normalnych okolicznościach olałabym to, roześmiałabym się i przyznała jej rację — ale nie dziś.

Wstaję i zabieram swoją tacę, a potem odchodzę bez słowa. Zarzuty Millie ranią mnie do żywego, bo ze wszystkiego, co jest ze mną nie tak, to właśnie to

stanowi największy problem, który oplata mi szyję niczym pętla szubienicznego sznura: nigdzie nie pasuję. Może udaję, że jest w porządku, ale to nieprawda. Wyzolowanie sprawia, że głupieję. Czuję się, jakbym dryfowała na jakimś cholernym pontonie, który moja przyjaciółka właśnie z premedytacją przekłuła.

Słyszę za plecami głos Millie, ale nie przystaję. Zostawiam tacę z na wpół zjedzonym posiłkiem i wychodzę ze stołówki na zewnątrz, prosto w ciepłe popołudnie. Idę szybko, nie zastanawiając się nad tym gdzie — byle dalej, przed siebie.

Kiedy się zatrzymuję, stoję u stóp wysokich schodów przed najstarszym budynkiem kampusu. Nikt od dawna tych schodów nie używa — wspinanie się po nich jest zbyt męczące. Wszyscy wchodzi do budynku tylnym wejściem i korzystają z windy. Wdrapuję się prawie na samą górę i siadam pod wielkim filarem, a potem podciągam kolana pod brodę i otaczam je ramionami.

Czasami nie ma odpowiednich słów. Nie ma nic, co można by zrobić, żeby było lepiej.

Do rozpoczęcia wykładów jest jeszcze godzina — potem będę musiała wrócić na wydział angielskiego, żeby się spotkać z Peterem. Opieram czoło o kolana.

Teraz jestem pewna, że nieszczęścia nie chodzą parami — na pewno chodzą trójkami. Czy istnieje jakaś pieprzona kosmiczna zasada, o której nie wiem? Najpierw Peter, potem Tadwick... a teraz co? Na pewno przydarzy mi się jakieś trzecie nieszczęście — najpewniej coś z moja pracą. Najprawdopodobniej Peter zechce mnie zastąpić kimś, kogo nie widział w półnagliżu. Błądzą myślami daleko — przypominam sobie jego oczy, jego twarz. Nie mogę uwierzyć, że ma tytuł doktora! Wygląda na niewiele starszego ode mnie, chociaż pewnie jest między nami kilka lat różnicy.

Moje życie to skończony chaos. Ktokolwiek powiedział, że na studiach jest łatwiej niż w prawdziwym życiu, gówno wiedział.

Odkąd opuściłam New Jersey, jest mi ciężko. Wygląda na to, że mam talent do pakowania się z jednego problemu w drugi. Nic nie układa mi się tak, jak powinno. Zawsze jestem w złym miejscu w złym czasie. Kiedy Bóg rozdawał szczęście, mnie nic się nie dostało — zamiast tego otrzymałam całą stertę czyjegoś pecha. Może w poprzednim życiu byłam jakimś ostatnim kutafonem i teraz za to płacę? Szkoda, że nie wierzę w takie brednie. Wtedy przynajmniej byłaby w tym jakaś logika. A tak wszystko jest totalnie bez sensu.

Moja rodzina mnie nienawidzi. To, co powiedziałam Peterowi o ich wściekłości z powodu mojego wyjazdu, było prawdą, ale lekko naciąganą. Chcieli, żebym została i pracowała w banku. Podobno rodzina jest wszystkim. Krew nie woda, tak się mawia — cokolwiek to znaczy. Ale kiedy pojawiła się okazja, postanowiłam z niej skorzystać. Złożyłam papiery do szkoły, w której miałam

szansę na stypendium, i dostałam je — tak samo jak pracę asystentki, dzięki której mogłam się utrzymać. Nigdy nie sądziłam, że tego dokonam. Nie chciałam być zdana na niczyją łaskę. Zbyt mocno boli, kiedy ktoś sprawia ci zawód. Dostawałam kopa w tyłek dość razy, żeby wiedzieć, że nikt nie zadba o mnie tak dobrze jak ja sama.

Może rzeczywiście jestem jakaś pokręcona. Może jestem zła i Millie ma rację? Nie wiem. Nikt nie musi przecież wiedzieć wszystkiego. Podnoszę głowę i w uszach dźwięczy mi rada Tadwicka, słyszę jego słowa. Czuję, jak z moich barków spada część przytłaczającego mnie ciężaru. To spuścizna Tadwicka — wszyscy studenci, których uczył, i dobro, które uczynił. To jego wkład w ten świat. Zastanawiam się, jaki będzie mój.

Rozdział 7.

Gdy idę na wydział angielskiego, żołądek przepelnia mi lodowaty strach. Nie chcę się spotkać z Peterem. Nie chcę patrzeć mu w oczy. Nie chcę słyszeć tego, co ma mi do powiedzenia — cokolwiek to jest. I przysięgam, że jeśli zacnie się głupio tłumaczyć z tamtego wieczoru, wyjdę.

Jakoś docieram do biura i powoli idę w stronę pokoju Tadwicka. Jestem zła na siebie, że się tak wszystkim przejmuję. Chciałabym mieć Petera i to wszystko gdzieś, ale wtedy było tak cudownie... a poza tym liczyłam na to, że coś z tego będzie. Myliłam się. Nienawidzę nie mieć racji.

Zostawiam książki z socjologii na wolnym biurku. Drzwi do pokoju są zamknięte, więc podchodzę i pukam. Serce wali mi jak młotem, a puls dudni jak oszałały. Czekam, ale nikt nie odpowiada. Pukam znowu i czuję, jak jeżą mi się włoski na karku. Ścisza mnie w żołądku i odwracam się powoli.

Peter stoi za mną z surowym wyrazem twarzy.

— Chodźmy — mówi i daje mi znak, żebym poszła za nim. Idziemy korytarzem i wchodzimy do innego biura — pustego. Nie ma tu książek, kotów ani zdjęć w ramach. Wchodzę do środka za Peterem, a on zamyka za nami drzwi. Gestem zaprasza mnie, żebym usiadła, więc zajmuję jedno z krzeseł przed pustym biurkiem. Peter obchodzi je i siada po drugiej stronie.

Przygląda mi się badawczo, ale ja tylko patrzę na niego tępym wzrokiem. Nie mogę niczego dać po sobie poznać. Nakazuję sobie w myślach: cokolwiek powie, cokolwiek się wydarzy, musisz być opanowana.

— Jak się czujesz? — pyta, a gdy ja podnoszę brew i patrzę na niego jak na idiotę, dodaje kpiąco: — Nie za dobrze przypadkiem?

Zaciskam zęby i piorunuję go wzrokiem.

— Dość tych uprzejmości, doktorze Granz. Chcę wiedzieć, czy zamierzasz mnie zwolnić czy będziemy okłamywać wszystkich wkoło, że się nie znamy. — Cała aż się jeżę.

Peter otwiera usta i przez chwilę milczy, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Potem pochyla się i patrzy na mnie z nieskrywaną urazą.

— Nie wiedziałem, że jesteś studentką. Sądziłem, że jesteś starsza. Kiedy usiadłaś przy moim stoliku, wydawałaś się bardziej... hm, dorosła?

— A ja nie miałam pojęcia, że jesteś wykładowcą! — Prześlizguję się wzrokiem po jego twarzy, a potem patrzę na jego krawat i idealnie wyprasowaną białą koszulę. Przenoszę spojrzenie z powrotem na twarz. — Jakoś nie chce mi się wierzyć, że zapomniałeś, że jesteś doktorem. Gdybyś o tym wspomniał, moglibyśmy uniknąć... tego wszystkiego. Zapytałabym, z czego masz doktorat, a ty byś mi powiedział. Oboje zorientowalibyśmy się, że mogą z tego wyniknąć problemy, i każde z nas poszłoby w swoją stronę.

— Co się stało, to się nie odstanie. Nie zmienimy tego, co...

Czuję, że lada chwila wybuchnę. Z całej siły staram się nie zacząć krzyczeć. Celuję w niego oskarżycielsko palcem wskazującym i przerywam mu cicho:

— Nie każ mi, abym przelazła przez to biurko i ci przylała, bo to zrobię. Nie mów do mnie jak do dziecka i nie wciskaj kitów, które już nam. Zadałam ci pytanie. Co zamierzasz z tym zrobić?

Kiedy mówię, Peter składa dłonie w wieżyczkę. Jego niebieskie oczy lustrują moją twarz, jakby czegoś szukały. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, nie wierzę, że wciąż może — i chce — patrzeć mi w oczy. Powoli wypuszcza powietrze i kładzie dłonie na blat biurka.

— Nic. Nie zamierzam nic robić. Wczorajszy wieczór był... incydentem. Nie pracowałem tu jeszcze, a ty nie byłaś moją studentką ani asystantką.

— To niuanse, które nic ich nie będą obchodzić! Jeżeli ktoś się dowie, a my teraz czegoś nie zrobimy, zniszczysz sobie reputację — i mnie także.

— A więc chcesz powiedzieć doktor Strickland? — Peter wstaje nagle i idzie do drzwi. — Dobrze, powiedzmy jej. — Trzyma rękę na klamce, ale kiedy ją naciska, zrywam się z krzesła i blokuję drzwi, zasłaniając je plecami.

— Nie waż się otwierać tych drzwi!

Peter stoi nade mną i patrzy mi w oczy. Jest stanowczo za blisko, ale nie mogę się cofnąć.

— Nie możesz jej o tym powiedzieć. Wyleją mnie, nie ciebie — dodaję.

— W takim razie czego ode mnie oczekujesz, Sidney? — Peter przymyka na sekundę oczy i przeczesuje włosy palcami — to jedyny sygnał świadczący o tym, że cała ta sytuacja jest stresująca także dla niego. — Chcę, żeby wszystko było OK, ale nie chcę cię zranić — nie mocniej, niż już to zrobiłem.

Zastygam w bezruchu.

— Wcale mnie nie zraniłeś — kłamię mu w żywe oczy. — A pozbawienie mnie pracy na pewno nie sprawi, że będzie OK.

Peter milczy, ale odstępuje od drzwi. Kiedy się odwraca, ocieramy się o siebie ramionami i moje ciało przenika dreszcz, a w brzuchu czuję łaskotanie. On wydaje się zupełnie nie zauważać, jak na mnie działa. Siada, jakby nigdy nic, za biurkiem i opada na oparcie krzesła.

Kiedy wciąż nie ruszam się z miejsca, gestem daje mi znak, żebym z powrotem usiadła.

— Powiedz mi, Sidney, czego ode mnie oczekujesz.

Najpierw patrzę na niego, potem na chwilę wbijam wzrok w podłogę i znowu go podnoszę. Nie chcę okłamywać Strickland, ale Peter ma rację. Teoretycznie nie zrobiliśmy nic złego, więc nie ma o czym mówić, jednak mimo to czuję się nieswojo. Cały mój świat zmienił się w domek z kart. Jeden sekret mniej, jeden więcej — jasne. Czemu nie?

— Nic — szepczę. — Nic nie zrobimy. Nic się nie stało. To nie miało znaczenia, a poza tym na pewno się nie powtórzy, więc nie sędzę, żebyśmy mieli o czym dyskutować.

Peter odwraca wzrok. Patrzy na półki za moimi plecami, przeze mnie, całkiem jakbym była powietrzem.

— Cóż, jeżeli twoim zdaniem tak będzie najlepiej... — Kiedy kiwam głową, on kontynuuje: — Dobrze. W takim razie... — urywa, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale rezygnuje. Żałuję, że nie kończy. Chciałabym, żeby mi wyjaśnił, co, u licha, wczoraj spieprzyłam — dlaczego mnie odtrącił. Czy wie, jak bardzo jestem pokręcona? Czy wie, że dawno temu rozpadłam się na tysiące kawałków i teraz jestem wrakiem dziewczyny, którą kiedyś byłam?

Od dawna nie dopuszczam do siebie nikogo. Trzymam każdego na dystans. Kiedy to się stało, wzniosłam mury broniące wszystkim dostępu do twierdzy mojego serca. Nie ma w nich pęknięć ani szczelin, przez które ktoś mógłby wdrzeć się do środka — i to właśnie dlatego nie rozumiem swojej dzisiejszej reakcji. Nie powinnam się aż tak przejmować. Powinnam była wyjść i nie oglądać się za siebie. Nie chcę go znać i jestem pewna jak cholera, że nie chcę, żeby on poznał mnie. Jednak... w mojej zbroi musi być jakieś pęknięcie. Musi! Jak inaczej mogłoby dojść do czegoś takiego?

Kiwam jeszcze raz głową, biorąc milczenie Petera za sygnał do wyjścia. Wstaję i idę do drzwi, a on nie rusza się z miejsca. Siedzi i patrzy, jak sięgam po klamkę.

— Sidney? — rzuca, zanim wychodzę. Oglądam się na niego przez ramię. — Przyjdź jutro wcześniej, dobrze?

— O której? Po co?

— Po prostu przyjdź. Spotkajmy się tu o siódmej rano.

Rozdział 8.

Następnego ranka jestem w biurze Petera kilka minut wcześniej. Mam na sobie dżinsy i gruby kremowy sweter. W dłoni trzymam kubek z parującą kawą. Upijam łyk, wspinając się po schodach na piętro. W budynku jest dziś cicho i pusto. Puls przyspiesza mi z każdym krokiem. Czuję się upokorzona, a to nie gra dobrze z moim nastrojem.

Zamierzam się zachowywać, jakby Peter nic mnie nie obchodził — taki mam plan. Nie jest może jakiś wybitny, ale na szybko mój skołowany mózg nie jest w stanie wymyślić nic mądrzejszego. Całą noc się kręciłam i wierciłam. Usnęłam dopiero na chwilę przed budzikiem. Jestem zmęczona, niewyspana, a teraz jeszcze na dodatek spotkanie z Peterem i puste biuro Tadwicka — doskonały przepis na to, żebym się poryczala „bez powodu”. Cudownie!

Wchodzę przez podwójne drzwi do biura i widzę, że Marshal już tu jest. Wzdycham z ulgą. Dzięki Bogu — nie będę z Peterem sama.

Marshal podnosi na mnie wzrok. Jest ubrany jak Bert z *Ulicy Sezamkowej* — ma na sobie bluzę w paski i golf, dżinsy i białe trampki. Wygląda jak sześciolatek.

— Rychło w czas! — rzuca z pretensją.

— Nie ma jeszcze siódmej, ty neurotyczny kłębku nerwów, więc wyluzuj!

— Upijam łyk kawy i stawiam na stole swoją torbę z książkami, a potem siadam, wyciągam się na krzesło i próbuję się odprężyć. Jeśli będzie tu Marshal, dam radę — powtarzam sobie. Wraca moja pewność siebie, a mój puls zwalnia. — A tak w ogóle, to gdzie się podziewa nasz belferek?

— Tutaj — mówi Peter, przechodząc obok mnie z naręczem papierów i książek. — Rusz dupę, Colleli, i weź Marshalą. — Idzie do drzwi swojego pokoju i próbuje otworzyć je tak, aby jednocześnie nie upuścić sterty książek — na próżno. Kartki zaczynają się zsuwać — lada chwila wszystko zleci na podłogę...

Marshal jest takim cymbałem! Czekam, aż pomoże Peterowi, ale kiedy nic nie wskazuje na to, że to zrobi, wstaję i podchodzę do drzwi.

— Daj mi to. — Biorę od Petera klucze i nasze dłonie ocierają się o siebie. Moje palce przeszywa prąd, a mój żołądek wywraca się na lewą stronę. A niech go szlag!

Peter odwraca się do mnie jakby nigdy nic.

— Dzięki, Sidney.

Otwieram mu drzwi i gestem zapraszam do środka — udaje mu się dotrzeć do biurka, ale tuż przy nim wszystko leci mu z rąk. Wszędzie rozsypują się papiery i książki. Przyklękam i zaczynam je zbierać, a potem układam na jego biurku.

— Co to ma być? To prace sprzed kilku tygodni.

Marshal staje w drzwiach i przygląda nam się tępo — w jednej ręce trzyma moją kawę, a w drugiej torbę z książkami.

— Chyba czegoś zapomniałaś.

— Dzięki, Marshal.

Marshal stawia moją torbę na ziemi, kubek na regale, a potem dalej się na nas gapi, zamiast pomóc, z rękami splecionymi przed sobą. Zerkam na niego, lekko wkurzona.

— Nie masz przypadkiem ochoty nam pomóc?

— Och, nie — świetnie sobie beze mnie radzicie. — Marshal mija nas i siada na krześle Petera, który rzuca mi spojrzenie pytające: „On tak na serio?”.

— Planuj swoje bitwy mądrze, tyle powiem — orzeka Marshal. — Dostał tę pracę, więc musi sobie radzić.

Peter uchwycił mój wzrok i kręci z niedowierzaniem głową. Patrzy mi w oczy o kilka sekund za długo, aż wreszcie odwraca wzrok.

Kiedy w końcu udaje nam się pozbierać wszystko i poukładać na biurku, Peter wyjaśnia:

— Zabrałem te prace z jego biura i domu. Jego żona przekazała mi je, żeby studenci nie musieli wszystkiego robić jeszcze raz. Są tu testy, referaty i inne rzeczy, które trzeba sprawdzić i oddać. Doktor Tadwick część już ocenił, ale nie wszystko. Musimy ustalić, które są którego roku, i je ocenić. Dziś.

— Co takiego? — jęczy Marshal. — Dlaczego tak na ostatnią chwilę?

— Marshal... — rzucam ostrzegawczym tonem, ale on mnie nie słucha.

— To nie w porządku! — narzeka dalej. — Dlaczego niby mam spędzać poranek na segregowaniu tego bajzlu? Nie ja to porozwalałem, a poza tym... to nie należy do moich obowiązków. — Krzyżuje ostentacyjnie ręce na piersiach.

Peter reaguje inaczej, niż mogłabym się po nim spodziewać: podchodzi do Marszala i obraca swój fotel tak, że teraz są zwróceni twarzą do siebie. Kładzie rękę na oparciu i nachyla się nad Marshalem.

— Lubisz swoją pracę? — pyta go. — Nie chcesz z niej wylecieć?

— Tak, ale...

— A więc rób, o co cię proszę — wchodzi mu w słowo. — Zabierz tę stertę do biura Tadwicka i ją posortuj. Kiedy skończysz, zbierz prace studentów ostatniego roku, oceń je, a potem mi podrzuć, żebyśmy mogli na nie spojrzeć. Zrozumiano? — mówi niskim, nieznoszącym sprzeciwu głosem. To nie jest prośba, tylko rozkaz. Rany, nawet Marshal domyśla się, że nie powinien się dalej wyklócać, bo wbija wzrok w podłogę i mamrocze:

— Tak, proszę pana.

Peter wstaje i rzuca mu na kolana stos kartek.

— No to do roboty. Drzwi są otwarte.

Marshal bierze kartki i wychodzi, nie oglądając się za siebie. Zanim Peter zajmuje swoje miejsce za biurkiem, patrzy na mnie znowu z niedowierzaniem.

— Zawsze taki jest? Myślałem, że wczoraj to tylko przez Tadwicka...

Uśmiecham się do niego krzywo.

— Prawie zawsze. Podobno braki w ogładzie nadrabia intelektem.

— Kto tak twierdzi?

— Nie wiem, może jego matka.

Peter uśmiecha się i kręci głową. Nie chcę być dla niego miła! Chcę być oschła i wyniosła, ale z jakiegoś powodu nie potrafię. Patrzę w stronę drzwi i zastanawiam się, jak wiele pracy czeka Marshala.

— Jestem pewna, że Marshal jest po prostu roztrzęsiony z powodu wczorajszych wydarzeń. Zachowuje się bardziej kretyńsko niż zazwyczaj. — Siadam i zaczynam sortować papiery. Zwykle grupy są pooznaczone na testach i referatach, więc praca nie jest specjalnie ciężka, tylko czasochłonna.

Peter przygląda mi się przez chwilę i kiwa głową, a potem zabiera się do następnego stosu prac.

— Pomyślałem, że w zaistniałej sytuacji studenci powinni je dostać z powrotem możliwie jak najszybciej. Nie chcę, żeby przez to zrobił się jakiś zastój.

Przytakuję w milczeniu i zastanawiam się, czy to samo tyczy się także nas: nie oglądać się za siebie.

Siedzimy w milczeniu, przeglądając prace i je segregując. Peter zerka na mnie od czasu do czasu, ale niewiele mówi. Kiedy cisza staje się zbyt przytłaczająca, nie wytrzymuję.

— Mów coś albo oszaleję! — rzucam półzartem.

Peter zerka na mnie kątem oka.

— Co takiego?

— Cokolwiek — po prostu ze mną rozmawiaj. Odkąd zobaczyłam cię wczoraj, cały czas jesteś spięty i milczący. Sądziłam, że nic się nie stało — zachowujmy się, jakby właśnie tak było. — Ależ ze mnie kłamczucha! Chcę po prostu myśleć o czymś innym, bo w tej chwili mój umysł wypełniają wizje dłoni Petera, oczu Petera i oddechu Petera.

Kiedy mówię, on nieruchomieje i patrzy na mnie. Nie podnoszę na niego wzroku, tylko przeglądam kartki. Słyszę, jak odchrząkuje.

— Wcale nie powiedziałem, że nic się nie stało. Powiedziałem, że nie zrobiliśmy nic złego. — Wraca do swojego stosu kartek i przekłada go na biurko.

— Na jedno wychodzi. — Biorę głęboki oddech i postanawiam to w końcu z siebie wyrzucić: — Słuchaj, naprawdę nie jestem zbyt towarzyska, ale dobrze mi się z tobą gadało. Rozmawianie nie jest wbrew przepisom uczelni — podpuszczam go.

Uśmiecha się do mnie niepewnie.

— No właśnie, nie jest. W takim razie... opowiedz mi coś o sobie. Jak tu trafiłaś?

Milczę, krzywiąc się w duchu. A niech go szlag! Musiał spytać akurat o to?

Postanawiam zrobić unik:

— No wiesz, studia — bąkam zdawkowo.

— To już wiem — odpowiada, nie spuszczać ze mnie wzroku. — Mam na myśli to, dlaczego akurat tutaj. Co cię skłoniło do wybrania tej uczelni? To miasto to zadupie pełne dziwaków, o ile jeszcze nie zauważyłaś. — Uśmiecha się do mnie porozumiewawczo.

Nie przerywam pracy, ale postanawiam, że mu odpowiem. Bo i dlaczego nie miałabym mu tego wyjaśnić? To przecież i tak nic nie zmieni.

— Jakoś tak wyszło, że wpadłam z deszczu pod rynnę — mówię. — Chciałam uciec od mojej rodziny tak daleko, jak to możliwe. Kiedy byłam w ostatniej klasie... coś się wydarzyło. Wszyscy mnie o to obwiniali. Sądziłam, że będą mnie bronić... — Czuję, jak serce zaczyna walić mi mocniej; powracają wspomnienia. W gardle zaczyna mnie dławić lodowaty strach. Przełykam głośno ślinę, starając się odsunąć od siebie czarne myśli. — Mniejsza z tym. Wybrałam to miejsce, bo tu mogłam zarobić na studia i utrzymanie. Chciałam zacząć od nowa. To tyle.

Peter milczy. To nie jest typowa historyjka z rodzaju tych „o tym, jak trafiłam na studia”. Nie obchodzi mnie, co on sobie o mnie myśli — a przynajmniej tak sobie wmawiam. Wreszcie pyta:

— I co? Było warto? To znaczy odcięcie się od tego wszystkiego... Udało się?

Czuję na sobie jego wzrok, ale na niego nie patrzę — nie mogę mu spojrzeć w oczy. Dlaczego w ogóle mu to powiedziałam? Ten temat, ta rozmowa... to zbyt intymne, nie powinnam była mu tego mówić. Spodziewałam się, że Peter nie będzie wnikał, uzna ten temat za zbyt śliski, ale tak nie jest. Uśmiecham się słabo, starając się trzymać nerwy na wodzy i odegnąć prześladowające mnie wspomnienia.

— Nie wiem, czy coś takiego można... naprawić. Wiesz, zdarzają się różne rzeczy — niektóre zmieniają cię i nie ma szans, żebyś był taki jak dawniej. Nie ma znaczenia, czy to coś poprawiło, czy nie.

Peter zaskakuje mnie, mówiąc:

— Wiem, co masz na myśli. — I tylko tyle. Ma ten sam nieobecny wzrok co tamtego wieczoru, całkiem jakby wspominał coś, o czym chce zapomnieć. Wreszcie mruga i zmienia temat: — Nie widziałem cię wczoraj na pogrzebie doktora Tadwicka.

— Nie poszłam na niego.

— Wiem o tym. Chcę tylko powiedzieć, że byłem zaskoczony, że cię tam nie było.

— Nie mogłam przyjść. — Wlepiam niewidzący wzrok w referat, który trzymam w ręku. Zbyt długo. — Nie mogłam znieść myśli, że będę musiała oglądać jego dzieci — tłumaczę się. Mięczak ze mnie. Na samą myśl o tym, że

musiałabym patrzeć na córeczki Tadwicka stojące przy jego trumnie ze łzami w oczach, chce mi się ryczeć. Czuję się znowu tak, jakby coś we mnie pękało. Taki widok zupełnie by mnie rozkleił.

— Nieprawda. — Peter odkłada na stos prac kolejny arkusz.

— Nie znasz mnie — protestuję, kręcąc głową. — Jak możesz tak mówić?
— Wpatruję się w niego, czekając na odpowiedź.

Peter podnosi głowę i nasze spojrzenia się spotykają. Jest całkiem jak tamtego wieczoru. Napływają wspomnienia. Moje ciało płonie — reaguje na niego tak, jakbyśmy byli dla siebie stworzeni. W miejscu wypełniającej mi pierś pustki czuję mrowienie i nagle ta nicość znika. Coś mnie do niego przyciąga jak magnes i nie potrafię się temu oprzeć. Zatracam się w jego spojrzeniu. Teczki i papiery znikają i nagle jedyną rzeczą, którą widzę, jest Peter. Rozchyła swoje piękne usta, całkiem jakby chciał mi coś wyznać... ale w tej samej chwili do pokoju wchodzi Marshal. Peter prostuje się i odwraca głowę w stronę drzwi.

Marshal jest zupełnie ślepy, jeśli chodzi o sprawy towarzyskie. Nigdy niczego nie zauważa — i bardzo dobrze. Wchodzi do pokoju i kładzie na regale dwie sterty papierów.

— To dwa wyższe lata, którymi się zajmuję. Reszta jest twoja — mówi do mnie. — Za chwilę przyniosę pozostałe. Zaraz wracam. — Odwraca się i wychodzi, zupełnie nieświadomy, że w czymś przeszkodził.

Patrzę na zegar — dochodzi ósma.

— Chyba lepiej zejść już na dół... — rzucam.

— Idź, idź, jasne — odpowiada Peter z dziwnym roztargnieniem. — Spotkamy się za parę minut.

Kiwam głową i biorę swoją torbę, a potem wychodzę tak szybko, jakby mnie ktoś gonił. Nie oglądam się za siebie, ale czuję, że Peter śledzi mnie wzrokiem. Moje myśli galopują jak oszalałe — nie mogę ich zatrzymać. Nie potrafię zaprzeczyć, że coś do niego czuję, ale nie ma szans, żebym się do tego przyznała sama przed sobą — a tym bardziej jemu. Jeden koszt zdecydowanie wystarczy.

Schodzę do sali, włączam komputery i inny sprzęt niezbędny do prowadzenia wykładu. Wszystko działa jak trzeba... oprócz mikrofonu na podium. Sprawdzam go ponownie, ale nic z tego. A niech go szlag! Szukam kabla, który schodzi pod podium i dochodzi do gniazdka w podłodze. Kładę się na boku i próbuję wcisnąć głowę pod pulpit, w ciasną przestrzeń między jego podstawą a wykładziną, rozglądam się i w końcu widzę kontakt. Sięgam do niego przez plataninę kabli i kłębków kurzu, modląc się jednocześnie, żeby nagle nie wyskoczył z nich jakiś zmutowany szczur i nie uzał mnie w rękę.

— Wszystko w porządku? — słyszę dobiegający gdzieś z góry głos Petera. Nie miałam pojęcia, że nade mną stoi!

Nie podnoszę głowy, żeby na niego spojrzeć. Trzymam dłoń stanowczo zbyt

blisko kontaktu.

— Tak, tak. Mikrofon chyba padł. Właśnie próbuję go podłączyć. Jedną chwilkę. — Wyginam się i wiję, ale wreszcie udaje mi się znaleźć wtyczkę i wsadzić ją z powrotem do gniazdka. Głośniki wydają z siebie ogłuszający wizg i słyszę, jak zgromadzeni na sali uczniowie jęczą boleśnie. Kiedy wygrzebuję się z powrotem spod konsoli, Peter stoi obok, zasłaniając uszy rękoma.

— Mięczak! — pry cham pod jego adresem. Wiem, że się nie odgryzie, bo jest zbyt blisko mikrofonu.

Mam rację — zamiast tego wyciąga dłoń i pomaga mi wstać. Otrzepuję się z kurzu, starając się nie pokazać po sobie, jak mocno działa na mnie jego dotyk. Moje ciało przenika nerwowy dreszcz rozkoszy. Gdy wracam na swoje miejsce, czuję, jak Peter odprowadza mnie wzrokiem. Nie odwracam się. Nie mogę — i nie chcę! — dać po sobie poznać, że wiem, jak na mnie patrzy.

Jeden ze studentów siedzących w pierwszym rzędzie zaczyna mi bić brawo. Pohukuje i dopinguje resztę, aby „podziękowała złotej rączce”. Klaszcze w dłonie, a inni idą za jego przykładem. Uśmiecham się krzywo i patrzę na niego jak na szaleńca. Gość podnosi ręce do góry i daje mi znak, żebym wstała. Kręcąc z niedowierzaniem głową, podnoszę się z miejsca i z uśmiechem macham reszcie sali.

Sprawca całego zamieszania, Mark, nie spuszcza ze mnie oka, dopóki nie siadam. Kiwam mu głową, a on uśmiecha się do mnie promiennie. Jest o rok niżej, a jako że nie jestem zbyt towarzyska, nigdy wcześniej nie zwróciłam na niego uwagi — nie było okazji. Ma zaraźliwy uśmiech. Siadam na swoim miejscu i podnoszę wzrok na podwyższenie, na pulpit wykładowcy. Przez moment Peter ma zimny, obcy wzrok, a jego ciepły uśmiech znika bez śladu, jednak już za chwilę twarz Petera wygląda normalnie. Mark niczego nie zauważa. Rany, czyżby mi się coś przywidziało? Co to, do jasnej i nagłej, miało być?

Peter rozpoczyna wykład i wkrótce wszystko wraca do normy. Zastanawiam się, ile czasu zajmie grupie „przestawienie się” z toku nauczania doktora Tadwicka na tok Granza. Peter ma nieco inny styl prowadzenia wykładu. Wiem o tym nie tylko dlatego, że siedzę teraz na jego lekcji, lecz także dlatego, że miałam okazję spędzić z nim nieco czasu na prywatnej rozmowie. Na samo wspomnienie tych chwil aż mnie skręca. Kiedy wreszcie udaje mi się otrząsnąć, sala pustoszeje. Wstaję i zaczynam zbierać swoje rzeczy. Z zamyślenia wyrywa mnie głos Petera:

— Dzięki za odpalenie mikrofonu. Oszczędziłaś mi zdzierania gardła. Krzyczenie przez cały dzień do studentów mogłoby się dla mnie źle skończyć.

— Cóż, właśnie po to tu jestem — żeby ocalić świat od takich katastrof. — Uśmiecham się do niego krzywo i zaczynam iść w stronę bocznych drzwi.

— Czy jutro także mogłabyś wpaść na siódmą? — rzuca za mną Peter. — Jeszcze tylko jeden dzień — potem koniec ze wcześniejszym przychodzeniem. —

Kiedy odwracam się do niego, prześlizguje się wzrokiem po mojej twarzy. Nie jest już tak surowy jak wcześniej.

Kiwam głową, jakby nigdy nic — zachowuję się, jakby to była tylko praca. Nic poza tym.

— Jasne. W takim razie do jutra.

Rozdział 9.

Millie siedzi na swoim łóżku i przegląda kserówki z podręcznika z biblioteki. Od kilku dni jest zajęta pisaniem pracy na zaliczenie. Tego wieczoru, którego dziewczyny urządziły sobie konkurs z brzuskami, zrobiła sobie przerwę — lepiej nie kręcić się koło niej, kiedy przychodzą jej do głowy równie genialne pomysły.

— Cześć! — mówię i siadam na łóżku naprzeciwko niej. Jestem już po zajęciach. Nasz pokój ozdabiają głównie rzeczy wybrane przez Millie — zarabia więcej ode mnie, a zresztą ja wcale nie miałam ochoty niczym go dekorować, więc dałam jej wolną rękę. W związku z tym wszystko jest utrzymane w odcieniach błękitu i żółci.

Po naszej sprzeczce źle się czułam. Wiem, że nie powinnam była się unosić. Wieczorem się pogodziłyśmy. Moje ego jest wciąż urażone, ale cieszę się, że już się nie kłócimy — jest moją najlepszą przyjaciółką.

— Cześć, Sid — odpowiada Millie, ale nawet nie podnosi wzroku znad książki. Wodzi palcem po kartkach, przebiegając tekst oczami — skubana, ma pamięć fotograficzną. Tak bardzo jej tego zazdrozczę! Kiedy kończy, podnosi wzrok i uśmiecha się do mnie.

Znam tę minę i wiem już, co się święci.

— Rany boskie, co znowu knujesz? — pytam ją, zdejmując buty.

— Nic! Kurczę, Sidney — może zrobiłam coś miłego i cieszę się z tego powodu?

— Może i tak, ale twój ptasi mózdzek nie wymyśliłby czegoś takiego — nie mówiąc już o tym, że widziałam tę minę dość razy, żeby wiedzieć, że powinnam spieprzać jak najdalej, kiedy ją robisz, więc pozwól, że ci to ułatwię: cokolwiek zrobiłaś — i o cokolwiek zamierzasz mnie poprosić — odpowiedź brzmi „nie”. I to „nie” jak jasna cholera! Nic z tego. — Rzucam się na swoje łóżko i wbijam wzrok w sufit.

Dziś był naprawdę długi dzień. A fakt, że zaczął się dla mnie o siódmej, sprawia, że mam wrażenie, iż jest później niż w rzeczywistości. A czeka mnie jeszcze odrabianie pracy domowej; powinnam też coś zjeść. Późno już.

— Ale Sidney, nawet nie wysłuchałaś, co mam do powiedzenia! Jak tylko ci o tym opowiem, pęknie z zachwyty!

— Zawsze tak mówisz...

— A ty zawsze uważasz, że mój pomysł jest bombowy!

— Nie, wcale nie. Po prostu staram się być miła.

Millie parska śmiechem, bo wie, że to jedno wielkie kłamstwo. Uprzejmość nie idzie w parze ze szczerością, a ja zdecydowanie jestem zwolenniczką tego drugiego. Millie doskonale o tym wie.

— Taa, bo jeszcze w to uwierzę — parska, a potem odchyła głowę do tyłu i jęczy: — Proooszę! Proszę, proszę, proszę!

Patrzę w jej stronę.

— Serio?

Millie składa dłonie pod brodą i jęczy dalej:

— Proooszę, proszę, proszę, proszę!

— Przystaniesz wreszcie?

Kręci głową i dalej zawodzi.

— Powiedz przynajmniej, o co chodzi — zagaduję.

— Swingowy klub taneczny. Proooszę, proszę, proszę, proszę... — Dalej mnie błaga, trzepocząc swoimi długimi rzęsami. Może to i działa na Brenta, ale ja nim nie jestem.

— Nie — mówię, zasłaniając twarz ramieniem. Nic z tego. Millie dalej jęczy. W końcu pytam ze śmiechem: — Długo tak możesz?

— Tak! Proooszę! Proszę, proszę, proszę...!

Uwielbiam taniec, a szczególnie swinga — całą tę muzykę, ciuchy, ruch; naprawdę to kocham! Niewiele jest w życiu rzeczy, w których potrafię się zatracić. Nie lubię klubów tańca nowoczesnego, w których ludzie wyglądają, jakby mieli padaczkę, ale wprost przepadam za starymi stylami tanecznymi. Takimi, które mają kroki, prawdziwe ruchy i rytm. Rytm, w którym można się zapomnieć. To wymaga umiejętności, a kiedy ma się odpowiedniego partnera... cóż, jest prawie idealnie. Nie tańczyłam od dawna — odkąd opuściłam New Jersey.

Millie wciąż smęci. Pozwalam jej się produkować jeszcze jakąś minutę, po czym daję za wygraną:

— No dobra, ale będziesz miała u mnie dług.

— Zawsze tak mówisz!

— Taa, ale teraz to na poważnie.

Millie śmieje się i podskakuje radośnie na łóżku.

— Gdzie, u licha, znalazłaś na tym zadupiu klub taneczny? — pytam. — Wydawało mi się, że jedyną muzyką, jaką tu znają, jest country...

Millie ucieka wzrokiem w bok, a ja podpieram się na łokciach, siadam i przyglądam się jej podejrzliwie.

— To trochę... no, inny klub — wyjaśnia.

— Co masz na myśli?

— To klub szkolny. Organizacja studencka starała się ten projekt przepchnąć w zeszłym roku przed wakacjami, ale nie znaleźliśmy wykładowcy, który by nas zasponsorował. Wreszcie ktoś taki się trafił — i ruszamy dzisiaj! — Klaszcze w dłonie i patrzy na mnie wyczekująco, rozpromieniona jak trzylatka.

Rany, to brzmi... słabo.

— Klub szkolny? — pytam z niedowierzaniem. Millie przytakuje. — Coś

jak klub szachowy?

— Nie, coś jak nowy, zajebisty klub swinga! — woła podniecona.

Żałuję, że się zgodziłam. Zespół złożony z nowicjuszy oznacza, że nie potańczę sobie za wiele. Będzie dobrze, jeśli w ogóle wyjdziemy poza podstawy.

Millie zeskakuje z łóżka i biegnie do mnie przez cały pokój.

— Zobacz, trafiłam w sklepie na taką sukienkę — sama nie wierzę, że znalazłam coś takiego! — Wyciąga ze swojej szafy czerwoną sukienkę i ją wkłada. Stanik jest dopasowany, a spódnica — suta i rozkloszowana. Jest piękna! — Teraz muszę tylko dobrać do niej buty!

— Fajnie by do tego wyglądały pantofelki na obcasie. — Nic na to nie poradzę, że na widok jej sukienki zaczynam się dosłownie ślinić. Millie podaje mi ją, żebym mogła jej się przyjrzeć. A niech to! Millie ewidentnie mnie wrabia, a ja jej na to pozwalam. Podnoszę na nią wzrok. — Jesteś straszna, wiesz?

Millie szczyrzy się do mnie radośnie i kiwa głową.

— Nie pożałujesz tego, Sidney — mówi. — To będzie superzabawa!

Rozdział 10.

Millie ma na sobie swoją nową sukienkę i pantofelki na wysokim obcasie, a ja — czarną spódnicę i białą bluzkę. Wiem, że to żadna rewelacja, ale to jedyny strój nadający się do tańczenia swinga, jaki mam. Kiedy idę, jedwabny materiał ociera się z szelestem o moje uda. Klub działa w starej sali gimnastycznej — z naciskiem na „starej”. Zbudowano ją w 1919 roku; nie ma tu klimatyzacji, a w takim upale to duży minus, jednak swingowy klub taneczny nie plasuje się zbyt wysoko w rankingu priorytetów, jeśli chodzi o przydział dobrej sali, więc jesteśmy skazani na pocenie się w najstarszym z budynków kampusu. Elewacja jest z czerwonej cegły, a w środku cuchnie stęchłymi skarpetami.

Millie otwiera drzwi. Wchodzimy do budynku i szukamy sali gimnastycznej. Jest znacznie mniejsza niż ta nowa. W środku jest już Brent. Millie biegnie do niego i zarzuca mu ręce na szyję, a on przyciąga ją do siebie i okręca dookoła. Jej czerwona sukienka wiruje, a Millie śmieje się radośnie. Uśmiecham się do nich. Moja przyjaciółka wygląda na szczęśliwą, co sprawia, że i ja czuję się szczęśliwa. Mimo wszystkich jej wad dobra z niej kumpela.

Kiedy do nich podchodzę, Brent stawia Millie na ziemię. Pomieszczenie nie jest zbyt duże. Zgromadziło się w nim kilkanaście osób — większość z nich to laski, którym najwyraźniej podoba się idea wystrojenia się i tańczenia. Faceci, którzy tu za nimi przyszli, liczą najwidoczniej na łatwą zdobycz. Rany, potrafią być tacy tępi! Taniec, a już szczególnie ten jego rodzaj, to okazja na bycie blisko partnerki — bardzo blisko, tak że ciała niemal się ze sobą stykają. Taki taniec jest seksowny i gorący, pełen ocierania się o siebie ciał w rytm bijących serc i urywanych oddechów.

Kiedy o tym myślę, zaczynam czuć na ramionach gęsią skórę, ale ignoruję dreszczyk i marzę o tym, żeby ktoś trzymał mnie w ramionach... żeby to był ktoś, kogo pragnę obejmować... ktoś inny niż Peter. I właśnie wtedy zaczyna się robić ciekawie.

Trevor, ciemnowłosa, wysoki student, prosi wszystkich o uwagę. Siedzę w ostatnim rzędzie ławek, więc nie muszę się wdrapywać w swojej spódnicy wysoko — dzięki Bogu. Prowadzący klaszcze trzy razy swoimi wielkimi dłońmi i wszyscy cichną.

— Jak już na pewno wiecie, wreszcie udało nam się ruszyć z naszym tanecznym klubem swingowym. — Ktoś pohukuje radośnie, a Trevor kontynuuje: — Zdobyliśmy, choć nie bez trudu, sponsora wydziału. Nikt już tak nie tańczy, więc sami chyba wiecie, jakiego mieliśmy farta. No to... — Trevor składa dłonie. — Czy jest wśród nas ktoś, kto zna podstawy swinga? Pewnie wszyscy znacie podstawowe kroki, ale te bardziej skomplikowane...

Podnoszę rękę, a wraz ze mną kilka innych osób — głównie dziewcząt.

Opuszczamy je, kiedy Trevor się rozgląda i kiwa głową.

— Super. Miałem nadzieję, że trochę nas tu będzie. Dzięki temu łatwiej nam będzie zacząć, a to zawsze najtrudniejsze. Dopóki wszyscy nie poznają podstaw, nie będziemy mogli przejść do zaawansowanych kroków, a już na pewno nie będziemy robić podrzutów. Nie sądzę, żeby ktoś z naszej grupy był na tak zaawansowanym poziomie.

Podnoszę nieśmiało rękę i macham palcami. Trevor wygląda na zaskoczonego.

— Nasza Jersejka potrafi tańczyć?

— Cóż, na pewno nie sama... — Bez doświadczonego partnera nie zrobię zbyt wiele poza podstawami. Splatam dłonie i pocieram nimi nerwowo. Wszyscy się na mnie gapią. Garbię się lekko pod tymi spojrzeniami, dopóki czyjś głos nie sprawia, że prawie podskakuję na swoim krześle.

— Jak bardzo jesteś zaawansowana, Colleli? — pyta Peter, obchodząc z boku trybuny.

Szczęka dosłownie mi opada; otwieram usta, gapię się na niego, a potem na Trevora, który przedstawia go zgromadzonym:

— To doktor Granz, nasz dobroczyńca. Świetnie się składa, bo ma duże doświadczenie w tańcu. Może wasza dwójka mogłaby dla nas coś zatańczyć?

Wlepiam w Petera zaskoczony wzrok, dopóki z osłupienia nie wyrывa mnie głos Trevora. Wycofuję się i potrząsając głową, mówię:

— N...nie, nie. Sądzę, że powinniśmy sobie darować i zacząć dziś od podstaw. — Serce trzepocze mi się w piersi jak spłoszony ptak. Z trudem łapię oddech. Nie mogę tańczyć z Peterem. Za każdym razem, kiedy mnie dotyka, tracę zmysły. Znowu wrócą wspomnienia tego wieczoru, kiedy... Nie, nie mogę tego zrobić.

Peter odwraca wzrok od Trevora i podchwytuje:

— Owszem, powinniśmy ograniczyć się na razie do podstaw. Zaawansowane kroki to spore wyzwanie. Nowicjusze mogliby mieć problem z bardziej skomplikowanymi figurami, a przecież nie chcemy, żeby ktoś się zraził na samym wstępie. A teraz...

— Nie jestem nowicjuską! — przerywam mu; czuję się urażona. Peter odwraca się w moją stronę... i właśnie wtedy dociera do mnie, że zostałam wrobiona. Co za gnojek!

Uśmiecha się pod nosem.

— Więc może nam to udowodnisz?

— Jasna cholera, pewnie, że tak! — Wstaję i wyglądam sukienkę, porządnie na niego wkurzona. Jeżeli ten arogancki dupek sądzi, że jest lepszy ode mnie, zaraz się przekona, że nie warto ze mną zadzierać. Peter włącza muzykę — to jakiś nowy kawałek, ale brzmi jak dobry, stary swing.

Podchodzimy do siebie i patrzymy sobie w oczy — ja wyzywająco, całkiem jakbym sprawdzała, czy ośmieli się mnie dotknąć. Peter obejmuje mnie i zaczynamy. Nasze stopy poruszają się w takt muzyki, noga w nogę. Przysuwam się do niego i poruszam się, próbując przejąć prowadzenie i sprawdzając go, ale on mi nie pozwala grać pierwszych skrzypiec. Prowadzi mnie wokół sali po lśniącej, drewnianej podłodze, wykręcając mi nadgarstek za każdym razem, kiedy staram mu się sprzeciwić i poprowadzić go wbrew jego woli. Ścisną mocniej moją dłoń i obraca mnie, a ja oddalam się od niego, wirując, dopóki mnie nie zatrzyma. Nasze dłonie splatają się w uścisku. Peter odczekuje chwilę, a potem przyciąga mnie mocno do siebie. Uśmiecham się do niego i obrotem się od niego oddalam.

No dobra, nie jest takim skończonym łamagą. Chwilę później wchodzimy na wyższy poziom. Nasze ciała zbliżają się do siebie, kiedy muzyka zwalnia w połowie frazy. Peter przesuwa dłonie na moje biodra i opuszcza mnie powoli w dół, dopóki nie zaczynam zamiatać podłogi włosami. Wraca szybszy rytm i Peter mnie zaskakuje. Uśmiecham się teraz szeroko — nie mogę nic na to poradzić. Wykonujemy kilka rozkołysanych kroków i wirujemy wokół sali. Studenci na trybunach pokrzykują i gwizdzą z podziwem — to właśnie tego przyszli się tu nauczyć: swinga.

Następnym razem, kiedy Peter przyciąga mnie do siebie, trzyma mnie mocniej w ramionach. Przyciska muskularne ramię do mojej piersi i obejmuje mnie mocno. Słyszę jego szept w uchu, gdy pyta:

— Co powiesz na podrzut?

Bez wahania kiwam głową, a wtedy Peter uwalnia mnie z objęć i wykonuję piruet.

— Zróbmy to! — dyszę bez tchu. Serce wali mi jak oszalałe, a uśmiech nie schodzi mi z twarzy. Piosenka zaraz się skończy i zastanawiam się, co Peter planuje. Kiedy podnosi dłonie, podążam posłusznie za jego ruchem: wiem już, co zamierza.

Obraca mnie i przyciąga z powrotem ku sobie. Kiedy wpadam w jego objęcia, przenosi dłonie z moich ramion na talię. Ścisną jego muskularne ręce i skupiam się na pędzie. Peter prowadzi mnie, nakierowując delikatnie. Zginam nogi w kolanach i podnoszę je, czując, jak pęd powietrza podrywa mi sukienkę do góry. Kiedy prześlizguję się w dół, Peter trzyma mnie mocno i zgrywa się z moimi ruchami, tak żebym zdążyła owinąć mu nogi wokół pasa, zanim mnie przechyli.

Muzyka narasta i kończy się, podczas gdy my trwamy w tej pozycji — oko w oko, zdyszani. Moją skórę pokrywa cienka warstewka potu i nagle jestem dojmująco świadoma dłoni Petera na moim ciele i pozycji, w jakiej trzymam uda: dokładnie w ten sam sposób jak tamtego wieczoru, zanim mnie odtrącił. Najwyraźniej Peter także jest tego świadom, bo stawia mnie na ziemię. Zsuwa powoli dłonie z mojego ciała i odwraca się w stronę studentów na widowni. Z

trudem łapiąc oddech, mówi:

— Zaczniemy od podstaw. Żadnych podrzutów. Nie podpisaliście jeszcze... ee, deklaracji.

Przyglądam się, jak przechodzi na drugą stronę sali i bierze z lodówki wodę. Odwracam się i zastanawiam, jak kiepsko to musiało wyglądać. Wszyscy na pewno się zorientowali, jak bardzo jestem na niego napalona — nie umiałam tego ukryć; nie wtedy, kiedy jego ciało było tak blisko mojego. Siadam na ławce, a za chwilę miejsce obok mnie zajmuje Millie. Nie kryje podekscytowania.

— To było niesamowite! Rany, stara, byłaś taka... — Wyrzuca w górę ramiona. — A on był taki... A niech mnie! To było zajebiste! Oddałabym wszystko, żeby móc tak tańczyć! Dlaczego mi nie powiedziałaś, że potrafisz takie rzeczy? — Wytrzeszcza oczy tak, że lada chwila wyjdą jej z orbit.

— Ee, noo, ja... mówiłam ci — bąkam, zerkając na nią z ukosa. — Przywlokłaś mnie tu, bo uwielbiam tańczyć swinga, zapomniałaś już?

— Och, a więc wcale nie chciałaś tu dziś przyjść? — słyszę zza pleców głos Petera. Przyniósł mi butelkę wody. Biorę ją od niego, odkręcam i piję.

— To ja ją tu przyprowadziłam — odpowiada za mnie Millie. — Dla jej własnego dobra. Jeżeli szybko nie znajdzie sobie jakiegoś faceta, wkrótce zmieni się w zgorzkniałą starą pannę!

Peter milczy. Czuję na sobie jego wzrok, ale nie patrzę na niego. Millie ma stanowczo zbyt długi jęzor.

Trevor przejął teraz rolę prowadzącego zajęcia i Millie pędzi do Brenta. Tańczą w parze, ale cały czas depczą sobie po nogach. Za każdym razem, kiedy to się dzieje, Millie zatrzymuje się i wybucha śmiechem.

Peter siada obok mnie.

— No, no, stara panno, muszę przyznać, że nie posądzałem cię o zamiłowanie do swinga.

— Cóż, nie oceniaj książki po okładce. — Nie patrzę na niego. Piję wodę i przyglądam się, jak swingowe żółtodzioby potykają się o własne nogi. Podnoszę podbródek i pochylam się w stronę tańczących par. — Chyba powinni nosić ochraniacze na łydki.

Peter parska śmiechem.

— Taa, chyba tak. Nie dali nam nawet pieniędzy na wodę; musiałem się z nimi nieźle naużerać o tę salę. — Zagląda mi w oczy. — Pewnie do kwietnia będziemy się tu pocić jak szczury.

Po szyi splywa mi między piersi kropla potu. Pocę się znacznie bardziej, niż powinnam. W kwietniu będzie tu prawdziwa masakra.

— Może moglibyśmy wynająć jakąś salę lekcyjną? W sumie nie ma nas jakoś specjalnie dużo.

— Trevor uważa, że wkrótce będzie nas więcej.

— Serio? — pytam, szukając Trevora wzrokiem.

— Taa, twierdzi, że wiele osób było zainteresowanych — po prostu na początku mało kto przychodzi. To ten typ ludzi, którym nie chce się zaczynać od zera, ale czują się dobrze, kiedy zbierze się już dość osób, żeby mogli wmieszać się w tłum.

Ledwie słyszę, co mówi. Niemal zupełnie wyłączyło mi się racjonalne myślenie. Jasny gwint, jak on pachnie — i to nawet spocony! Zachowuję się, jakby nigdy nic, ale w środku cała aż się gotuję. Peter pociąga mnie coraz bardziej z każdym wypowiedzianym słowem — i to całym sobą, nie tylko tym, jak wygląda. Dlaczego musiało się okazać, że on także tańczy? I to jeszcze jak! Rozkoszowałam się każdą sekundą naszego tańca. Idę o zakład, że gdybyśmy razem ćwiczyli, szybko nauczylibyśmy się bardziej skomplikowanych figur — i tańczyłoby nam się niesamowicie! Jakie to żałosne — myślę — lecę na własnego nauczyciela!

— Ta-ak, pewnie tak. — Kiwam bezmyślnie głową i wstaję; staram się sprawiać wrażenie, że nic się nie stało. — No dobra, idę się rozejrzeć — mówię i szykuję się do wyjścia na parkiet, ale słyszę, że Peter wypowiada moje imię:

— Sidney... — Nie uśmiecha się, ale jego błękitne oczy są roziskrzone. Oglądam się na niego, czekając, co powie, ale on potrząsa tylko głową i odwraca wzrok. — Nic już. Nic.

Zżera mnie ciekawość — chcę wiedzieć, co zamierzał powiedzieć, ale nie ciągnę go za język. Nie obchodzi mnie to — wmawiam sobie. Nie obchodzi mnie to. Nie obchodzi... Może jeśli powtórzę to wystarczającą liczbę razy, przestanie mnie obchodzić cały Peter Granz.

Rozdział 11.

Kiedy wracam do akademika, Millie tańczy na korytarzu. Wiruje z rozrzuconymi szeroko ramionami i śmieje się w głos z odchyloną głową. Jej jasne loki fruują dookoła głowy. Jest w doskonałym nastroju.

— To było ekstra! — Wpada na wychodzącą ze świetlicy dziewczynę, niemal zwalając ją przy tym z nóg. Wydaje z siebie przeproszające sapnięcie i podtrzymuje ją. Z całej siły staram się nie roześmiać, a ofiara niefortunnego zderzenia odchodzi rozdrażniona. Późno już.

— I jeszcze ty! — woła Millie, podbiegając do mnie. Nie ruszam się z miejsca. — Nie miałam pojęcia, że potrafisz tak tańczyć! Trzymałaś to przede mną w tajemnicy!

Patrzę na nią.

— Nie, wcale nie.

— Nie wciskaj mi kitów, moja miss swingu! Zawsze jesteś taka świętoszkowata i niewinna, a potem odwalasz coś takiego!

Odwracam się w jej stronę.

— O czym ty mówisz? Co niby odwałam?

Millie wypina pierś i mówi:

— Taki erotyczny taniec z ocieraniem się o seksowne... ciało pedagogiczne! — Zaśmiewa się do łez; nie ma pojęcia, że mało brakowało, a przespałabym się z tym ciałem.

Przewracam oczami i idę przed siebie. Kiedy skręcamy za róg, wydaję klucz do naszych drzwi.

— Wcale nie. — Obracam klucz w zamku, wchodzimy do środka i rzucam swoje rzeczy na łóżko. Nie wiem, dlaczego w ogóle zaprzeczam. Peter to niezłe ciacho, a na samą myśl o naszym tańcu zaczynam się śmiać jak głupi do sera; to źle, bo tak naprawdę nie umiem przestać myśleć o Peterze ani na chwilę.

Pieprzona Millie i jej cholerne uwagi... Patrzę na nią ukradkiem. Pokazuje na mnie oskarżycielsko palcem.

— Osiodłałaś go! Objęłaś jego biodra udami! — Idzie w kierunku swojego łóżka, nie patrząc w moją stronę. — I nie wmawiaj mi, że to nie był gorący taniec, bo był gorący jak jasna cholera! Nie mówiąc już o tym, że chyba mu się to podobało.

Rzucam w nią poduszką i trafiam w bok głowy. Millie odwraca się do mnie.

— Serio! — Odrzuca mi poduszkę, która trafia w ścianę i spada mi na głowę, strącając przy okazji zdjęcie w ramce z mojej szafki nocnej. Łapię je, zanim odbije się od łóżka i spadnie na podłogę, a potem ustawiam z powrotem na miejscu i mówię:

— Jesteś niemożliwa. Następnym razem po prostu nie przyjdę.

— Wiesz sama, że będziesz chciała! Poza tym chyba poproszę was o pokazanie nam tego podrzutu jeszcze raz — tylko w zwolnionym tempie. — Rozchyła usta i mruga do mnie porozumiewawczo.

Głupia Millie. Za chwilę parsknę śmiechem — siedzi tak z otwartą buzią i nie przestaje mrugać, wiedząc, że zaraz nie wytrzymam. Krzyżuję ręce na piersiach i patrzę na nią wyzywająco.

— No, załóż się ze mną. Już tam więcej nie pójde.

— Taa, na pewno. Wiesz dobrze, że mi tego nie zrobisz. — Zmienia pozycję — siada na podkulonych nogach i patrzy na mnie z rozbawieniem.

— No co?

Millie marszczy ładną buzię. Przyciska poduszkę do piersi i poważnieje.

— Nigdy mnie jeszcze nie zawiodłaś, wiesz? Zawsze robisz wszystko, o co cię poproszę. — Skubie róg poduszki, nie patrząc na mnie.

Coś tu jest nie tak, myślę sobie. To nie brzmi jak przymilanie się w stylu: „Sidney, och, och — jesteś moją najlepszą psiapsiową!”. Mam wrażenie, że coś ją gryzie, chociaż nie daje tego po sobie poznać, a to sprawia, że się denerwuję. Nie mam pojęcia, do czego zmierza.

— No i...? — pytam.

— No i... chciałabym cię o coś zapytać. — Millie bierze głęboki wdech i siada prosto. — Dlaczego chodzisz ze mną na podwójne randki, skoro nie masz na to ochoty? To znaczy od początku mieszkamy ze sobą w akademiku i nigdy się z nikim nie spotykałaś, ale mimo to zgadzasz się chodzić ze mną na te głupie randki za każdym razem, kiedy cię o to poproszę. — Jest poważna. Stanowczo zbyt poważna.

Niepokój ściska mi gardło tak mocno, że ledwo mogę przełknąć ślinę. Zaszło mi w ustach. Zastanawiam się, czy Millie wie, co się wydarzyło. Mój były nie okazał się tak wielkim dupkiem, żeby pisać o tym, co się stało, na Facebooku, ale zamieścił zdjęcia — z rodzaju tych wyglądających bardzo, ale to bardzo kiepsko.

Czuję na sobie jej spojrzenie, lecz nie podnoszę na nią wzroku.

W końcu Millie pyta:

— Sidney, czy ty na mnie... lecisz?

Wybałuszam na nią oczy i mrugam, jakbym się przestyszała.

— Co takiego?

Jej wargi rozciąga półuśmiešek, a jedna z brwi wędruje do góry. Patrzy mi w oczy i dodaje:

— To znaczy jeśli wolisz dziewczyny, nie mam nic przeciwko. W sensie... ja nie jestem taka — nie żebyś mi się nie podobała, ale, no wiesz, to nie to. Ja tylko...

Mam oczy jak talerze. Co ona wygaduje? Rany boskie, to ostatnie, czego

bym się po niej spodziewała. Opada mi szczęka — i to dosłownie. Słucham z niedowierzaniem, aż wreszcie udaje mi się wykrztusić:

— Millie, nie jestem lesbijką!

— Ale nic by się nie stało, gdybyś była — mówi szybko Millie.

— Ale nie jestem!

Millie sznuruje usta i przygląda mi się przez chwilę w milczeniu, całkiem jakby próbowała mnie rozgryźć. Jasny gwint! Czyżbym stała się tak aspołeczna, że nie jest w stanie stwierdzić, czy naprawdę kręcą mnie faceci?

— W takim razie co jest grane? — pyta wreszcie. — Czy rodzice wysłali cię tu zakutą w pas cnoty, czy co? — Opiera się o ścianę i podciąga kolana pod brodę.

— Nie umawiasz się na randki, dopóki nie zaciągnę cię na jakąś siłą, a zarzucenie profesorkowi nóg na biodra było, jeśli mam być szczerą, najodważniejszą rzeczą, na jaką się zdobyłaś, odkąd cię znam.

Czuję, że czerwienieję.

— Ta rozmowa przekroczyła dopuszczalne granice, zanim się jeszcze zaczęła. — Śmieję się nerwowo i wstaję, a potem podchodzę do szafki i buszuję w niej w poszukiwaniu piżamy.

— Mówię poważnie, Sidney — ciągnie Millie. — Mam wrażenie, że uważasz, że nie zasługujesz na to, żeby być szczęśliwą — czy coś w tym stylu. Zawsze wyglądasz, jakby przytłaczał cię jakiś wielki ciężar. Wcześniej myślałam, że to dlatego, że jesteś z New Jersey i sądzisz, że wszyscy traktują cię z góry, ale to nie to. Prawda? Dziś wieczór, kiedy tańczyłaś, cała aż promieniałaś. Widziałam inną siebie — taką, której do tej pory nie znałam. Zupełnie jakbyś ukrywała przed światem inną Sidney, zamkniętą gdzieś w środku.

Gapię się na nią, niezdolna wydobyć z siebie jakiegokolwiek słowa. Nie zwykłam o tym rozmawiać. Nie lubię o tym mówić — nie po tym, co się stało, kiedy ostatni raz się z tego komuś zwierzyłam. Jakaś część mnie chce to z siebie wyrzucić. Chciałabym wiedzieć, czy Millie sądzi, że to była moja wina, ale gdyby tak się stało... nie mogłabym tego znieść. Nie znowu. Kręcę głową i odwracam wzrok.

— Po prostu lubię tańczyć. Dzięki temu zapominam, że powinnam cały czas się krzywić.

— Kiedyś mi powiesz — mówi Millie. — A kiedy przyjdzie ten moment, będę dobrą przyjaciółką. Ty byłaś dla mnie dobra. Zasługujesz na kogoś, komu możesz powierzyć swoje sekrety — nieważne jakie. — Uśmiecha się do mnie smutno.

Nie mogę. Słowa więzną mi w gardle. Czuję na sercu ich ciężar, ale to nieważne — nie mogę jej tego powiedzieć. Nie mogę powiedzieć Millie, co się stało, co on mi zrobił. Zapada niezręczna cisza. Patrzymy na siebie w bezruchu.

W końcu Millie wbija wzrok w pościel.

— Wiesz, sędzę, że on może być tym jedynym.

Zaskoczona nagłą zmianą tematu, początkowo nie bardzo wiem, o co jej chodzi.

— Kto? Brent? — łapię wreszcie.

Kiwa głową.

— Tak. Naprawdę dobrze się z nim dogaduję — lepiej niż z kimkolwiek. Naprawdę go... kocham.

— Powiedziałaś mu to już?

— Jeszcze nie. — Potrząsa głową. — To znaczy o mały włos bym mu to dziś wyznała. Myślę o tym, wiesz? Ale to wcale nie takie łatwe. Kiedy powiesz to pierwsza, to może być kłops, bo wcale nie masz pewności, że on odpowie ci tym samym.

— Odpowie — mówię z przekonaniem. Uśmiecham się do niej i widzę, że odzyskuje nieco pewności siebie.

— Skąd wiesz?

— To po nim widać, Millie. Ma to wypisane na twarzy. Uwielbia cię, nawet jeśli jeszcze ci nie wyznał miłości.

Millie uśmiecha się do mnie szeroko. Twarz aż jej jaśnieje. Opada na poduszki, a ja się przebieram, biorę książkę i próbuję czytać, ale myślami błędę gdzieś daleko. Zastanawiam się, ile czasu minie, zanim Millie zorientuje się, co się święci. Może powinnam jej po prostu powiedzieć i mieć z tym spokój? Kiedy uświadamiam sobie, że nie dociera do mnie nic z tego, co czytam, gaszę światło i wskakuję do łóżka.

Tym razem, kiedy zamykam oczy, odczuwam ulgę: zamiast tamtych koszmarnych wydarzeń przed oczami widzę łagodny uśmiech Petera. Zasypiam, czując, jak moje ciało wiruje, prowadzone przez jego mocne dłonie.

Rozdział 12.

Mija kilka tygodni i zima odchodzi — nadeszła wreszcie wiosna. Drzewa wypuściły pąki i wszystko kwitnie. Cały kampus aż tryska kolorami i wszyscy wydają się bardziej radośni. Wszędzie wokół można zobaczyć zakochane pary, niewidzące poza sobą świata.

Z Peterem pracuje mi się teraz znacznie lepiej, nie czuję się już tak niezręcznie. Trudno mi to przyznać przed samą sobą, ale lubię go. Jest dobrym wykładowcą i rzadko stwarza problemy — dzięki Bogu, bo przez większość czasu jestem spięta jak cholera. Jego obecność działa na mnie kojąco. Nie jestem przy nim taka nerwowa jak zazwyczaj. Zastanawiam się, czy to dostrzega. Czasami mam wrażenie, że nie zwraca na nic uwagi, ale wydaje mi się, że to właśnie na tym mu zależy — żeby inni tak go postrzegali.

Zbliża się pora obiadowa. Za chwilę mam wyjść na popołudniowe wykłady, ale po drodze zatrzymuję się, żeby sprawdzić pocztę. Kiedy wchodzę do centrum kampusu i idę do skrytki, macham kilkorgu znajomym. Obracam pokrętkę z kodem, otwieram drzwiczki i wyciągam korespondencję, a potem zamykam skrytkę i podchodzę do stolika, żeby przejrzeć listy i wyrzucić stertę ulotek.

Do mojego stolika podchodzi Dusty — zauważył mnie.

— Cześć, Sidney — mówi.

Nie rozmawialiśmy od czasu naszej nieudanej randki, co było dość trudne, bo uczęszcza ze mną na jedne z zajęć.

— Cześć — odpowiadam niechętnie.

— Chciałbym cię przeprosić. Tego wieczoru, kiedy się spotkaliśmy... dałem ciała. Nie powinienem był...

Tak bardzo nie chcę o tym rozmawiać! Macham rękami, dając mu znak, żeby przestał.

— Nie, nie, to była moja wina — mówię prędko. — Ja...

— To nie była wcale twoja wina. Daj spokój. Pozwól mi skończyć. Zbyt długo z tym zwlekałem. Powinienem był ci to powiedzieć już dawno.

Patrzę na niego i kiwam głową, chociaż mam ochotę stąd prysnąć.

— Zachowałem się jak zwykły dupek. Nie powinienem był niczego zakładać, ale tak zrobiłem. Przepraszam cię za to, Sidney.

Słucham go i wbijam wzrok w koperty i ulotki. Skąd ja to znam? Słyszałam już te same słowa z innych ust, od kogoś równie słodkiego jak on. Pozory mylą — to stara prawda. Podnoszę na niego wzrok i kiwam głową.

— No dobra. W takim razie zrób mi przysługę i może zacznijmy znów od początku? — proponuję. Wcale nie mam na to ochoty, ale on stanowczo zbyt długo łązi za mną, próbując mnie przeprosić.

Dusty uśmiecha się do mnie szeroko.

— Brzmi całkiem nieźle. — Patrzy na pocztę, którą trzymam, a potem zagląda mi w oczy. — Idziesz na wykład? — Potakuję. — Ja też. Pójdę z tobą.

Zajebiecie...

— Ee, no dobra, jasne. — Czekając, aż sprawdzi swoją skrzynkę, przeglądam korespondencję. Wyrzucam do kosza cały plik ulotek i zamieram, wpatrując się w ostatnią kopertę. Poznaję ten styl pisma i gapię się na litery, niezdolna mrugnąć. Przerazenie prawie ścina mnie z nóg. Znalazł mnie!

— Gotowa? — pyta Dusty.

Wkładam list między kartki książki i kiwam głową. Po drodze na wykład nie jestem zbyt rozmowna. Dusty coś tam papla, a ja go niby słucham, ale ten list... Rany. Minęły ponad cztery lata. Dlaczego akurat list? I dlaczego akurat teraz? Denerwuję się i jestem tak spięta, że prawie nie dociera do mnie, że jesteśmy już w sali wykładowej i że Peter coś do mnie mówi.

Kiedy kładzie mi dłoń na ramieniu, aż podskakuję. Czuję, jakby ziemia usunęła mi się spod nóg, i zaczerpuję spazmatycznie tchu. Peter cofa się i zabiera ręce, obracając je wnętrzem w moją stronę.

— Spokojnie, Sidney. Wszystko w porządku? — Wygląda na zaniepokojonego.

Cała grupa na nas patrzy, a ja czuję na sobie jego spojrzenie. Obserwuje nas zbyt wiele par oczu. Przyklejam na twarz sztuczny uśmiech, a potem kiwam głową i przebąkuję coś o rozkojarzeniu. Dusty się śmieje, ale Peter jest poważny. Wiem, że zapyta mnie o to później, kiedy wszyscy wyjdą.

Czuję się tak, jakbym miała na szyi obroź z kolcami. Nie mogę przełknąć śliny. Nie mogę oddychać. Za każdym razem, kiedy dotykam podręcznika, czuję, jak list dosłownie wypala mi przez okładkę dziurę w dłoni. Nie powinnam go czytać — wiem o tym.

Ale co, jeśli to coś ważnego? Co, jeśli...

Nie czytaj go — nakazuję sobie w myślach. Nie warto.

Mam wewnętrzny dylemat. Gapię się tępo przed siebie. Wykład trwa, ale nic z niego do mnie nie dociera. Studenci dyskutują. Ktoś się śmieje. Słyszę jakiś dziewczęcy głos, ale nie mam pojęcia, co mówi — ani co opowiada Peter. Myśli zaprzęta mi wyłączenie ten głupi list.

Trzymam dłoń przyciśniętą kurczowo do książki. Drży mi nerwowo. W połowie lekcji Peter zwraca się do mnie, ale nie wiem, o co pyta. Nieobecny wzrok wbijam w podłogę. Nie dociera do mnie, że Peter stoi przede mną, dopóki nie widzę jego butów. Podnoszę na niego wzrok.

— Przepraszam, nie dosłyszałam pytania...

Peter uśmiecha się do mnie i wskazuje na mój podręcznik, otwarty nie na tej stronie, co trzeba. Patrzy na mnie w milczeniu, aż wreszcie mówi:

— Rozmawiamy o poezji. Dusty twierdzi, że to kliwe bzdury dla kobiet i że

żaden facet przy zdrowych zmysłach nie napisałby nigdy wiersza, nie licząc na korzyści.

Mrugam nieprzytomnie.

— Korzyści?

Dusty siedzi dwa rzędy za mną.

— Mówiąc ogólnie. Powiedziałem, że żaden facet nie napisałby wiersza bez powodu. W tym przypadku autorowi bez dwóch zdań zależało na szybkim numerku.

— Bardzo wymowne — mówi Peter, kręcąc głową. Krzyżuje ręce na piersiach i patrzy na mnie. — A ty co o tym myślisz, Sidney?

Krzywię się i oglądam przez ramię na Dusty'ego.

— Bardzo wątpię. — Patrzę z powrotem na Petera. — Wiersz to sposób wyrażania emocji. Esencja języka. Treścią poezji jest... — Zaczyna mi ciemnieć przed oczami. Sama pisałam wiersze. Bardzo dobrze pamiętam, co wydarzyło się tego dnia, kiedy napisałam ostatni. Dławienie w gardle nie ustaje. Wciąż czuję na sobie dotyk jego dłoni. Z trudem przelkam ślinę i staram się zignorować zimny pot na plecach. Odchrząkuję i kończę: — Treścią poezji jest czystość — czystość uczuć, pożądania, czystość radości, czystość...

— A więc wiersz może być kłamstwem? — wchodzi mi w słowo Dusty. — Co, jeśli facet chce cię po prostu przelecieć? Co, jeśli to wszystko to tylko piękne słówka? Naprawdę sądzisz, że te dziady nie pisały takich bzdur, żeby zamoczyć kija? Daj spokój, Sidney, nie jesteś chyba aż tak naiwna!

Słowa Dusty'ego dźwięczą mi w uszach, przywołując dawno zapomniane wspomnienia. Przykładam dłoń do policzka i wyrzucam z siebie:

— Och, daj spokój. Nie każdy facet to drań, Dusty! Nie sądzisz, że niektóre wiersze powstały nie z chęci zaliczenia laski, tylko z potrzeby oczyszczenia?

Dusty coś odpowiada, kilku koleśi się śmieje, a ja zamykam oczy i czuję, jak uginają się pode mną kolana. W uszach dźwięczą mi słowa Dusty'ego, coraz głośniej i głośniej. Co, do jasnej cholery, jest ze mną nie tak? To tylko zwykły list! Dusty to palant. Nic nowego. Wiem, że nie może mnie zranić, ale mimo to tak bardzo się boję! Z trudem biorę się w garść i wreszcie zaczynam słyszeć, co mówi Dusty:

— ...robili to i robią to nadal. Faceci nie piszą wierszy dla siebie — robią to, żeby pobzykać. Jeżeli potrzebują się uzewnętrznić, wciskają kit.

Z jakiegoś niepojętego dla mnie powodu ta rozmowa rozdrapuje stare rany. Zanim udaje mi się opamiętać, zaczynam dyszeć ciężko i zaciskam palce na krawędzi pulpitu tak mocno, że aż bieleją. Peter stoi bez ruchu i patrzy na mnie. Nie ucisza Dusty'ego. Wlepiam wzrok w jego buty i staram się uspokoić oddech. Za chwilę dostanę ataku paniki przy całej klasie. Serce wali mi jak młotem, stanowczo za szybko. Kropla potu spływa mi zza ucha na szczękę.

Peter przerywa Dusty'emu:

— A więc wszyscy panowie na tej sali są takiego samego zdania? — Słyszę poruszenie w grupie, ale nie rozglądam się. — Dobrze. Resztę tego wykładu spędzicie w bibliotece, pisząc wiersz. Nie może być adresowany do kobiety i musi wyrażać emocje. Chcę mieć wasze wycieczki przed końcem lekcji u siebie na biurku. Czy to jasne? — Dobiegają mnie jęki i szuranie odsuwanych krzeseł.

Ja też odpycham się od ławki i zaczynam wstawać, ale zamieram w pół ruchu, kiedy słyszę Petera:

— Sidney, chciałbym z tobą porozmawiać. Zostań chwilę.

Wychodzi za resztą grupy i odpowiada na kilka pytań, a potem każe im wrócić o 21:20 z wierszami. Mówi, że jeśli się przyłożą, nie pożałują. Nie, nie musi być długi. Kilku chłopców robi żartobliwe uwagi na temat tego, że długość nie gra roli. Peter każe im za karę napisać po dwa wiersze. Słyszę kilka przekleństw, a potem zapada cisza.

W sali wykładowej jest pusto. Kładę głowę na pulpicie i zamykam oczy.

— Sidney? — słyszę łagodny głos Petera. Kiedy otwieram oczy, widzę, że klęczy przed moim pulpitem. Patrzy na mnie badawczo, z niepokojem. Czuję się, jakbym przeżyła zderzenie z ciężarówką. — Wszystko w porządku?

Siadam prosto i kiwam głową.

— Przepraszam. Nie wiem, co się...

Peter wygląda na zatroskanego. Potrafi mnie przejrzeć. Wie, że nie mówię prawdy. Widzę to w tym jego krzywym uśmiechu.

— Nie musisz się przede mną tłumaczyć. Chcę się tylko upewnić, że nic ci nie jest. Strasznie zbladłaś. Posiedź tu przez chwilę. — Wstaje i podchodzi do swojej teczki, z której wyjmuje batonik. Wraca do mnie i mi go podaje. — Zjedz, proszę.

Biorę od niego baton i siadam prosto. Po cichu liczę na to, że uda mi się wszystko zwalić na brak cukru.

— Zawsze nosisz w teczce czekoladę?

Uśmiecha się i patrzy, jak jem.

— Jak widać, zdarza mi się. Właściwie to miała być moja kolacja...

— Ojej! — Wyciągam w jego stronę batonik, porządnie nadgryziony. Łakomczuch ze mnie. Peter delikatnie odsuwa moją dłoń.

— Zjedz. — Nie cofa ręki; zagląda mi w oczy, próbując uchwycić mój wzrok. — Co się stało? Miałem wrażenie, że przez chwilę byłaś gdzieś daleko.

Nie patrzę na niego. Wsuwam batonik do ust i odgryzam kęs. Czekolada ma smak piasku. Nie mogę o tym myśleć. Staram się odsunąć od siebie przeszłość, ale potwór znów podnosi swój łeb. Zerwał się z łańcucha. Nie wiem dlaczego, ale kiwam głową.

— Tak — potwierdzam. — Przepraszam. Coś mi się po prostu

przypomniało.

Peter ściska moją dłoń. Podnoszę na niego wzrok i nasze spojrzenia się krzyżują. Czuję w brzuchu łaskotanie. Peter wytrzymuje mój wzrok — nie odwraca oczu.

Wzdycha i pyta cicho:

— Czy mogę ci jakoś pomóc?

Nie mogę oderwać wzroku od jego niebieskich oczu. Zaciskam usta i walczę z uczuciem, jakie we mnie budzi. Nie mogę sobie pozwolić na coś takiego. Nie teraz. Nigdy. Kręcę ledwie zauważalnie głową.

Wargi Petera rozciąga smutny uśmiech.

— Szkoda.

Nie odpowiadam. Nie mogę wykrztusić słowa. Głos więźnie mi w gardle. Patrę tylko w te ciemnoniebieskie oczy Petera i czuję się jak rozbitek na pełnym morzu. Tonę w oceanie bólu. Peter chce mi podać pomocną dłoń, ale ja nie mogę przyjąć jego propozycji. Nie mogę mu powiedzieć, co się wydarzyło, a on nie zdoła tego naprawić. Nawet gdyby wiedział, nikt nie może zmienić przeszłości.

Do sali wchodzi jedna ze studentek. Ledwie ją zauważam.

— Doktorze Granz? — zagaduje.

Peter odwraca się, zaskoczony. Dziewczyna na pewno nie uznała jego zachowania za dziwne, ale Peter wydaje się podenerwowany. Widzę to wyraźnie — ma sztywne ramiona, wsuwa dłonie do kieszeni i przestępuje z nogi na nogę. Dziewczyna trzyma podręcznik i pyta o coś związanego z pentametrem jambicznym i układem rymów. Peter wyjaśnia jej, że nie musi tego stosować. Widzę, że dziewczynę za chwilę trafi szlag.

Peter odpowiada jeszcze na kilka jej pytań, a ja dojadam batonik. Kiedy kończę, zbieram się do wyjścia z sali, ale Peter wyciąga w moja stronę palec i mówi:

— Siadaj. Zostań tu. Równie dobrze możesz odrabiać zadanie w sali.

— Nic mi nie jest — protestuję, ale głos mam piskliwy, nieprzekonujący. Dziewczyna przygląda mi się bacznie.

— Kiepsko wyglądasz. Nie chcesz jakiejś aspiryny czy czegoś? Powinam coś mieć w torbie.

— Nie, dzięki, nic mi nie jest — zapewniam ją. Aspiryna nic tu nie pomoże.

Dziewczyna kiwa głową i idzie w stronę drzwi, jednak przed wyjściem ogląda się na mnie i rzuca:

— Lepiej go słuchaj albo wylądujesz dziś wieczorem w gabinecie pielęgniarki. Miałam już tę wątpliwą przyjemność i nie polecam. Łóżka są tragiczne.

Przytakuję i patrzę, jak wychodzi, a potem spoglądam na Petera i zapewniam go:

— Nic mi nie jest, serio.

— Kiepska z ciebie kłamczucha. Siedź tu i pisz swój wiersz. Nie będę ci zawracał głowy.

Mam ochotę mu odpowiedzieć, że już mi zawrócił w głowie. Mam ochotę wykrzyknąć mu prosto w twarz, że sama jego obecność sprawia, że nie mogę się skupić, ale milczę. Przewracam oczami i sięgam po kartkę, a potem zaczynam automatycznie pisać. Opamiętuję się dopiero wtedy, kiedy kończę i dociera do mnie, co napisałam.

Gdy tak gapię się tępo w kartkę, Peter wstaje zza biurka i podchodzi do mnie.

— Gotowe?

Próbuję się roześmiać.

— Nie, muszę go jeszcze poprawić. — Gniotę kartkę i ciskam ją w stronę śmietnika, jednak zawiniątko odbija się od niego i zamiast wpaść do środka, upada na podłogę. Zrywam się z krzesła i nurkuję w stronę drzwi w tej samej chwili co Peter... który jest szybszy ode mnie.

Podnosi zmiętą kartkę i ją wygładza.

— Jestem pewien, że nie trzeba go poprawiać. Nie musi być poematem — chciałem tylko, żebyście...

Żołądek podchodzi mi do gardła, a kręgosłup ścina mi łód. Co za idiotka ze mnie! Jestem taka głupia! Gdybym nie zachowała się jak dzikus, pewnie nawet by tego nie przeczytał. Jednak wiem, że jeśli teraz nie opanuję nerwów i spróbuję mu zabrać wiersz, dowie się, jaka jestem szurnięta — dowie się, że słowa na kartce to coś więcej niż tylko szkolne zadanie. Dlaczego w ogóle napisałam coś takiego?

Peter zaczyna wodzić wzrokiem po linijkach pisma i jego uśmiech niknie bez śladu, a on sam nieruchomieje. Przestaje nawet poruszać oczami — wydaje się, że przestał czytać, ale ja wiem, że analizuje to, co napisałam. Wreszcie powoli podnosi wzrok znad nieszczęsnej kartki papieru. Ściskam przedramię drugą dłonią i wbijam w nie paznokcie prawie do krwi.

— Sidney...

— Ja nie... — Otwieram usta, ale słowa więzną mi w gardle. Zaprzecz — nakazuje mi wewnętrzny głos. Powiedz, że to nic takiego — powiedz to! Ale nie mogę tego zrobić. Nie potrafię. Nie umiem nawet na niego spojrzeć. Milknę i cała aż się trzęsę, chociaż ze wszystkich sił staram się opanować drzenie. Mam wrażenie, że w sali zapanował nagle przenikliwy chłód. Mam wrażenie, że zamierzam — każdy mięsień w moim ciele tężeje. Nie mogę wydobyć z siebie słowa, nie mogę się poruszyć. To nie powinno było się wydarzyć. Nie miałam na to wpływu.

Peter patrzy na mnie tymi swoimi ogromnymi, niebieskimi oczami. Jeżeli wcześniej mnie nie przejrzał, to teraz mu się to udało — to pewne. Opuszcza wzrok

na kartkę papieru; trzyma ją ostrożnie, całkiem jakby słowa mogły go pokąsać.

— Nie miałem pojęcia... — zaczyna, ale przerywam mu drżącym głosem:

— Przestań. — Głos niemal mi się łamie. Przeklinam własne ciało i wspomnienia, które nie chcą odejść. — Daj spokój, dobrze? To nic nie znaczy. — Uciekam wzrokiem w bok, wbijam go w pierś Petera. Jeżeli spojrzę mu w oczy, będzie po mnie. — To nic. Zwykle słowa na kartce. — Staram się brzmieć beztrosko, tak jakbym przez cały czas nie robiła nic innego, tylko pisała ckliwe wierszydła. Udaję, że wcale nie przelałam na kartkę papieru wypełniających mi serce uczuć. Co, do jasnej cholery, jest ze mną nie tak? Zakładam na twarz maskę. Przyklejam do twarzy fałszywy uśmiech i wbijam wzrok w buty Petera. Próbuję spojrzeć mu w twarz, ale mam wrażenie, że moje oczy nie chcą współpracować.

— Wcale nie. — Peter przygląda mi się uważnie. Oddycham stanowczo zbyt szybko, ale za każdym razem, kiedy próbuję uspokoić oddech, tylko pogarszam sprawę.

— A skąd niby miałbyś to wiedzieć? — pytam zaczepnie i podnoszę na niego wzrok. To był błąd. Wyraz jego twarzy, te przenikliwe błękitne oczy, skrzywienie ust i sposób, w jaki na mnie patrzy... Widzę wyraźnie, że on wie. Zaciskam dłonie w pięści. — Wcale mnie tu nie ma — mówię, jakby nigdy nic. — Wcale z tobą nie rozmawiam. Nie słyszę, jak udajesz, że coś cię obchodzi. — Odwracam się na pięcie i zbieram książki, a potem maszeruję stanowczym krokiem w stronę drzwi.

Sięgam do klamki, kiedy słyszę za plecami głos Petera:

— Wcale nie udaję.

Czuję na plecach jego wzrok. Sztywnieję i jeżę mi się włoski na karku. To dla mnie zbyt wiele. Rozpadam się na milion kawałków jak kruche szkło — nie ma już we mnie słabych punktów. Cała jestem jednym wielkim słabym punktem.

— Nie mów takich rzeczy.

Peter podchodzi bliżej. Słyszę za plecami jego kroki — idzie powoli, a kiedy mówi, głos mu drży:

— Tamtej nocy... Nie chciałem cię zranić. Nie byłem sobą.

— Ja też nie — odpowiadam ostro. — I bardzo dobrze.

— Wcale nie. — Peter stoi teraz tuż za mną. Nie odwracam się. Nieważne, co mówi — nie obchodzi mnie to. Nic a nic. Mam to gdzieś. — Wtedy... nie wiedziałem. Nie wiedziałem, jaka jesteś naprawdę. Nie miałem pojęcia, kto się skrywa za tą wyszczerzaną osóbką. Nie wiedziałem, jak tam trafiłaś i dlaczego usiadłaś przy moim stoliku, ale cieszyłem się, że jesteś. Wciąż wracałem myślą do tamtego wieczoru. Zastanawiałem się, co by było, gdyby nie zadzwonił telefon. Zastanawiałem się, jak by to było znów tulić cię w ramionach. Nachodzą mnie myśli, które w ogóle nie powinny przychodzić mi do głowy. Marzę o rzeczach, o których nie powinienem. Chcę tego, czego nie mogę chcieć — a to wszystko tylko

dlatego, że... obchodzisz mnie.

Prawie się zachłystuję — całkiem jakby ktoś uderzył mnie w brzuch. Przytrzymuję się futryny, żeby nie upaść. Oglądam się na Petera przez ramię — on nie żartuje. Mówi poważnie. Widzę to w jego oczach. Skórę pokrywa mi gęsia skórka. Stoję przy drzwiach stanowczo za długo, wlepiając w niego osłupiały wzrok.

Peter dotyka wymiętej kartki, którą wciąż trzyma w dłoni.

— Proszę, powiedz, że to nie wydarzyło się w ciągu kilku ostatnich tygodni. Powiedz, że to nie przez coś, co zrobiłem...

Wbijam wzrok w jego oczy — chciwie, jakbym umierała z pragnienia. Jestem tak oszołomiona, że nie mogę wykrztusić słowa. Odrywam ręce od drzwi, zaczerpuję głęboko tchu i szarpnię kławkę — zbyt mocno. Impet, z jakim drzwi się otwierają, sprawia, że lecę w tył — prosto w ramiona Petera, który obejmuje mnie i przyciąga do siebie, nie pozwalając mi upaść. Drzwi zamykają się z cichym szcęknięciem, ale on nie wypuszcza mnie z objęć. Patrzy na mnie, obejmując mnie mocno. Nasze spojrzenia się krzyżują.

— Nie kłam, że wszystko jest w porządku, bo wiem, że tak nie jest. Walczysz z czymś... — Bierze głęboki wdech i spuszcza wzrok, a kiedy patrzy mi znowu w oczy, mówi z mocą: — Wiem o tym.

Usta mi drżą, jakbym lada chwila miała się rozpląkać, więc zaciskam szczęki. Kręcę głową i próbuję oswobodzić się z jego uścisku, ale on nie pozwala mi odejść.

— Część tego wiersza jest o tobie... Ale część nie. — Jego część jest o Peterze, a część o nich, myślę gorączkowo.

Jestem dojmująco świadoma własnego ciała — próbuję oddychać głęboko, ale każdy oddech jest urywany. Brakuje mi tchu. Nie rozmawiałam prawie z nikim o tamtej nocy, odkąd to się wydarzyło.

Peter nie spuszcza ze mnie wzroku.

— Czy początek tego wiersza — zaczynanie od nowa, czule pocałunki i dziewczęcy śmiech — czy to o mnie? — Kiwam głową. Nienawidzę siebie za to, ale potwierdzam. — Część o głodnych pocałunkach, zachłannych dłoniach i braniu bez dawania... — Oddycha ciężko i milknie. Sznuruje wargi, zanim zaczyna mówić dalej: — To o gwałcie, prawda, Sidney? Powiedz — jeżeli ktoś ci to zrobił...

Opieram się na nim i wtulam twarz w jego pierś. Jego serce bije tak szybko...

— To stare rany — mówię mu. — Nie myślałam o tym, co piszę — przelałam na kartkę to, co we mnie siedziało. — Biorę głęboki wdech i odsuwam się od Petera. Nie protestuje. — Ta część nie miała nic wspólnego z tobą ani z naszą kawą tamtego wieczoru. — Podnoszę kącik ust w krzywym, smutnym

uśmiechu. Tak smutnym jak oczy Petera, który patrzy na mnie długą chwilę w milczeniu. Tęsknię za jego dotykiem. Wreszcie Peter oddaje mi kartkę. — Nie czytałem całego. Chyba nie powinienem. Nie chciałem... — urywa, szukając właściwych słów.

Biorę od niego wiersz.

— Nic się nie stało — zapewniam go. — Już mi lepiej. Nie wygląda na przekonanego.

— Naprawdę. — Upieram się. — Nic mi nie jest. No, prawie nic. Przez większość czasu. Po prostu jakoś dzisiaj to wszystko do mnie wróciło.

— Co takiego? Co się stało?

Wzruszam ramionami i przypominam sobie list schowany w książce.

— Pamiętasz, jak ci powiedziałam, że moja rodzina była wściekła, kiedy wyjechałam? — Kiwa głową. — Cóż, to prawda... ale to nie wszystko. — Wpatruję się w jego oczy, bijąc się z myślami: powiedzieć mu czy nie? Peter patrzy jednak na mnie w taki sposób, że słowa, które od lat grzęzły mi w gardle, płyną same.

Zanim dociera do mnie, co właściwie robię, zaczynam mu opowiadać całą historię.

— Wyjechałam stamtąd, jak tylko dostałam stypendium tutaj. Spakowałam się i wyjechałam bez słowa. Nigdy tam nie wróciłam. Nikomu nic nie powiedziałam. Nie korzystam z Facebooka ani Twittera. Wybrałam najbardziej zapadłą dziurę, żeby mieć pewność, że mnie nie znajdą. Zrobiłam wszystko, co mogłam, chyba tylko poza zmianą nazwiska. Wydawało mi się, że to wystarczy. Że nikt mnie nie znajdzie. Nikt nie dzwonił ani nie odzywał się do mnie od czterech lat... — Wyjmuję kopertę spomiędzy kartek podręcznika. — Aż do dziś. To list od mojego brata. Dostałam go przed wykładem. — Za dużo mówię. Nie powinnam mu tego wszystkiego opowiadać, ale nie mogę przestać.

Peter patrzy na mnie cały czas w napięciu. Nigdy nikomu o tym nie mówiłam. Nikt tu nie wie, że zostałam zgwałcona. Nikt nie wie o niczym... Zawstydzona, rumienię się i odwracam wzrok. Podaję mu kopertę i siadam na ławce, ze zwieszonymi nogami.

Peter bierze ode mnie kopertę i obraca ją w dłoniach, a potem podnosi na mnie wzrok.

— Co zamierzasz z tym zrobić?

Wzruszam ramionami.

— Nie wiem. Wyrzucę go. Zmienię nazwisko. — Gapię się na czubki swoich butów.

— Czy on chce cię skrzywdzić? — Kiedy patrzę na Petera, on wpatruje się w kopertę.

Kręcę głową.

— To nie tak. Rany, ja nie... — Jąkam się i pocieram nerwowo czoło, ale jedno spojrzenie na twarz Petera wystarczy, żebym była pewna: chcę mu powiedzieć. W jakiś irracjonalny sposób czuję się przy nim bezpieczna, całkiem jakby nic nie mogło mnie zranić. — Nigdy nie powiedziałam o tym nikomu poza moją rodziną. — Milczę przez chwilę, przypominając sobie zbyt wiele szczegółów, o których chciałabym zapomnieć. — Znałam go. Tego chłopaka, który... — ...mnie zgwałcił, kończę w myślach. Nadal nie umiem tego powiedzieć na głos. Zaczerpuję głęboko tchu i uciekam wzrokiem w bok. — Chodziliśmy ze sobą. Nie byłam gotowa na seks, ale on tego chciał. Zrobił to wbrew mojej woli i powiedział, że nie zawaha się tego powtórzyć — że nikt mi nie uwierzy. — Po tym, jak to zrobił, opowiedziałam wszystko mojej mamie, a ona powiedziała tacie, ale nic z tym nie zrobili. Powiedzieli tylko, że przecież umawiam się z nim, więc może źle zrozumiałam jego zamiary albo sama wprowadziłam go w błąd. Gdy o wszystkim dowiedział się mój brat — ten chłopak był jego najlepszym przyjacielem — stwierdził, że on nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Obwiniali mnie. Wszyscy. Uznali, że to była moja wina. — Patrzę Peterowi w oczy. — Byłam wtedy w ostatniej klasie. — Uśmiecham się gorzko. — Ale to nie wszystko. Moi rodzice lubili tego dupka. Po tym, co się wydarzyło, chcieli, żebym się z nim nadal spotykała.

— A więc to nie był koniec? — Peter krzyżuje ręce na piersiach. Widzę, jak napinają mu się mięśnie ramion.

Kręcę głową.

— Nie — szepczę. Wracają wspomnienia, jak żywe. Widzę srebrny błysk, całkiem jakby to znowu się działo. Cała historia jest znacznie mroczniejsza... Dotykam szyi, wisiora, który zasłania bliznę. Nie mogę mu tego powiedzieć. Nie chcę znów tego rozpamiętywać. Odsuwam od siebie wspomnienia, splatam ręce na podołku i mówię cicho: — Nie wiedziałam, co robić. Nie mogłam od niego uciec. Nie powiedziałam o tym nikomu więcej. Rodzice mi nie wierzyli, więc dlaczego miałoby uwierzyć przyjaciele? Po kryjomu znalazłam szkołę, do której złożyłam papiery — przyjęli mnie tu i zapewnili wszystko, czego potrzebowałam. Uciekłam i nie oglądałam się za siebie.

Peter długo milczy.

— Było ci ciężko, a ja jeszcze wszystko utrudniłem — mówi wreszcie i wpatruje się w moje oczy. — Wybacz.

— Nie musisz mnie za nic przepraszać. — Macham ręką, ale on kręci głową i opiera dłonie na biodrach. — Zaprosiłem cię do siebie, kiedy się poznaliśmy. Doszło między nami do czegoś, chociaż nie powinno było. A już na pewno nie powinienem cię prosić, żebyś wyszła.

— Nie zrobiłeś tego.

— To było tak, jakbym cię wyrzucił. — Peter wzdycha i przeczesuje włosy

palcami. — Posłuchaj mnie: to nie jest wymówka, ale musisz wiedzieć, że to nie była twoja wina. Nie chodziło o ciebie. Jakiś rok temu... coś się wydarzyło. Straciłem kogoś i... chyba jeszcze nie byłem gotów... — Urywa i patrzy w bok. — Próbowałem się jakoś pozbierać, ale jeszcze nie mogłem, nie potrafiłem. To właśnie dlatego zachowałem się tak tego wieczoru, kiedy się poznaliśmy. Wtedy... nie mogłem ci wyjaśnić. Nie wiem, czy mogę ci teraz o tym opowiedzieć... — Zeskakuję z ławki, podchodzę do niego, dotykam jego dłoni i mówię łagodnie: — Nie musisz. — Ból w jego głosie jest przejmujący. — Pamiętaj, że masz we mnie przyjaciela. Niech szlag trafi uniwersyteckie przepisy.

Peter uśmiecha się słabo i patrzy mi w oczy.

— A więc cię obchodzę?

— Może odrobinę. — Ściskam jego dłoń i uśmiecham się do niego, a on odpowiada uśmiechem. Jak on się cudownie uśmiecha! — No, może nawet coś więcej. Może nawet cię lubię...

— Lubisz? — wchodzi mi w słowo Peter. Uśmiecha się teraz tak szeroko, że w jego policzkach robią się urocze dołeczki.

— Ale nie tak, jak myślisz!

— Powiedziałaś to! Niech szlag trafi przepisy — lubisz mnie. Lubisz! — Peter porusza wymownie brwiami, uśmiechając się szeroko.

— Wcale nie!

— Oj, chyba tak.

— Dupek z ciebie, wiesz?

— Nazywaj mnie sobie, jak chcesz, moja piękna, ale wiem, że mnie lubisz.

— Peter wraca za biurko, podskakując z rękami splecionymi za plecami.

— Jesteś taki pewny siebie! Dlaczego sądzisz, że miałbyś mi się podobać? Może po prostu jestem miła...

— Taa — mamrocze pod nosem. Siada i zaczyna przeglądać jakieś papiery. Kiedy podnosi na mnie wzrok, dodaje: — Byłaś miła, chociaż ja wolałbym cię rozebraną do pasa i siedzącą mi na kolanach gdzie indziej. — Otwieram usta, niezdolna wykrztusić choćby słowo. Peter znowu się do mnie szczyrzy. — Och, wydawało mi się, że taki rodzaj bycia miłą wchodzi w rachubę, ale sądząc po twojej minie, chyba się przeliczyłem. — Przygląda mi się bacznie, a w jego głosie wyczuwam wahanie. Widzę, że zastanawia się, czy powinien się ze mną drażnić w taki sposób, ale mi to zupełnie nie przeszkadza. W końcu gramy w otwarte karty.

— Tamtego wieczoru... próbowałam się przełamać. Wydawało mi się, że ci się podobało. — Rumienię się, ale nie potrafię przestać się uśmiechać.

Mruga do mnie.

— Bo tak było.

— Palant.

— Ale seksowny.

— Dupek!
— Przystojny!
— Grr! — warczę na niego i tupię nogą, a on wybucha śmiechem.
— Czyżby napad złości, panno Colleli? — Przechyliła głowę na ramię i patrzy na mnie z rozbawieniem, notując coś na skrawku papieru i wsuwając plan zajęć do teczki.

— Wkurzasz mnie!
— Na pochlebstwach daleko nie zajdziesz! — Peter kończy zbierać swoje rzeczy i mówi: — Chodź.

— Dokąd? — Czuję się tak lekko i radośnie i uśmiecham się tak szeroko, że lada chwila pęknie mi twarz. Peter sprawia, że zapominam o wszystkim, co złe. Drażniliśmy się ze sobą, ale wcześniej ani razu żadne z nas nie wspomniało o tamtej nocy. Nie wiem, jak Peterowi się to udaje, ale przy nim czuję się bezpieczna i szczęśliwa, całkiem jakby przeszłość zniknęła. Jestem naprawdę ciekawa, gdzie chce mnie zabrać.

— Jesteś mi winna kolację i kieliszek wina. Ja prowadzę. — Idzie do drzwi i ogląda się na mnie przez ramię. Chciałabym z nim pójść, ale wiem, że nie powinniśmy tego robić. Waham się, a na ten widok Peter uśmiecha się do mnie krzywo. — A co z olewaniem uniwersyteckich zasad? Taki z ciebie piesek, co tylko szczeka, a nie gryzie?

— Uważaj, bo zaraz to ciebie pogryzę! — parskam i zbieram swoje rzeczy. Peter uśmiecha się do mnie.
— Powinnaś spróbować. Podobno jestem słodziutki jak cukiereczek.
— Pewnie jeszcze w czekoladzie, co?
— To byłby jakiś pomysł, ale nie — moja słodycz jest całkowicie naturalna.
— Znowu się do mnie szczyrzy.

— Tak samo jak dar wkurzania innych. Chyba ostatnio intensywnie to trenowałaś?

— Odkąd zastąpiłem Tadwicka, ledwie raczyłaś zamienić ze mną dwa słowa. Miałem wrażenie, że masz ochotę mnie wykastrować nożem do otwierania listów.

Prawie się krztuszę ze śmiechu.
— Serio?

Peter wzrusza ramionami i wskazuje na drzwi, dając mi znak, że powinniśmy już iść.

— A co z zadaniem dla grupy?
— Zostawiłem instrukcje na biurku. Wrócę później i zabiorę prace.
— A co z władzami uniwersyteckimi? Peter, naprawdę nie chciałabym, żebyś stracił przeze mnie pracę.
— Nie tracę. Nikt mi nie zabroni zapraszać uczniów na kolację. Nie ma

tego w przepisach. — Peter poważnieje nagle. — Opowiem ci, co się wtedy stało. Jestem ci to winien.

Wcale nie jest mi nic winien, ale chciałabym usłyszeć jego historię — chcę wiedzieć, przez co przeszedł. Chcę się dowiedzieć, dlaczego facet taki jak on nie chciał uprawiać seksu z laską, która sama wskoczyła mu do łóżka. Wyczuwam w nim coś mrocznego, skrytego pod pozorami normalności. Może to właśnie dlatego tak dobrze się ze sobą dogadujemy? Może ma tak samo pokręconą przeszłość jak ja...

Kiwam powoli głową i wychodzę za nim z sali.

Rozdział 13.

Idziemy do tej samej restauracji, w której się poznaliśmy. Dziś wieczór nie ma tu zbyt wielu gości — jest środek tygodnia, a do tego późna pora. Kelner prowadzi nas do stolika na tyłach sali, po drugiej stronie kominka. Ze swojego miejsca nie widzę reszty sali — i dobrze, bo dzięki temu nieco się rozluźniam. Millie nie wybaczyłaby mi, gdyby się dowiedziała, że tu jestem.

Peter siada i zamawiamy coś do picia. Peter upija łyk bursztynowego płynu ze swojej szklanki i mówi:

— A skoro już mowa o tamtym wieczorze, kiedy się poznaliśmy...

Upijam łyk wina i kręcę głową.

— Peter, proszę, nie. Naprawdę, to niepotrzebne. Nie po to tu przyszliśmy — nie chcę tego przerabiać na nowo.

— W takim razie dlaczego zgodziłaś się tu ze mną przyjść? — Peter pyta poważnie, całkiem jakby nie wiedział.

— Bo jestem głodna... i może trochę cię lubię. Chyba to już sobie wyjaśniliśmy? — Uśmiecham się do niego, licząc na to, że odpowie tym samym, ale on przygląda się tylko, jak podnoszę kieliszek do ust. — Jesteś niesamowita — mówi.

— Wiem! — Szczerzę się do niego. — Umiem sama trzymać kieliszek! Juhuu! — Podnoszę swój kieliszek i obracam jego nóżkę w palcach. Wino kołysze się, ale nie ronię ani kropli.

Peter uśmiecha się do mnie, rozbawiony; w kącikach jego oczu tworzą się małe zmarszczki.

— Nie to miałem na myśli, ale muszę przyznać, że trzymanie kieliszka masz opanowane do perfekcji.

Parskam śmiechem. Nie mam pojęcia dlaczego, ale Peter ma w sobie coś, co sprawia, że czuję się przy nim swobodnie — całkiem jakbyśmy znali się od zawsze i jakbym mogła mu powiedzieć wszystko, pewna, że mnie zrozumie. To takie dziwne!

Dostajemy nasze sałatki — kelner zostawia dania i odchodzi. Jedzenie wygląda przepysznie.

— Ostatnim razem, kiedy tu byłam, nie było mi dane nic zjeść — mówię, sięgając po widelec. — Trochę mi odbiło i zaatakowałam kelnera.

Peter nadziewa na widelec listek sałaty i zatrzymuje go w połowie drogi do ust.

— Serio?

— Serio. Chłopak, z którym się tu spotkałam... nie był zbyt cierpliwy. Próbowałam się do niego przekonać, ale nie dałam rady, co zaowocowało nagłym odwrotem. Wpadłam na tego tam. — Pokazuję na kelnera stojącego przy barze po

drugiej stronie sali. — Taca wypadła mu z rąk jak na filmach, w zwolnionym tempie. Dam sobie rękę uciąć, że napluł mi do jedzenia.

Uśmiech Petera niknie bez śladu.

— Dlaczego próbowałaś tamtemu gościowi na to pozwolić?

Wzruszam ramionami i grzebię widelcem w swojej sałatce.

— Bo chciałam zachować się... normalnie? Na wypadek gdybyś jeszcze tego nie odkrył, dodam, że jestem trochę pokręcona.

Peter patrzy na mnie ze śmiertelną powagą.

— Cóż, z tego, co zdążyłem zauważyć, daleko ci raczej do normalności. Po pierwsze, masz nienormalnie wielkie oczy, które stanowczo za bardzo się błyszczą. A te twoje usta? Cóż, powiedzmy, że są w oczywisty sposób nieforemne. — Peter uśmiecha się pod nosem i sięga po odłożony widelec.

— Zamknij się! — odpowiadam i uśmiecham się do Petera, kręcąc głową. On odwzajemnia uśmiech i kontynuuje, poruszając widelcem:

— Bycie normalnym jest przereklamowane. Co możesz zyskać dzięki normalności? Tępego męża i średnio dwoje i pół dziecka, dom oraz psa? Naprawdę właśnie tego chcesz? W sumie jedno z tych dzieci może naprawdę zabawnie wyglądać, takie przekrojone na pół. Kto by chciał mieć połowę dziecka?

Uśmiecham się, ale szybko poważnieję. Z Peterem rozmawia mi się tak, jakbyśmy znali się jak łyse konie. Nie martwię się tym, co sobie o mnie pomyśli. Po dzisiejszym wykładzie zyskał mój szacunek i zaufanie — przynajmniej częściowe. Nie ocenia mnie ani mnie nie obwinia. Nigdy nie miałam takiego przyjaciela — to znaczy na pewno nie faceta. W męskim towarzystwie nie jestem zbyt rozmowna. Nie chcę, żeby ktoś się dowiedział, co mi się przydarzyło. Nie chcę znowu do tego wracać, a jednak Peter w jakiś sposób pomaga mi się z tym uporać, a strach, który wcześniej czułam, zniknął bez śladu. Nie mam pojęcia, jak ten facet to robi...

— Właściwie to nie wiem już sama, czego naprawdę chcę. Kiedyś tak było, ale to nie było coś, co określiłabym mianem normalności. Aż do tamtych wydarzeń... — Przetykam głośno ślinę i milczę długo. — Powiedzmy, że po prostu mam problemy. Nie potrafię się do nikogo zbliżyć. Uznałam więc, że jeśli się do tego zmuszę, będzie lepiej. — Nie patrzę na niego. Tego wieczoru, kiedy się poznaliśmy, próbowałam się zmusić do przespania się z nim. Jest miły i seksowny, ale w głębi serca wcale tego nie pragnęłam.

Peter marszczy brwi — najwyraźniej nie rozumie.

— Sądziłaś, że jeśli prześpisz się z kimś, z kim nie chcesz tego zrobić, pozwoli ci to zapomnieć o tym, co się wydarzyło?

Przewracam oczami.

— Wiesz, w twoich ustach brzmi to strasznie głupio.

Peter gapi się na mnie z otwartymi ustami.

— Bo to jest głupie!

— To nie było zbyt miłe. — Nabieram na widelec nieco sałatki i wsuwam jedzenie do ust.

— Czasami nieprzyjemna prawda jest lepsza od pięknego kłamstwa. Powiedz mi, co się stało po tym, co zrobił ci tamten gość. Pozwoliłaś mu na to znowu?

Wpatruję się w niego przez chwilę. To dobre pytanie, chociaż niezbyt wygodne. Wbijam wzrok w swój talerz i milczę, czując na sobie taksujące spojrzenie Petera. Wreszcie przestaje na mnie patrzeć i zabiera się znowu do jedzenia.

— Nie wiem — mamroczę. — Wydawało mi się, że to pomoże mi się rozprawić ze wspomnieniami. No wiesz, zepchnąć te gorsze na dalszy plan. Od tamtej pory... z nikim nie byłam. Wydawało mi się, że to pomoże.

Peter przestaje jeść. Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami; ma dziwną minę.

— Czy właśnie tego chciałaś, kiedy zaprosiłem cię na kawę? — pyta cicho. Nie odpowiadam. On uśmiecha się do mnie i kręci głową. Odsuwa od siebie talerz i opada na oparcie krzesła. — No dobra, w takim razie będę z tobą szczery. — Zaciska usta i wypuszcza głośno powietrze, a potem kładzie dłonie płasko na stole i postukuje nerwowo palcem wskazującym o blat. — Zrobiłem to samo.

Przechylam głowę na ramię i mówię:

— Taa, na pewno.

Peter obdarza mnie krzywym uśmiechem.

— Nie jestem z tych normalnych.

— Kto tak twierdzi?

— Nie wiem — wzrusza ramionami. — Wszyscy. Moja matka, ojciec, siostra, kuzyni i inni, którzy mnie znają. Przyjąłem tę pracę i wyjechałem. Wszyscy byli przekonani, że po tym, co się stało, zeświruję. — Podnosi szklankę do ust i wychyla jej zawartość jednym haustem, a potem stawia na stole. Nie patrzy na mnie, ma nieobecny wzrok, zagubiony we wspomnieniach. — Ja i... Gina byliśmy w Nowym Jorku i szukaliśmy prezentów na gwiazdkę. Byliśmy w Radio City, a potem skoczyliśmy na kolację. Było dość późno. Gina chciała już wracać, ale ja chciałem jeszcze zajrzeć do Rockefeller Center — klęknąć przed nią pod tą wielką choinką i poprosić ją o rękę. — Uśmiecha się do swoich wspomnień, a mi na ten widok niemal pęka serce. Znam ten uśmiech — wywoływany przez słodko-gorzkie wspomnienia; chwile, które powinny być szczęśliwe, a jednak los napisał dla nich inny scenariusz. Czuję, jak trudno jest Peterowi opowiadać tę historię, jak ciężko jest mu wypowiadać słowa. Odkasłuje i patrzy na mnie. — Namówiłem ją, żebyśmy poszli. Byłem taki podekscytowany! Nie mogłem się doczekać, kiedy jej się oświadczę. Nie chciałem czekać do następnego dnia — zamierzałem to zrobić

wieczorem, kiedy świąteczne drzewko będzie oświetlone lampkami. Gina uwielbiała święta i wszystko, co z nimi związane — kochała świąteczną atmosferę. Kiedy tam przyszliśmy, było prawie całkiem pusto, bo było już bardzo późno. Gina podziwiała choinkę, a ja wyciągnąłem pierścionek. Po drugiej stronie drzewka stało kilkoro ludzi, ale nas nie widzieli. Uklęknąłem przed Giną i podałem jej pierścionek. — Peter wzdycha ciężko i marszczy czoło. Na jego twarzy widać ogromny ból, tak jakby to wszystko działo się na nowo. Nie chcę, żeby kontynuował — mam wrażenie, że każde słowo go zabija. Mam ochotę wziąć go za rękę, ale trwam w bezruchu. Peter patrzy na mnie i uśmiecha się smutno. — Radzisz sobie z tym zdecydowanie lepiej ode mnie. Miałem rok, żeby się z tym uporać, a jednak wciąż nie potrafię o tym mówić.

— Peter... — mówię cicho i dotykam jego dłoni. Zaglądam mu w oczy. — Ten przystojniak dał mi dopiero co bardzo dobrą radę — nie warto niczego robić, jeżeli nie jest się na to gotowym.

Peter parska krótkim, serdecznym śmiechem, aż się trzęsie, a potem patrzy na moją dłoń.

— Z tego, co słyszałem, ten przystojniak to zazwyczaj straszny dupek. — Zerka na mnie spod opuszczonych rzęs.

Moje usta powoli rozciągają się w leniwym uśmiechu.

— Dobrze słyszałeś. To dupek, niemożliwie słodki, ale jednak skończony dupek. Stuprocentowy! — Śmieję się beztrąsko.

— Och, na nic twoje próby przypoehlebia się.

Sięgam po kieliszek z winem.

— Jeżeli coś jest prawdą, nie jest próżnym pochlebstwem. Masz dobre serce. Czas leczy rany. Niekiedy musi go upłynąć więcej, a niekiedy mniej — nie ma tu reguły.

— Powiedz to mojej rodzinie.

— Chrzanić rodzinę! Nie rozumieją takich rzeczy. A ty tak. Wiesz, co się stało i jak to na ciebie zadziało. Rozmawiaj o tym, kiedy będziesz gotów — działaj, kiedy będziesz pewien, że tego chcesz. — Dopijam wino i odstawiam kieliszek.

— Łatwiej jest dawać rady, niż samemu się do nich stosować, co? — Peter przygląda mi się przez chwilę, a potem opuszcza wzrok na nasze dłonie — wciąż nakrywam ręką jego rękę.

— No więc...?

Podążam za jego spojrzeniem i wzdrygam się, spłoszona.

— Przepraszam. — Próbuję cofnąć rękę, ale Peter mi na to nie pozwala.

— A ja nie. — Podnosi moją dłoń do ust i składa na niej delikatny pocałunek, który przyprawia mnie o dreszcz. Peter podnosi na mnie wzrok i uśmiecha się do mnie. — Wiesz, że utknęliśmy, prawda? Nie jesteśmy już na

etapie przyjaźni, ale nie możemy pchnąć tego do przodu... Zabieram dłoń i kiwam głową.

— Wiem — potwierdzam cicho. — To dobry etap. A już z całą pewnością lepszy od tego, przez który przechodziłam ostatnio. — Nie próbuję zaciągnąć do łóżka gościa, którego nie znam. Nie robię nic na siłę. Przez chwilę czuję się idealnie, nieskażona. Czuję, że uda mi się to wszystko przetrwać, przejść przez to bez bólu i strachu. Przepelnia mnie nadzieja i uśmiecham się bez przymusu, naturalnie. Pierwszy raz od bardzo dawna wydaje mi się, że wszystko będzie dobrze.

Rozdział 14.

Kilka dni później jem z Tią lunch — sałatkę i piezzonego kurczaka. Millie jeszcze nie ma.

— Jak tam twój brzuch jak skała? — pytam Cię.

— Chyba jak flak. — Tia łypie na mnie ponuro. — Robiłam ten program wczoraj. Nie umieram, ale dalej bez rewelacji. — Bawi się owocami na talerzu i grzebie widelcem w serku. — Chrzanić to. Jestem głodna jak wilk, a ten kurczak wygląda zbyt smakowicie. Zaraz wracam. — Kiedy wstaje, łapie się za brzuch i krzywiąc się, idzie po jedzenie.

Zostaję sama, ale tylko na chwilę. Słyszę czyjś głos:

— Witaj, słoneczko. — Obok mnie zjawia się Dusty i siada przy stole. — Doszły mnie pewne słuchy i pomyślałem, że to coś, co chciałabyś wiedzieć. — Patrzę na niego i zastanawiam się, co mu znowu strzeliło do łba, a on nachyla się w moją stronę i mówi szeptem: — Krążą o tobie niezłe ploteczki. — Uśmiecha się ze złośliwą satysfakcją i obmacuje mnie bezwstydnie wzrokiem, zatrzymując go stanowczo zbyt długo na moim dekolcie.

O co, do diabła, mu chodzi? Wkurza mnie — i to naprawdę porządnie. Nie mam nic do niego, ale go nie lubię.

— Co to za maniery? — wyrzucam z siebie. — Daj mi swój telefon. — Odkładał widelec i wyciągam rękę. Dusty wciąż się obleśnie uśmiecha. — No, dawaj.

On uśmiecha się szerzej i sięga po telefon.

— Niezłe te ploteczki, wiesz? Wszyscy gadają, że ostatnio zrobiłaś się zielona, bo jesteś w ciąży za sprawą naszego przystojnego profesorka.

Co za dupek! Przeszukuję jego kontakty w poszukiwaniu pewnego numeru.

— Naprawdę wiesz, jak skomplementować laskę. Nie dość, że nazwałeś mnie tłustą, to jeszcze puszczałską. — Wybieram numer i dzwonię.

Dusty wreszcie orientuje się, że wcale nie gram na jego komórce w Angry Birds.

— Ej, co robisz? — pyta z niepokojem.

Wyciągam palec wskazujący w górę, każąc Dusty'emu się zamknąć. Po kilku sygnałach w słuchawce rozlega się kobiecy głos.

— Dzień dobry, z tej strony Sidney Colleli — przedstawiam się. — Obok mnie siedzi właśnie pani syn i zauważyłam, że ma fatalne maniery. Chyba przyda mu się porządny ochrzan, zanim roztrzaskam mu na głowie swoją tacę — informuję matkę Dusty'ego.

Kobieta ma miły głos, ale Dusty sapie gniewnie i zgina się w pół.

— Zadzwońska do mojej matki? — syczy z niedowierzaniem.

Ignoruję go i kiwam głową, słuchając głosu w słuchawce.

— Tak. Mhm, jest tutaj. — Oglądam się na Dusty’ego, otwieram szerzej oczy i uśmiecham się wrednie.

— Rozłącz się! — Dusty sięga w moją stronę, próbując zabrać mi telefon, ale daję mu po łapie i odsuwam się poza jego zasięg. — Słyszała pani? Wiem. I powiedział to całkiem miłym głosem w porównaniu do tego, którym mówił przed chwilą.

— Sidney! — wrzeszczy Dusty, próbując za wszelką cenę zabrać mi telefon, na co mu nie pozwalam.

— Tak, tak — mówię jego mamie. — W zeszłym tygodniu zasłabłam na wykładzie. Zasugerował, że to poranne mdłości i że jestem w ciąży z wykładowcą. Mhm, tak, byłoby miło. Oczywiście, że tak! — Śmieję się. — Mnie także było miło. — Oddaję telefon Dusty’emu, który patrzy na swojego iPhone’a jak na węża.

— Jesteś podła.

— Tak, tak, jasne, powiedz to swojej mamie. — Uśmiecham się pod nosem i zabieram do jedzenia, a Dusty odchodzi spiesznym krokiem, próbując wytłumaczyć swojej mamie, że to tylko głupi żart.

Wraca Tia z talerzem pełnym kurczaka i tacos.

— Coś przegapiłam?

— Nic ciekawego.

Tia patrzy w ślad za Dustym.

— Ten koleś to dupek. Nie wiem, dlaczego Millie próbowała was ustawić. Wzruszam ramionami i wgryzam się w swojego kurczaka.

— Millie to Millie.

— Co mnie obgadujecie? — Obok siada uśmiechnięta od ucha do ucha Millie. Ten uśmiech nie wróży nic dobrego. — Pamiętasz, co jest dziś wieczorem?

— A niech cię szlag, nigdzie z tobą nie idę. Byłam już cztery razy!

Millie podskakuje na swoim krześle, jakby z radości nie mogła usiedzieć w miejscu.

— Nie masz wyjścia! Bez ciebie zajęcia swinga to nie to samo!

— Bez ciebie nie byłoby klubu — wtrąca Tia i daje mi kuksańca, pogryzając nogę kurczaka. Chociaż liczyliśmy na więcej osób, na zajęcia dalej chodzi tylko garstka studentów.

Millie łypie na nią gniewnie.

— A ty? Dlaczego w ogóle nie przychodzisz na spotkania? Trudno jest rozruszać kółko.

Uśmiecham się i klepię Cię w ramię.

— Powinnaś spróbować. Byłaby z was z Jackiem superpara.

Tia zamiera w pół ruchu.

— Jack Ewing chodzi na swinga?

Millie uśmiecha się do mnie porozumiewawczo i przytakuje energicznie, aż

rozsypują się jej jasne loki.

— Zgadza się, a do tego nie ma partnerki do tańca.

— Ale ja nie umiem tańczyć! — protestuje Tia z pełnymi ustami. — Mam dwie lewe nogi!

Millie uśmiecha się szeroko, obejmuje mnie ramionami i przytula — stanowczo zbyt mocno.

— Sidney nas nauczy! — Jeszcze chwila i spadniemy z ławki. Wyślizgnę się z jej objęć, a ona śmieje się histerycznie.

Szlag by to! Jeszcze tego mi brakowało. Wzdycham teatralnie i patrzę na nią przymrużonymi oczami.

— Jesteś podła.

— Wiem, wiem, że mnie kochasz! — piszczy radośnie Millie i śmieje się w głos. — To jak? Podszkolisz nas trochę przed dzisiejszymi zajęciami?

Składa błagalnie dłonie pod brodą. Tia patrzy na mnie wyczekująco. Od zeszłego roku uganiam się za Jackiem Ewingiem. Mięknę.

— W sumie, dlaczego nie?

Rozdział 15.

List wciąż leży w mojej książce do angielskiego. Nie zaglądałam do niej od tamtych zajęć i teraz zachowuję się, jakby mnie coś opętało. Schowałam podręcznik pod ubraniami w szafie i próbowałam o nim zapomnieć. Nie chcę czytać tego listu, ale nie mogę się zmusić do wyrzucenia go do śmieci. Mój brat to pieprzony dupek, ale mnie znalazł, a to oznacza kłopoty. Nie życzę im źle. Wciąż mnie boli, że nie stanęli w mojej obronie, że nie wzięli mojej strony, ale nie chciałam, żeby coś im się stało.

Wiem jednak, że jeśli przeczytam list i dowiem się, o co chodzi, wszystko znowu wróci. A ja nie zniosę drugi raz tego bólu. Nie chcę znowu przez to wszystko przechodzić. Nie chcę im tłumaczyć, dlaczego uciekłam. Chciałabym zamknąć tamten rozdział mojego życia, ale nie potrafię. Mam wrażenie, że ten koszmar nigdy się nie skończy, bo co chwila coś mi o nim niespodziewanie przypomina. Na dodatek mój były chłopak to najlepszy przyjaciel mojego brata. Nie wiem, czy nadal się przyjaźnią, ale nie mam ochoty odnawiać kontaktu z bratem. Dla mnie oni wszyscy są martwi. Kiedy od nich odeszłam, zostawiłam tamto życie za sobą.

Z zamyślenia wyrywa mnie dzwonek telefonu. To wiadomość od Petera:
„Spotkajmy się o 18:15 w sali klubu — znalazłem nowe kroki, które możemy przećwiczyć”.

Odpisuję mu: „Rozmawiamy o tańcu, tak?”.

„Lol, nie ma mowy o żadnej kawie”.

Parskam śmiechem. „W porządku, 18:15. Do zobaczenia”.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o spokój. Robi się późno, a ja obiecałam Millie, że przed zajęciami pokażę jej i Tii kilka kroków. Dziewczyny czekają już na mnie na dole. Mam na sobie swoje spodnie do jogi, włosy zebrałam w byle jaki kucyk i jestem nieumalowana — innymi słowy, wyglądam, jakbym dopiero co wygrzebała się z łóżka. Zbiegam na dół w skarpetkach, z butami do tańca w dłoni.

Millie uprosiła kierowniczkę akademika, aby dała nam klucze do dużej sali, żebyśmy się nie pozadeptywały. Sądząc po tym, co działo się na ostatnich zajęciach, większości członków kółka tanecznego nadal przydałyby się ochraniacze.

Wchodzę zamyślona do sali, a kiedy się rozglądam, stoję jak wryta i wytrzeszczam oczy — miałam uczyć tylko Millie i Cię, a w środku tłoczy się kilkanaście dziewczyn!

— Millie! — wołam, szukając jej wzrokiem.

Kiedy do mnie podchodzi, szczerzy się jak głupia.

— Super, no nie?

— Miałam uczyć tylko waszą dwójkę! — syczę gniewnie.

Wreszcie do niej dociera, że jestem wkurzona.

— No co? Im nas więcej, tym lepiej, prawda? Pomyślałam, że więcej dziewczyn przyciągnie do klubu więcej chłopców, a to by było fajnie, nie? Może znajdą się jacyś zaprawieni w bojach, żebyś nie musiała w kółko tańczyć z doktorem Granzem. — Mruga do mnie, a ja gapię się na nią z otwartymi ustami i zachodzę w głowę, o co jej chodzi, ale nie drażę tematu.

— Podła jesteś. — Millie uśmiecha się szerzej. Nie wiem, jak to się dzieje, ale za każdym razem, kiedy mówię Millie, że jest podła, wychodzi na to, że obiecuję coś dla niej zrobić.

Przytula mnie, a ja sztywnieję w jej uścisku.

— Przepraszam! — woła. — Na śmierć zapomniałam o zakazie przytulania! — Cofa ręce i daje mi kuksańca. Przewracam oczami, kiedy wyprowadza mnie na środek sali i przedstawia dziewczynom.

Kiedy poznałam Millie, była taka, że tylko w kółko by wszystkich przytulała; w przeciwieństwie do mnie — ja za tym nie przepadam. Zawarliśmy umowę, że uściski będą zarezerwowane dla pożegnań przed długą rozłąką i na wypadek bliskiej śmierci — tylko i wyłącznie. A przynajmniej tak mi się zdawało, jednak Millie szybko zaczęła tę umowę łamać. Opracowała sobie system szybkiego przytulania i błyskawicznych odwrotów — nie wiem, czemu tak się na mnie uwzięła.

Millie prosi wszystkich o uwagę i opowiada o klubie swingowym — mówi, że trudno jest rekrutować nowe osoby. Wyjaśnia podstawy i informuje o dzisiejszych zajęciach, a potem dodaje:

— Sidney jest świetna. Musicie dziś koniecznie przyjść i zobaczyć, jak tańczy. Mówię wam, naprawdę wymiata! Nie pożałujecie, że przyszłyście! Musimy przyciągnąć tylu facetów, żeby było się dla kogo stroić!

— Mamy się stroić? — pyta któraś z dziewczyn. To Jen — śniada Azjatka o jedwabście czarnych włosach.

Millie opowiada o swingowej modzie i mówi, że każda z nich ma pewnie w szafie mnóstwo takich ciuchów. Tymczasem ja... wyglądam jak idiotka — mam na sobie top na ramiączkach i spodnie do jogi. Pewnie laski myślą sobie, że jestem jakaś szurnięta. Cóż, dobrze przynajmniej, że nie ma tu żadnych facetów — to jedyny plus mieszkania w żeńskim akademiku.

Millie skończyła już wyjaśniać i mówi do mnie:

— Teraz twoja kolej.

Denerwuję się i mam ochotę rozeźmiać się histerycznie. Nienawidzę być w centrum uwagi. Millie jest naprawdę wstrętna! Zerkam na nią, a ona, całkiem jakby czytała mi w myślach, wysuwa język i szczerzy się do mnie. Sadystyczna mała!

— No dobra. Jeśli zostałyście tu sprowadzone wbrew własnej woli, mrugnijcie dwa razy. — Oczywiście żartuję, ale mimo to kilka dziewczyn

rzeczywiście mruga. — Cholera, żartowałam tylko! — Kilka osób się śmieje i dociera do mnie, że dziewczyny też się denerwują. — Wiem, jak się czujecie, bo sama spodziewałam się zastać tu tylko dwie osoby, ale nie ma co przedłużać — dajmy czadu.

— Ta-ak — wtrąca Millie. — Powiedziałam, że jest tylko kilka osób, ale kiedy wyszło na jaw, że będzie tylko parę dziewczyn, zjawił się cały tłum. Wierzcie mi — tańczenie swinga jest naprawdę super! To świetny sposób na rozruszanie się — ekscytujący i seksowny zarazem! W tańcu można dobrze poznać partnera... mówię serio: wszystkie jego ruchy mówią o nim bardzo wiele — od sposobu, w jaki was prowadzi, aż po to, jak was obraca. Jak tylko przestaliśmy się z Brentem kopać po kostkach, wiele się o nim nauczyłam w tańcu. — Śmieje się, a kilka dziewczyn odpowiada uśmiechem.

— A co z podrzutami? — pyta któraś z dziewczyn. — Wiele razy widziałam te fruujące w powietrze laski.

— Podrzuty to jak jazda kolejką górską bez pasów — tłumaczę. — Jak tylko dobrze poznacie podstawy, zajmiemy się bardziej zaawansowanymi figurami. Pe... to znaczy doktor Granz i ja zazwyczaj pokazujemy kilka bardziej skomplikowanych figur na początku zajęć. Dzięki temu możecie zobaczyć, do czego dążycie — jeśli wam się spodoba, możemy zacząć ćwiczyć.

Potem przechodzimy do podstaw. Ustawiam dziewczyny w rzędzie i wyjaśniam im, jak się liczy kroki — i na razie na tym poprzestaję. Przez jakieś pół godziny liczymy kroki i przemierzamy pokój w tę i z powrotem. Pod koniec zajęć, czy jak to tam nazwać, dziewczyny łączą się w pary i kopią się nawzajem po nogach, łypiąc przy tym na mnie z pretensją, całkiem jakby to była moja wina.

— Coś tu nie gra! — woła Tia, kopiąc Jen w goleń.

— Szlag! — przeklina Jen i próbuje jeszcze raz.

Macham rękami w powietrzu i krzyczę:

— Bo uczycie się wszystkie kroków damskich! Wychodzimy z założenia, że będziecie tańczyły z facetami, a ich kroki różnią się od waszych! To właśnie dlatego kopiecie się po kostkach! Halo! — Klaszczę w dłonie i dziewczyny się zatrzymują. — Jeżeli dzisiaj w klubie chcecie tańczyć z chłopakami, teraz jedna z was w parze musi wykonywać odwrotne kroki. Aha, i to facet prowadzi.

— To seksistowskie! — woła ktoś z końca sali.

Uśmiecham się pod nosem.

— Owszem. Później musicie zadbać o to, żeby zatańczyć z chłopakiem. Teoria to jedno, a praktyka — zupełnie coś innego. Może mam lekką obsesję, ale taniec to całkiem inna para kaloszy — na parkiecie musicie na chwilę pozwolić komuś grać pierwsze skrzypce. — Macham dziewczynom i zapraszam na dzisiejsze zajęcia.

Rozdział 16.

Przed spotkaniem z Peterem mam tylko chwilę, żeby się przebrać. Biegnę do pokoju i zabieram rzeczy, biorę szybki prysznic i upinam włosy w wysoki kucyk, a potem wybieram ciemnoniebieską sukienkę z guziczkami, którą wyszperałam w sklepie. Jej głęboko wycięty dekolt sprawia, że wyglądam, jakbym miała obfitsze kształty — nie jestem pewna, czy to dobrze, ale sukienka leży na mnie idealnie, a do tego wspaniale nadaje się do tańczenia swinga. Zastanawiam się, czy się nie przebrać — dekolt jest stanowczo zbyt głęboki — ale mam za mało czasu, zresztą inne laski też się tak ubierają. Nie jestem po prostu przyzwyczajona do takich odważnych kreacji.

Pod sukienkę zakładam spodenki rowerowe i top, maluję rzęsy i przeglądam się w lustrze. Mam zaróżowione policzki i uśmiecham się szeroko. Jakoś nawet się specjalnie nad tym nie zastanawiam, ale szczerzę się jak głupia — i wiem, że to na myśl o spotkaniu z Peterem. Jakaś część mnie jest zadowolona, że od chwili, kiedy się poznaliśmy, między nami niewiele się zmieniło — okazał się świetnym przyjacielem. Nie wiem, czy tak by się stało, gdybyśmy poszli do łóżka. Szczerze powiedziawszy, sądzę, że nie byłoby na to szans. Peter stałby się po prostu przełożonym, którego unikałabym jak ognia.

Kiedy wychodzę z pokoju, wpadam na Tię w szlafroku, z ręcznikiem na głowie — wraca do swojego pokoju spod prysznic.

— O, już idziesz na zajęcia? — zagaduje mnie. Kiwam głową.

— Ta-ak. Granz chce ze mną poćwiczyć jakieś kroki, zanim je wam pokażemy.

Tia ucieka wzrokiem w bok. Rozgląda się po korytarzu i pochyła w moją stronę.

— Coś między wami jest?

Szarpię głową, jakby ktoś mnie zdzielił pałką.

— Co takiego?

— Wybacz, Sidney, ale musiałam zapytać — wszyscy widzą, jakie z niego ciacho i że spędzacie razem sporo czasu. Ktoś was widział razem w bibliotece, a potem na kolacji w jakiejś modnej restauracji. — Wzrusza ramionami. — Powiedziałam, że to idiotyzm — że nigdy byś na coś takiego nie pozwoliła...

— Ale i tak mnie o to pytasz.

Kiwa głową.

— Zamierzasz się z nim spotkać przed zajęciami, żeby poćwiczyć taniec, o którym sama powiedziałaś, że jest erotyczny.

Wzdycham głośno. Zbyt głośno.

— Nie to miałam na myśli. Chodziło mi o was.

— A więc jest erotyczny dla nas, ale dla ciebie już nie?

— Nie, to nie tak. — Nie mam teraz czasu na takie wyjaśnienia i nie wiem, dlaczego ludzie wygadują takie bzdury. — To jak taniec z bratem, rozumiesz? To różnica.

— On nie jest twoim bratem, Sid.

— Nieważne. Nie śpiam z nim, jeśli o to pytasz. — Jestem taka wkurzona! Mam ochotę ją skopać, aż trudno mi się powstrzymać. Kiedy rozmowa schodzi na niewygodny temat, zaciskam szczękę i właściwie nie wiem, dlaczego jestem taka wściekła — co z tego, jeśli nawet ludzie będą uważać, że lecę na Petera?

Ale tak naprawdę nie o to chodzi — nie to, że ktoś może mnie o coś podejrzewać, mnie martwi. Plotki mogą wpędzić Petera w kłopoty, a ja nie chcę, żeby ktoś kwestionował jego moralność. Mnie mogą obmawiać — machnęłabym na to ręką i żeby odwrócić od niego uwagę innych, powiedziałabym, że to moja wina, że to ja próbowałam go poderwać. Może właśnie tak powinnam zrobić?

Patrzę z powrotem na Tię, nachylam się w jej stronę i przygotowuję się do skłamania. Tia przybliżyła się do mnie, czując, że chcę jej zdradzić tajemnicę.

— No dobra — mówię. — Lecę na niego, ale on mnie do siebie nie dopuszcza. To właśnie dlatego tak często się koło niego kręcę — próbuję go wyrwać.

Tia składa dłonie i piszczy — brzmi to całkiem tak, jakby ktoś kopnął świnkę. Kwiczy coraz głośniej i głośniej. Próbuję się uśmiechnąć i podskoczyć do góry tak jak ona.

— Obiecuję, że nikomu o tym nie pisnę, ale to takie ekscytujące! Przecież on jest od ciebie o wiele starszy! Nie mówiąc już o tym, że to zabronione, a z niego jest takie ciacho! Nie mogę się doczekać, żeby was razem zobaczyć.

— Pamiętaj, nikomu ani słowa — nakazuję jej. — Nawet Millie o niczym nie wie. Cicho sza — jeżeli nawet wydaje się, że się spotykamy, to wszystko moja wina. Słuchaj, muszę już lecieć. Do zobaczenia później. — Patrzę na zegarek i uciekam, nie dając Tii szansy na odpowiedź.

— Dobra, Peter. Przelećmy te kroki — mówię, wchodząc na starą salę gimnastyczną. Dociera do mnie, że się z nim drocę, i przez chwilę czuję się trochę głupio. Nie wiem, dlaczego tak się zachowuję. Po prostu na jego widok mam ochotę się z nim poprzekomarzać, tak jak zwykle.

Peter siedzi na ławce i sprawdza coś w telefonie. Na dźwięk mojego głosu podnosi głowę.

— Cześć, Colleli. Spóźniłaś się.

— Musiałam coś załatwić, ale już jestem. Co tam nowego chciałeś mi pokazać? — Siadam obok niego i zerkam na jego telefon — ogląda nagranie pary tańczącej swinga. Świetnie im idzie.

— Chodzi o ten podrzut na końcu. Nie umiem go rozgryźć, a nigdy

wcześniej nic takiego nie widziałem. Zobacz. — Peter zerka na mnie, a potem wraca wzrokiem do ekranu. Pod koniec piosenki oglądam parę z zapartym tchem. Jest naprawdę dobra! Kiedy tancerze wirują w szalonym pędzie, prawie się zachłystuję — głowa kobiety jest tak blisko podłogi!

Pytam, czy to właśnie to Peter chciał mi pokazać, ale on wchodzi mi w słowo:

— To nie to. Patrz na to.

Patrzę. Kiedy muzyka narasta, tancerze się zatrzymują, akcentując rytm, a ostatnia figura jest niesamowita — partner trzyma partnerkę w ramionach, a potem ją podnosi. Przypomina to nieco wolną wariację na temat ruchu zwanego hustle, ale potem tancerze robią coś i nagle ona frunie w powietrzu. Partner łapie ją w półobrocie nad ziemią, opuszcza się wraz z nią i zatrzymuje nisko. Uśmiechają się oboje i nagranie dobiega końca.

— Jasny gwint! — Mrugam, jakbym nie dowierzała własnym oczom.

— No nie? — potwierdza Peter; sprawia wrażenie lekko zakłopotanego.

— Co to było, do jasnej? Widziałam sporo szalonych układów choreograficznych, ale to było nieprawdopodobne! Nie mam pojęcia, jak to zrobili!

— Ja też nie — i właśnie dlatego chciałem ci to pokazać. Ja też znam sporo kroków — ten tutaj to lekko zmodyfikowane połączenie paru figur. Ten przechył na końcu przypominał zmienioną spiralę śmierci.

Patrzę na niego poważnie.

— Wiesz, że to może być ściema? To znaczy ten cały wyrzut? To wcale nie wyglądało, jakby on ją podrzucił, a ona nawet się nie wybiła.

Peter kręci głową.

— Raczej nie. To studio tańca w Nowym Jorku. To nagranie promocyjne, więc nie powinno być zmontowane.

— Pokaż koniec jeszcze raz.

Peter przewija i puszcza nagranie od początku. Oboje wlepiamy wzrok w ekran, starając się rozgryźć figurę. Problem polega częściowo na tym, że kamera jest ustawiona pod złym kątem — przed wyrzutem nie widać rąk tancerzy. Kręcę głową, wskazuję ekran i mówię to Peterowi.

— Wiem o tym — potwierdza. — Miałem nadzieję, że tobie uda się to rozgryźć. — Patrzę na niego i potrząsam głową. — No to jak? Darujemy sobie spirale?

— Nie zrobię z tobą żadnej figury, podczas której moja głowa znajdzie się tak blisko podłogi. Nic z tego.

— Ale dlaczego? Pomyślałem, że skoro podrzuty szły nam dobrze, poradzimy sobie i z czymś takim.

Kręcę głową, wbijając wzrok w deski podłogi i myśląc o tym, że moja twarz spotka się z nimi, jeśli Peter upuści mnie w połowie ruchu.

— Nie. Nic z tego.

— Nic z tego? — Uśmiecha się. — Teraz to już nie masz wyjścia. — Bierze mnie za rękę i ściąga z ławki.

Śmieję się i wyszarpuję dłoń.

— Nawet nie wiesz, jak to zrobić. Chyba nie mówisz poważnie?

— Zawsze mówię poważnie.

— Chyba raczej nigdy.

Parska śmiechem.

— No, niech ci będzie. — Zakłada ręce na piersi. Ma na sobie białą koszulę, czarne, wąskie spodnie i lakierki, ale nie nosi krawata. Ciemne włosy opadają mu na oczy. — Żadnych opuszczeń i podtrzymywań?

— Nic z tego, przykro mi.

— A co, gdybym załatwił ci hełm? — pyta; stanowczo za mocno lśnią mu oczy. Drażni się ze mną!

— Wtedy podwójne nic z tego, bo to by oznaczało, że zamierzasz walnąć moją głową o podłogę. Nie mówiąc już o tym, że zepsułby moją wspaniałą kreację. — Łapię rąbek sukienki i dygam.

— Ach tak? — mówi Peter, podchodząc do mnie. Obejmuje mnie w pasie i zaczyna grać muzyka. Peter prowadzi mnie, przyciągając do siebie. — Jest jeszcze inne wyjście.

— Której części „nic z tego” nie rozumiesz? Wydawało mi się, że uczysz angielskiego. Naprawdę to dla ciebie taki problem? — Uśmiecham się do niego. Uwielbiam się z nim droczyć! W oczach Petera zapalają się psotne iskierki.

— Najpierw powiedziałaś „nie”, a potem zmieniłaś zdanie na „zdecydowanie nie”, więc wychodzi na to, że możemy ponegocjować. — Szczyrzy się do mnie i chwyta mnie mocniej za nadgarstek. Wirujemy razem; odpycham się od niego, a kiedy przyciąga mnie z powrotem, przypadam do jego piersi i powtarzamy kroki.

Dyszę ciężko — muzyka przyspiesza.

— Nie będzie żadnych negocjacji.

— Jesteś pewna? W hełmie wyglądałabyś uroczo. Mam taki jeden, różowy z czerwoną kokardką. — Zatrzymuję się i wytrzeszczam na niego oczy, ale Peter nie pozwala mi przerwać tańca. — Żadnych przerw, Colleli. — Chwyta mnie za nadgarstek i przyciąga do siebie. Niech go szlag, jak on cudownie pachnie!

Przemierzamy parkiet sali gimnastycznej, rozmawiając ze sobą i przekomarzając się. Przeskakujemy z tematu na temat, aż wreszcie Peter pyta:

— Ufasz mi?

Przestaję się uśmiechać. Jestem spocona, a sukienka klei mi się do ciała. Patrzę mu głęboko w oczy, a on odwzajemnia spojrzenie, czekając na odpowiedź na pytanie, którego w życiu się nie spodziewałam.

— N... nie wiem.

Peter kiwa głową i wbija wzrok w podłogę. Kiedy znów na mnie patrzy, czuję się podle, całkiem jakbym udzieliła mu najgorszej z możliwych odpowiedzi.

— Cóż, miałem nadzieję, że tak. — Wierci czubkiem buta dziurę w podłodze. Wymięta koszula przykleja mu się do piersi.

— Dlaczego? — szepczę. To bez sensu. Dlaczego miałoby to mieć jakieś znaczenie?

Peter uśmiecha się do mnie smutno.

— Nie wiem. Nie powinienem był cię o to pytać.

— Możesz mnie pytać o wszystko. — Spuszczam wzrok na swoje splecione dłonie i wykręcam nerwowo palec wskazujący. — To znaczy ufam ci — do pewnego stopnia, i to pewnie bardziej niż komukolwiek innemu, ale mam wrażenie, że nie o to ci chodzi...

— A jak sądzisz, o co mi chodzi? — pyta. Jest teraz tak blisko... bliżej niż podczas tańca. Patrzy mi z napięciem w oczy, aż przechodzi mnie dreszcz.

— Sądziłam, że chcesz wiedzieć, czy powierzyłabym ci swoje życie — przy takim podrzucie. Czy ufam ci bezgranicznie. — Kręcę głową. — Nigdy nikomu nie zaufałam aż tak.

Peter kiwa powoli głową.

— Ciężko cię rozgryźć, wiesz?

Uśmiecham się lekko.

— Wiem.

— Jak możesz komuś ufać i jednocześnie nie ufać? Pozwalasz mi się do siebie zbliżyć, a jednocześnie trzymasz mnie na dystans. — Patrzy na mnie w taki sposób, że zaczynam się denerwować — dosłownie świdruje mnie wzrokiem, w którym jest jakaś udręka. Może powinnam była skłamać? Nie, myślę natychmiast. Przejrzałby mnie — i nie potrzebuje do tego tańca. Peter wyciąga ręce. Ujmuję jego dłonie i pozwalam mu poprowadzić się przez parkiet w powolnym walcu. Dzięki temu łapię oddech.

— Czy mogę cię o coś spytać? — zagaduję go, gdy tak suniemy po sali. Kiwa głową. — Gdzie nauczyłeś się tańczyć?

Po jego twarzy przemyka cień bólu, a uśmiech znika bez śladu.

— Gina, moja dziewczyna, mnie nauczyła. Wciąż nazywam ją narzeczoną, chociaż tak naprawdę nią nie była. — Przetyka głośno ślinę i wypuszcza z sykiem powietrze z płuc. Wciąż wirujemy w spokojnym walcu. — Lubiła tańczyć, ale ze mnie była straszna kaleka. To ona pokazała mi, co i jak. — Uśmiecha się smutno.

— Świetnie jej to wyszło.

Peter przytakuje i uśmiecha się z przymusem. Widzę w jego oczach, że stara się odsunąć od siebie wspomnienia. Milczy. Tańczymy.

Peter obraca mnie powoli i moja sukienka wiruje wokół moich nóg. Peter

przygląda się temu przez chwilę i przyciąga mnie z powrotem do siebie.

— A ty? Kto nauczył cię tańczyć?

— Jestem głównie samoukiem. Tak naprawdę to nie znam nazw większości kroków. W szkole namawialiśmy nauczycielkę na klub taneczny — wiem, że to dziwne, ale na pewno lepsze od siatkówki. Ile razy można dostawać piłką w twarz?

Peter parska śmiechem.

— Nie lubisz siatkówki?

— Mam tragiczną koordynację ruchów.

— A mimo to tańczysz.

Uśmiecham się do niego.

— Bo ty mnie prowadzisz. To co innego. Nie mówiąc już o tym, że nie ma piłki.

Peter śmieje się, kręci głową i przyciąga mnie bliżej do siebie. Kiedy jestem tak blisko niego, czuję się taka bezpieczna! Przestaję się uśmiechać i zatrzymujemy się naprzeciwko siebie, patrząc sobie w oczy. Rozchylam usta. Twarz Petera jest tak blisko mojej, że czuję na wargach jego oddech. Mam ochotę wtulić twarz w jego szeroką pierś; chcę poczuć wokół siebie jego mocne ramiona. Nie wiem, o czym myśli. W chwilach takich jak ta, kiedy czas zdaje się stawać w miejscu, Peter wygląda na zagubionego. Jest spięty i rozluźniony zarazem. Chciałabym, żeby coś zrobił, coś powiedział.

— O czym myślisz? — pytam, zanim dociera do mnie, co robię.

— O niczym — szepcze, nie spuszczać ze mnie wzroku. Zagląda mi głęboko w oczy. Usta rozciąga mi leniwy uśmiech.

— Kłamczuch! — Pochylam się i przyciskam czoło do jego czoła. — Powiedz, proszę.

Peter gładzi mnie po policzku i przeczesuje mi włosy palcami. Gładzi je przez chwilę i szepcze:

— Nie mogę.

— Peter... — mówię, ale urywam, kiedy podnosi na mnie wzrok. Jest w nim tyle bólu, niepokoju i emocji, że gdy patrzę mu w oczy, chce mi się płakać. Biorę jego dłoń i kładę sobie na talii. — Tańcz ze mną. Zapomnij o tym.

Kiwa w milczeniu głową.

Nie odzywamy się do siebie, tylko tańczymy, zmieniając style. Tracimy poczucie czasu — opamiętujemy się dopiero wtedy, kiedy słyszę przeciągły gwizd: to Millie. Peter kiwa mi głową i idzie do lodówki po wodę, a do mnie podchodzi Millie; ma wręcz groteskowo wybałuszone oczy.

— Co to było, do jasnej cholery? — pyta.

Wychodzę na korytarz w poszukiwaniu damskiej szatni. Muszę umyć twarz.

— Co niby?

Millie idzie za mną. Zanim wchodzę do łazienki, łapie mnie za rękę i obraca

w swoją stronę.

— Lecisz na niego!

— Wcale nie. Ćwiczyliśmy coś. Za chwilę zobaczysz co, tylko daj mi ochlapać twarz. Cholernie tu gorąco. — Staram się nie brzmieć zrzedliwie, ale nie bardzo mi to wychodzi. Jestem zbyt opryskliwa, odpowiadam za szybko.

Millie otwiera usta, żeby coś powiedzieć, i wchodzi za mną do łazienki. Rozgląda się, a kiedy się upewnia, że nikogo tu nie ma, mówi:

— Sidney, nie rób tego.

— Co takiego? Przecież nic nie robię.

— Nie próbuj mnie oszukiwać. Naprawdę chcesz mi wmówić, że między wami nic nie ma? — Opiera ręce na biodrach i patrzy na moje odbicie w lustrze.

— Nic. Nie wiem, co sobie ubzdurałaś, ale może powinnaś iść do okulisty.

— Obmywam twarz wodą. Mam na rzęsach wodoodporny tusz, ale nie mogę przetrzeć oczu, bo go rozmażę. Wycieram twarz papierowym ręcznikiem.

— Gdybym oskarżyła cię o sypanie z Dustym, zareagowałabyś zupełnie inaczej.

— Hm, chyba masz rację, bo najpierw bym się porzygała. O co ci chodzi? — Odwracam się i opieram o umywalkę. — To ty mnie tu zaciągnęłaś, nie pamiętasz? Peter to mój przełożony, a ja jestem jego asystentką. I tak, mówię do niego per Peter, tak samo jak do doktora Tadwicka mówiłam „Tony”.

— Mówiłaś o nim per doktor Anthony Tadwick albo Tadwick. Nigdy nie mówiłaś o nim „Tony”, a przynajmniej nie przy mnie. — Wygląda na zaniepokojoną, chociaż nie powinna. Pociera skronie i kręci głową. — Tylko nie zrób nic głupiego.

— Rany boskie, dlaczego wszyscy wygadują takie bzdury?

— Sidney, to zazwyczaj oznacza, że lada chwila wpakujesz się w naprawdę poważne tarapaty. Lepiej słuchaj swoich przyjaciół i nie wkręcaj w to swojego wykładowcy. Sypij z kolesiami w twoim wieku. — Millie mówi, jakby pozjadała wszystkie rozумы, co niesamowicie mnie wkurza.

— Jak myślisz, z iloma facetami się przespałam, odkąd mnie znasz?

— Nie mam pojęcia. Mam ci podać dokładną liczbę? — Millie pochyla się do lustra i poprawia makijaż.

— Tak pi razy oko — mówię. — Biorąc pod uwagę to, ile razy kupowałam seksowną bieliznę, umawiałam się na randki, malowałam na specjalne wyjście — cokolwiek przyjdzie ci do głowy — powiedz mi, proszę, ilu facetów według ciebie wyrwałam.

Millie milczy przez chwilę, a potem kręci głową.

— Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek o kimś tak mówiła.

— A czy teraz mówię o kimś w jakiś specjalny sposób?

— Nie. — Znowu potrząsa głową. — Ale to wcale nie znaczy, że...

— Że co? — wchodzę jej w słowo. — Millie, o co ci w ogóle chodzi? Umawiasz mnie na randki, na które z tobą chodzę, robię wszystko, o co tylko mnie poprosisz, a potem trafiam na kogoś, z kim dobrze się dogaduję, i co? Każesz mi się trzymać od niego z daleka?

— To wykładowca, Sidney. Wpakujesz się w kłopoty.

— Dlaczego niby? Dlatego że się z nim przyjaźnię? Dlatego że z nim nie sypiam? Dlatego że nie przeleciał mnie pierwszego wieczoru, kiedy tu przyjechał? Co takiego według ciebie zrobiłam? Bo naprawdę nie wiem. — Jestem upierdliwa — nie mam takiego zamiaru, ale tak jest. — Wiesz, co mam na myśli. Mniejsza o to. Zapomnijmy o tej rozmowie.

— Chcesz powiedzieć, że prawie się z nim przespałaś?

Kręcę głową i podnoszę ręce do uszu, całkiem jakbym chciała jej dać znać, że nie słyszę, co mówi.

— Sidney, zaczekaj, proszę! — Millie wybiega za mną z toalety na korytarz. — Dokąd idziesz?

Kieruję się do wyjścia z budynku. Źle się czuję na myśl o tym, że wystawię Petera, ale nie mogę tu dłużej zostać. Mam wrażenie, że za chwilę rozpadnę się na tysiąc kawałków. Muszę ochłonać. Otwieram z impetem drzwi na zewnątrz i wychodzę, żeby posiedzieć na parkingu. Opieram się o jeden z samochodów i pochylam głowę, żeby nikt nie widział mojej twarzy. Oddycham głęboko, starając się uspokoić. W środku zostawiłam wszystkie rzeczy, włącznie z telefonem.

Co, do diabła, jest ze mną nie tak? Dlaczego tak naskoczyłam na Millie? Przecież tak naprawdę nie powiedziała nic złego — to nie było to samo co Dusty i jego głupie plotki. Może właśnie o to chodzi? Tylko wszystko pogarszam. Niech to szlag! Przez chwilę siedzę na samochodzie, myśląc tylko o tym, jaka ze mnie idiotka. Może naprawdę powinnam dać sobie spokój z Peterem? Na myśl o tym, że nie będę go widywać, ściska mi się serce, ale może Millie ma rację? Może powinnam się rozejrzeć za kimś w moim wieku?

Czy naprawdę uganiem się za Peterem? Czy to właśnie dlatego nie byłam na randce od stycznia? Nie, to nie może być Peter — to nie to. Wokół jest mnóstwo fajnych kolesi. Powinnam sobie jakiegoś znaleźć i zacząć wszystko od początku. Ale właściwie dlaczego? — zastanawiam się. Żeby być normalną... Zacząć wszystko od nowa — wmawiam sobie.

Moje życie stoi w miejscu od stanowczo zbyt długiego czasu. Nie mam chłopaka, nie umawiam się na randki, nie wdycham do nikogo i nie zastanawiam się, kiedy znowu go zobaczę. No, jeśli oczywiście nie liczyć Petera.

Peter nie wchodzi w rachubę.

Wieczorne powietrze jest duszne i gęste. Sukienka lepi mi się do ciała. Kiedy spuszczam wzrok, dostrzegam, że piersi lśnią mi od potu. Niech to szlag! Wyglądam jak tania dziwka. Wachluję się, pewna, że jestem tu sama. Jest znacznie

bardziej parno niż zwykle, całkiem jakby zbierało się na deszcz. Kiedy szykuję się do powrotu, widzę, że ktoś idzie w moją stronę.

— A niech mnie, czy to nie nasza sprytna asystentka? — Mark z porannych zajęć angielskiego prowadzonych przez Petera odkłada na maskę samochodu stertę książek i idzie w moją stronę. Odwracam wzrok. Czuję, że się rumienię — od stóp do głów. Jasny gwint, czy widział, jak wachluję sobie cycki? — zachodzę w głowę. Siada koło mnie. — Wszystko gra? — pyta. Próbuje zajrzeć mi w oczy, ale nie patrzę na niego.

Kiwam głową.

— Jasne — zapewniam go piskliwie, a on wybucha śmiechem. — No cóż, mam wrażenie, że wcale nie, skoro tak unikasz mojego wzroku. A „nie w porządku” wiąże się z pewnymi zobowiązaniami, no wiesz. — Opiera się o samochód, patrząc w dal. Jego słowa sprawiają, że się uśmiecham, ale jednocześnie czuję się głupio.

Zerkam na niego z ukosa.

— Zobowiązaniami? — pytam.

Mark kiwa głową.

— Taa, na przykład zaoferowaniem chusteczek. Plus może podwózki do domu, bo byłoby podłe z mojej strony kazać ci wracać na piechotę. — Przechyla głowę na ramię i próbuje znowu podchwycić mój wzrok. Patrzę na niego spođe łba i uśmiecham się krzywo. — Tak już lepiej — chwali mnie. — Zaczekaj, aż zobaczysz chusteczki! Przygotuj się na prawdziwy szok. — Wraca do swojego samochodu i przynosi paczkę chusteczek. Myślałam, że tylko żartuje, ale kiedy wyciąga je w moją stronę, nie mogę się powstrzymać — szczęka dosłownie mi opada i sięgam odruchowo po jedną.

— A niech mnie! — wrywa mi się. — To naprawdę chusteczki? — Mnę w dłoni miękki papier, który... lśni! Ocieram czoło i szyję — całe ciało pokrywa mi cienka warstewka potu. Jest tak cholernie gorąco!

— Oczywiście. Kupiłem je przez internet. Jedynym efektem ubocznym jest to, że kiedy się w nie wysmarkasz albo nimi wytrzesz, będziesz w świetle świecić na zielono.

Zatrzymuję się i gapię na niego z niedowierzaniem.

— Że niby co?

Chyba za mocno piorunuję go wzrokiem, bo Mark podnosi ręce w obronnym geście i dodaje szybko:

— Żartowałem, moja piękna — chciałem tylko, żebyś się znowu uśmiechnęła. — Trąca mnie w ramię. Nie mogę nic na to poradzić — uśmiecham się do niego szeroko. — O, to, to! Właśnie tak! Możesz siedzieć na moim samochodzie, kiedy tylko zechcesz. Przeważnie go nie zamykam. Gdyby padało czy coś tam się działo, możesz nawet wsiąść do środka.

Kiwam głową.

— Dzięki, Mark.

— Nie ma sprawy, słoneczko. Nie masz ochoty gdzieś się przejechać?

Mark jest taki miły! Chodzę z nim na zajęcia od początku semestru, ale dzisiaj pierwszy raz z nim w ogóle rozmawiam. Widziałam, że na zajęciach zerka w moją stronę, ale wmawiałam sobie, że to tylko moja wyobraźnia. Wydawało mi się, że jest zbyt rozchwytywany i zbyt fajny, żeby do mnie w ogóle zagadać. Już rozumiem, dlaczego zawsze kręci się wokół niego całe stado ludzi.

Oglądam się przez ramię na budynek szkoły. Mark jest w moim wieku i jest z niego prawdziwy słodziak, ale...

— Nie, dzięki — odmawiam. — Muszę wracać. Ale dziękuję, naprawdę. — Macham do niego chusteczką. — A tak przy okazji, jeżeli dziś wieczór moje cycki będą świeciły na zielono, znajdę cię i zabiję.

Mark zaśmiewa się tak bardzo, że prawie spada z maski samochodu.

— No, no, tego bym się po tobie nie spodziewał, ale spoko — zielone cycki czy nie, możesz mnie łapać, kiedy tylko zechcesz. — Uśmiecha się do mnie i wskakuje do swojego wozu. Patrzą przez chwilę w ślad za nim, a potem wracam do budynku.

Rozdział 17.

Kiedy siadam na ławce, dostrzega mnie Peter. Podchodzi do mnie i siada obok.

— Sądziłem, że wystawiłaś mnie do wiatru.

— Szczerze? Myślałam o tym, ale doszłam do wniosku, że nie chcę, żebyś wyszedł na idiotę przed tymi wszystkimi dzieciakami. Millie mnie wkurzyła. To znaczy nawet nie chodzi o samą Millie, tylko w ogóle o wszystkich. Serio — podobno ludzie gadają. — Skubię paznokcie. Od kiedy to zaczęłam mu się ze wszystkiego zwierzać? Przyglądam mu się kątem oka. To twój kumpel, idiotko! — wmawiam sobie. To normalne, że mu się zwierzasz!

Peter sprawia wrażenie zbitego z tropu.

— Co masz na myśli?

— Nas! — wybucham. — Słyszałam już wszystko: od tego, jak to niby zaszłam z tobą w ciążę, przez dziwne rzeczy, które robimy w twoim biurze, aż po całkowicie dwuznaczną definicję stanowiska asystentki. Kumaszczyzna? Asystentka! Ha, ha! To kretynstwo! — Krzywię się i przyglądam kilku parom wirującym przed nami na parkiecie. Dołącza do nich kolejna.

Peter patrzy na mnie z ukosa i się śmieje. Przeczesa włosy dłonią.

— Szlag! Wreszcie wstąpiłem w platoniczny związek z kobietą i jak na tym wyszedłem?

— Taa, łajdaku! — Podpieram się na łokciach opartych o kolana. Dzisiaj na zajęcia przyszło całkiem sporo osób. Muzyka aż dudni w uszach, a w sali jest duszno. Ktoś otworzył tylne drzwi — wpada przez nie gęste, wieczorne powietrze, pachnące kapryfolium.

— No i co im powiedziałaś?

— Powiedziałałam pewnej lasce, że na ciebie lecę jak cholera. Chyba trochę mną trząchnęło, kiedy opowiedziała mi o tym, co ludzie gadają. Musiałam się jakoś wytłumaczyć, a Millie... cóż, chyba trochę za bardzo na nią nawrzeszczałam. Tak, ot. — Patrzę w zamyśleniu przed siebie.

Peter odchrząkuje. Zerkam na niego spode łba. Uśmiecha się szeroko.

— Czyżbyś próbowała mnie bronić? Mojego honoru? To chyba powinna być moja działka?

Uśmiecham się lekko i przyglądam mu się z ukosa. Twarz lśni mu od potu. Rany, jak gorąco! Brak klimatyzacji w sali daje się we znaki. Mój wzrok błądzi po jego ramionach i piersiach — zmięta koszula lepi mu się do tułowia, ale to sprawia, że wygląda seksownie. Ma zarumienione policzki, a oczy lśnią mu mocniej niż wtedy, kiedy pierwszy raz się tutaj spotkaliśmy.

Uderzam go żartobliwie w ramię.

— Palant z ciebie, wiesz?

— Przez to, że tańczę? — pyta Peter, próbując dociec, dlaczego ludzie opowiadają o nas takie rzeczy. Wygląda na zbitego z tropu. Odgarnia z twarzy mokre kosmyki włosów.

— Żartujesz sobie? — pytam, a on kręci głową. Uśmiecham się do niego i mówię: — Dlatego że z ciebie takie ciacho. Ludzie będą plotkować, dopóki nie zobaczą, że się z kimś spotykasz, a nawet wtedy... cóż, ludzie potrafią być głupi. Gadają za twoimi plecami, nawet kiedy nie ma o czym.

— Czy o Tadwicku też plotkowali?

— Tadwickowi daleko było do ciacha, w przeciwieństwie do ciebie.

— A kto tak twierdzi? — Peter uśmiecha się do mnie szeroko i trąca mnie kolanem.

— Ludzie. Jeśli o mnie chodzi, jesteś nieco zbyt umięśniony i opalony. Wolę facetów bladych i chuderlawych. Przykro mi, Charlie.

— Peter! — poprawia mnie ze śmiechem. — Mam na imię Peter! A niech cię, Sidney — nie pamiętasz nawet, jak się nazywam? — Uśmiecha się jeszcze szerzej i w policzkach robią mu się dołeczki — są takie urocze! Peter jest naprawdę bardzo przystojny. Kiedy zerkam na dziewczyny siedzące za nim na ławkach, widzę, jak patrzą na niego maślanymi oczami i ślinią się wszystkie co do jednej.

Wstaję i klepię Petera w ramię.

— Dawaj, profesorku. Chcę tańczyć, dopóki nie polecę z nóg. — Pędzę przez salę, a Peter za mną. Gdy się zatrzymuję, robię to tak gwałtownie, że Peter prawie na mnie wpada i czas na chwilę staje w miejscu. Powietrze staje się gorętsze, dosłownie aż iskrzy. Peter podnosi dłoń, a ja przyciskam do niej swoją. Mam wrażenie, że kiedy nasze ręce się spotykają, przebiega między nimi dreszcz wyładowania i spływa mi aż do stóp. Uśmiecham się szeroko — rozpira mnie radość — i zaczynamy taniec.

Peter nie dotyka mnie w jakiś nieprzyzwoity sposób, ale przesuwa dłonie po mojej skórze i sukience tak, jakbym była tylko jego — jakby miał nade mną pełną kontrolę. To takie dziwne! Tańczyłam wcześniej wiele razy, ale nigdy nie czułam czegoś takiego. Tańczyłam, żeby uciec od mojego byłego chłopaka i mojej rodziny — ich to zupełnie nie obchodziło. Taniec pozwalał mi odnaleźć równowagę i przetrwać najtrudniejsze chwile, jednak przy Peterze wszystko się zmieniło. Nie chodzi już o przetrwanie. Śmieję się, pocę, wiruję w tańcu, zdyszana. Nie uciekam od jego dotyku — to dla mnie zupełnie nowe doznanie. Kiedy pierwszy raz tańczyliśmy, podobało mi się, owszem, ale jego dotyk sprawiał, że się denerwowałam. Teraz czuję się w jego ramionach bezpieczna, silniejsza, lepsza.

Muzyka przyspiesza i rytm się zmienia. Śmiejemy się i jakaś para przystaje, żeby na nas popatrzeć. W pewnym momencie Peter pyta mnie:

— Gotowa? Chcę zrobić podrzut.

Kiwam głową. Spodziewam się, że wykona sekwencję przed obrotem, ale

nie — przyciąga mnie do siebie i odwraca plecami. Uśmiecham się do niego jak głupia.

— Co ty wyprawiasz?

— Nic. Zastanawiałem się tylko, dlaczego ufasz mi podczas podrzutów, ale nie przy...

— Spiralach śmierci? — kończę za niego. — Może ma to coś wspólnego ze słówkiem „śmierci”? — Śmieję się. Muzyka mnie wypełnia, przenika. Peter obraca mnie wokół siebie i pod swoim ramieniem, a potem znowu przyciąga.

— Chyba uda mi się ciebie namówić. — Śmieje się i okręca mnie, kiedy tak wirujemy przez parkiet. Rozdzielamy się na chwilę, a potem znów łączymy — jestem z powrotem w jego ramionach, tak blisko! Peter przyciąga mnie do siebie tak mocno, że nasze ciała niemal się ze sobą stykają.

— Nie mam hełmu!

Peter wybucha śmiechem.

— Uparciuch z ciebie!

— Nie pozwolę ci rozkwasić mi nosa o podłogę! — Szczęzę do niego zęby. Peter podnosi rękę i popycha mnie lekko, a ja poruszam się posłusznie pod jego ramieniem. Piosenka zbliża się do idealnego momentu na podrzut.

— To jak, damy radę? — Peter przyciąga mnie do siebie, aż nasze biodra się spotykają. Serce bije mi stanowczo zbyt szybko.

— Damy!

Peter prowadzi, a ja podążam posłusznie za jego ruchami. Robimy obrót, zwrot i szybko się do siebie przybliżamy. Przemykam po plecach Petera z rozrzuconymi szeroko nogami, aż fruwa mi sukienka. Gdy ląduję na podłodze, pochylam się, a Peter przekłada mi nogę nad głowę i przekręca mnie w obrocie. Nurkuję między jego nogami, a kiedy się wynurzam, Peter chwytą mnie mocno w talii. Wykonuję wykop i czuję pęd powietrza, poderwana w górę. Uśmiecham się tak szeroko, że bolą mnie policzki. Kiedy opadam, czuję łaskotanie w żołądku.

Peter wykonuje figurę idealnie: moje nogi trafiają dokładnie tam, gdzie powinny — na jego biodra — a jego dłonie lądują na moich plecach i podtrzymują mnie przy przechyle. Muzyka zamiera. Dyszymy ciężko. W sali panuje przez moment dziwna cisza, a Peter trzyma mnie jeszcze przez chwilę, aż wreszcie stawia mnie na ziemię, a wszyscy zaczynają klaskać. Peter kiwa w moją stronę głową, całkiem jakby to był jakiś pokaz, a potem zaczyna omawiać kwestie bezpieczeństwa przy wykonywaniu takich figur i zachęca bardziej zaawansowanych tancerzy do poćwiczenia kroków, które właśnie pokazaliśmy.

Do Petera podchodzi jakaś dziewczyna, a on wyciąga do niej rękę i zaczyna z nią tańczyć... I właśnie wtedy dociera do mnie, że nie lubię się dzielić. Peter wygląda cudownie z tymi zmierzwionymi włosami i pachnie niebiańsko. Tłumię w sobie zazdrość i idę do lodówki po wodę. Przyglądam się, jak pokazuje

dziewczynom ruchy w zwolnionym tempie. Jest tu dzisiaj także kilku chłopców. Peter wyjaśnia im, jak układać ręce i jak prowadzić w tańcu.

Piję wodę i idę na bok sali, próbując ochłonać.

Chwilę później idę w stronę otwartych drzwi. Powiew wieczornego powietrza jest taki cudowny! Wychodzę na zewnątrz. Niebo jest już ciemne jak atrament. Migocze na nim kilka gwiazd. Opieram się o chłodną ceglaną ścianę i czuję przez sukienkę dotyk chropowatej powierzchni.

Po paru minutach z budynku wychodzi Peter.

— Co powiesz na kolację? — pyta.

— Czemu nie? Nic jeszcze nie jadłam.

— Dobrze. — Kiwa głową i wraca na salę.

Stoję na zewnątrz jeszcze przez jakiś czas; z budynku wychodzi Tia.

— Rany, to było naprawdę niesamowite! Gdzie, u licha, nauczyłaś się tak tańczyć?

Uśmiecham się do niej.

— Nie wiem. Jeżeli czegoś bardzo chcesz, w końcu ci się to udaje. Pomyślałam, że to może być fajne, więc postanowiłam się przekonać. — Wzruszam ramionami i upijam łyk wody. — To wcale nie takie trudne, jak się wydaje.

Tia kiwa głową i upija łyk wody ze swojej butelki.

— Za każdym razem, kiedy mi się zdaje, że jestem w formie, okazuje się, że to wcale nieprawda. A, i teraz już się nie dziwię, że wszyscy mówią, że z Granza jest takie ciacho — kawał niezłej dupci z niego!

— No, dupcię ma całkiem niezłą.

Straciłam poczucie czasu. Do głowy mi nie przyszło, że ktoś może za mną stać.

— Dzięki, Colleli — mówi Peter, rzucając mi moje rzeczy. Łapię je w ostatniej chwili. — Och, a ja cały dzień myślałem, że mówisz o mnie „duppek” — wychodzi na to, że po prostu się przesłyszałem!

Robię się czerwona i wybałuszam na niego oczy, a Peter idzie przed siebie, jakby nigdy nic. Kieruje się na parking. Trącam Cię w ramię, a ona śmieje się ze mnie.

— No wiesz co? — syczę. — Wiedziałaś, że on tam jest!

— Taa, wiedziałam i wyszło bosko! Nie mogłam się powstrzymać! — Śmieje się i pije wodę, prawie się przy tym dławiąc.

— Jeszcze ci się odwdzięczę, czekaj tylko!

— Powodzenia! — krzyczy za mną Tia, gdy biegnę przez parking w stronę samochodu Petera.

Wsiadam do niego zdyszana.

— Wcale tego nie powiedziałam! — zaczynam się tłumaczyć, zapinając pas.

— Nic nie słyszałem — odpowiada ze śmiechem Peter. — No, oprócz tego komentarza o mojej cudownej dupci. — Ogląda się na mnie. — Wiesz, nie umiem cię rozgryźć. Zachowujesz się, jakbyśmy byli przyjaciółmi, a potem... opowiadasz takie rzeczy. Jesteś zdumiewająca.

— Zdumiewająca? Chyba użyłeś złego słowa. Jestem... — Patrzę na niego, gdy wyjeżdża samochodem z parkingu. Opadam na oparcie siedzenia i wypuszczam głośno powietrze. — Nie wiem, jaka jestem. Jestem wrakiem. Kłębkiem nerwów. Pogruchotana. Wybierz jedną odpowiedź. Albo wszystkie trzy.

Peter kręci głową i uśmiecha się do mnie.

— Jesteś kipiącym bałaganem, tajemnicą i poematem — czystymi uczuciami widocznymi jak na dłoni.

Wybucham śmiechem, bo Peter nie mógłby się bardziej mylić.

— Jak na dłoni? Chyba coś ci się pomieszało!

— Wcale nie. Można z ciebie czytać jak z otwartej książki.

— Odbiło ci.

— I właśnie dlatego wiem, że mam rację. Cały czas to robisz, prawda? — Patrzę na niego niepewnie. Nie mam pojęcia, o czym Peter mówi, a do niego to najwyraźniej dociera, bo dodaje: — Mówisz tak, kiedy znajdę się za blisko prawdy. Stajesz się agresywna i obrzucasz mnie wyzwiskami — a to oznacza, że mam rację.

— Mogłam mieć na myśli, że jesteś dupkiem, i nic poza tym. — Chcę dodać coś jeszcze, ale w tym momencie Peter patrzy na mnie i sądząc po wyrazie jego twarzy, nie mam co liczyć na to, że mi odpuści.

— Podobam ci się, Sidney?

Jego pytanie sprawia, że żołądek podchodzi mi do gardła. Nie mogę wytrzymać jego spojrzenia. Czuję, że się rumienię — cała.

— Co to ma być? — udaje mi się wykrztusić. — Co to za pytanie?

— Hmm, całkiem proste. Czy ci się podobam? — Peter patrzy na mnie, a potem z powrotem na drogę.

Dzięki Bogu, że jest ciemno! Jestem pewna, że zrobiłam się czerwona jak burak. Mam ochotę mu powiedzieć, że jest okropny, ale to brzmiałoby tak naiwnie, że wyrzucam z siebie tylko:

— Straszny z ciebie palant, wiesz? — Ukrywam twarz w dłoniach i odwracam się do okna. W uszach mi dzwoni. Przez chwilę czuję na sobie wzrok Petera. Dlaczego mi to robi? Jeśli nawet uważam go za ciacho, to co z tego? Nic na to nie poradzę. To nie ma znaczenia, a jednak żałuję, że to powiedziałam.

— No cóż, to brzmi jak „tak”. Czy mam ci powiedzieć, co ja sędzę o tobie?

— Nie obchodzi mnie to — mamroczę, wyglądając przez okno.

— Och. No dobrze, w takim razie ci nie powiem. — Peter uśmiecha się szeroko; jedziemy w kierunku restauracji po drugiej stronie miasta.

Byłam przygotowana na to, że będzie się ze mną droczył, ale on milczy! W

ciszy rozpamiętuję jego słowa. Teraz naprawdę chciałabym wiedzieć, co o mnie myśli — nie mogę uwierzyć, że przestał się do mnie odzywać w takiej chwili! Zerkam na niego ukradkiem. Wciąż prowadzi z tym wkurzającym, seksownym uśmiechem na twarzy, całkiem jakby doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co najlepszego narobił.

Patrzę w wieczorne niebo i zastanawiam się, dlaczego jego słowa nie dają mi spokoju. To oczywiste, że mi się podoba! I to oczywiste, że o tym wie! Mało brakowało, a przespaliłyśmy się ze sobą, jednak nie o to chodzi. Najbardziej przeraża mnie nie to, co on wie, tylko to, czego nie wie. Jestem od niego uzależniona. Gdybym miała wybierać między Millie a Peterem, wybrałabym Petera. Wiem, że lepiej mnie rozumie — stał się moim najlepszym przyjacielem. Nieważne, że jest moim nauczycielem i szefem — czuję się przy nim swobodnie. Przyzwyczaiałam się już do brzmienia jego głosu, widoku jego twarzy. Za każdym razem, kiedy Peter wchodzi do pokoju, za każdym razem, kiedy obraca mnie w tańcu, czuję spokój, a nawet coś więcej — czuję się szczęśliwa. Kiedy dociera do mnie, co to oznacza, czuję w gardle dziwne dławienie.

Chyba już wiem...

Zerkam na Petera — patrzę na jego policzek, upajam się widokiem jego mocnej, pokrytej zarostem szczęki i tego, w jaki sposób kręczą mu się włosy koło uszu. Jego skóra jest doskonała, a oczy... rany, lśnią jak drogocenne kamienie. Kiedy w nie patrzę, czuję się, jakbym tonęła w błękitnych otchłaniach roziskrzonych szafirów. I pierwszy raz w życiu czuję się bezpieczna. Nie martwię się o to, że mnie zrani, nie wzdrygam się przed jego dotykiem i nie boję się, że mnie skrzywdzi.

Nie zdaję sobie sprawy, jak długo się na niego gapię, dopóki nie odwraca głowy i nie patrzy na mnie z łagodnym uśmiechem. Czuję się, jakbym spadała — żołądek podchodzi mi do gardła i nie mogę wykrztusić słowa.

O, nie. Nie, nie, nie... Nie! Tylko nie to. Kiedy odwracam znów wzrok, wiem, że mam zbyt szeroko otwarte oczy. W kółko powtarzam sobie w myślach „nie!”, tak jakbym dzięki temu mogła usunąć z głowy myśl, która przed chwilą się w niej zaległa. Śmieję się w duchu sama z siebie — tak jakby coś takiego było w ogóle możliwe; jakby odkochywanie się było równie łatwe jak zakochywanie się.

Czyżbym była w nim zakochana? Nie, to niemożliwe — przekonuję samą siebie.

Nie, nie może tak być — to nie to. Tylko nie to. Wcale go nie kocham — to jakieś szaleństwo! Przecież nawet go nie znam!

Ależ znasz — podpowiada mi cichy głosik. Przeganiem go i zabraniam mu wracać — to zazwyczaj mój głos rozsądku, a przynajmniej mogłabym go tak nazwać, ale to w tej chwili niezbyt stosowne. Nie znam Petera — nie tak. Nie chcę go znać. Nie mogę...

Ta gorączkowa gonitwa myśli ustaje dopiero wtedy, kiedy Peter wjeżdża na parking. Ogarnia mnie panika. Nic już nie jest takie samo jak przed chwilą. Dotarło do mnie, że czuję coś do niego. Może jestem tępa jak pień, że nic nie zauważyłam — jasna cholera, wszyscy to dostrzegli! — ale nie wiem, co z tym teraz zrobić. Zachowywać się jakby nigdy nic? Udawać, że ta myśl nigdy nie przyszła mi do głowy?

Zbyt długo zwlekam z wyjściem z samochodu. Peter wysiada i podchodzi do moich drzwi, żeby je otworzyć.

— Co ty wyprawiasz? — pytam go, kiedy podaje mi rękę i pomaga wysiąść. Przygląda mi się tymi swoimi niesamowitymi oczami, aż zapominam o oddychaniu.

Stoi stanowczo zbyt blisko mnie. Cofam się, dopóki nie opieram się o samochód. Peter podchodzi bliżej, zmniejszając dzielący nas dystans. Jest na wyciągnięcie ręki, ale nie wykonuje żadnego ruchu. Przygląda mi się przez chwilę, a potem pyta:

— Chcesz wiedzieć, co myślę?

Kręcę powoli głową, unikając jego wzroku, i zakładam za ucho kosmyk włosów.

— Nie — mówię zbyt cicho. Niech to szlag — zabrzmiało, jakbym chciała powiedzieć „tak”... Odchrząkuję i zbieram się w sobie. Podnoszę wzrok — wiem, że muszę to zrobić. Po prostu to powiedz — nakazuję sobie w duchu. Wyrzuć to z siebie, tak jakby zupełnie nie miało to dla ciebie znaczenia, bo kiedy on ci powie, co myśli, nie dasz rady tego powstrzymać. Nie chcę, żeby coś się między nami zmieniło. Jest dobrze tak, jak jest.

Patrzę mu prosto w oczy i mówię z uśmiechem:

— Nie chcę wiedzieć, co myślisz. Ja nie czuję do ciebie tego samego. — Kłamstwo aż pali mi język, ale Peter nie odchodzi. Zamiast tego stoi i mi się przygląda. Pochyla się do mojego ucha. — Myślę, że jesteś piękna, a ten twój ostry języczek... Na Boga, nigdy nie miałem nikogo tak bardzo ochoty pocałować. Dzisiaj będę cię całował — nie zdołam się powstrzymać. — Jego słowa sprawiają, że zaczynam drżeć.

Kiedy się cofa, cała aż tężeję. Mam zeszywniały kręgosłup, a w głowie kręci mi się tak, jakbym spadała w króliczą norę.

— Nie wiem, co powiedzieć. — Patrzę na niego spod w półprzymkniętych powiek, ledwie śmiać oddychać. Nie mogę oderwać oczu od jego ust i zastanawiam się, czy naprawdę jest do tego zdolny.

Peter gładzi dłonią mój policzek, wpatrzony w moje wargi.

— W takim razie nic nie mów. — Odwraca się i odchodzi przez parking. A ja stoję przy samochodzie, patrząc, jak podchodzi do drzwi. Gdy je otwiera, ogląda się na mnie i pyta: — Idziesz, Colleli?

Peter ze mną pogrywa — chce mnie wkręcić. Zapominam o wszystkim, co powiedział, i idę pewnym krokiem przez parking. Chrzanić go! Ja też umiem grać w takie gierki.

Peter przytrzymuje drzwi otwarte; kiedy go mijam, obracam się bokiem, wciągając głęboko powietrze. Jesteśmy zbyt blisko siebie. Robię to celowo. Gdy przechodzę obok niego, prawie ocieram się o niego piersią. Ten dotyk przejmuję moje ciało dreszczem, ale wiem, że Peter też to czuje. Wstrzymuje oddech i rzuca mi spojrzenie mówiące, że to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał.

— Wybacz — mówię niskim, seksownym głosem, a kiedy odchodzę, Peter otwiera usta. Prostuje się, ramiona mu sztywnieją. Odwracam się ze złośliwym uśmiechem do stanowiska hostessy. Peter wciąż jeszcze stoi bez tchu, całkiem jakby ktoś uderzył go w splot słoneczny. — Proszę stolik dla dwóch osób — mówię.

Peter jakby się ocknął; podchodzi do mnie. Czuję na plecach żar bijący od jego ciała.

— To było złośliwe — szepcze mi do ucha.

— To ty zacząłeś — rzucam z uśmiechem przez ramię.

Idziemy z kelnerką do tego samego stolika co ostatnio — to już jest nasz stolik. Jak to się stało? Peter wyprzedza mnie i odsuwa mi krzesło, podczas gdy kelnerka czeka, żeby wręczyć nam menu. Peter podsuwa moje krzesło ostrożnie do stołu i siada obok. Oczy lśnią mu wesoło, a lekki uśmiech pokazuje pełne zadowolenie. Jego wzrok przelotnie spoczywa na moich ustach, co sprawia, że zaczynam się wiercić na krześle. Nie mogę uwierzyć, że powiedział coś takiego! Nie, na pewno tylko się ze mną drażnił — chciał mnie wytrącić z równowagi.

— No więc — mówi.

— No więc... — Głos więźnie mi w gardle.

Sposób, w jaki na mnie patrzy — całkiem jakby chciał mnie całować, aż poddam mu się cała i wpadnę mu w ramiona, sprawia, że się denerwuję. Nie rozumiem go. Odkąd się tu zjawiał, trzymamy się razem, a jednak poza tamtą pierwszą nocą nie wykonał żadnego ruchu. A może wykonał? Nagle czuję się strasznie głupio. Co, jeśli całe to flirtowanie było na poważnie? Wyszłam z założenia, że tak nie jest — sądziłam, że tylko się ze mną drażni. Czy Peter naprawdę jest dość szalony, żeby starać się mnie zdobyć, nawet gdyby to miało kosztować go pracę? Jest tu nowy — takie przekreślanie siebie na początku kariery byłoby strasznie nierozważnym krokiem. O co mu więc chodzi? Nie mam pojęcia.

Już, już otwieram usta, żeby mu powiedzieć, że nie możemy sobie na to pozwolić — żadnego całowania, nic podobnego — kiedy widzę ją koło paleniska. Na widok Petera twarz doktor Strickland aż kraśnieje.

— Doktorze Granz, panno Colleli — cóż za miła niespodzianka! — Strickland ma na sobie jaskrawoczerwony kombinezon, który sprawia, że wygląda

jak żywy płomień.

— Cyianno! — wita się z nią Peter. — Miło cię widzieć! Przysiądziesz się do nas?

Strickland kręci głową.

— Dziękuję, ale nie. Zjem szybko obiad i sprawdzę trochę prac. — Uśmiecha się do nas i patrzy na mnie. — Słyszałam, że chodzisz na zajęcia nowego klubu tanecznego.

— Tak. Właśnie stamtąd wracamy — doktor Granz jest naszym sponsorem. Strickland patrzy na mnie, a potem na Petera.

— Rozumiem — mówi, całkiem jakby rzeczywiście coś wiedziała. Przenosi znów wzrok na Petera. — Wiecie co? A może jednak się do was przyłączę? Miałam długi, ciężki dzień. — Kelnerka przynosi jeszcze jedno krzesło i doktor Strickland siada obok mnie. Klepie mnie przy tym po nodze i prawie zrywam się od stołu, a ona patrzy na mnie z ukosa. — Wybacz, moja droga.

— Nic się nie stało — kłamię. Nienawidzę, kiedy ktoś mnie dotyka. Podnoszę wzrok. No cóż, Peter jest wyjątkiem od tej reguły. Uśmiecham się nerwowo, zastanawiając się, czy napytaliśmy sobie właśnie biedy, ale Strickland nie komentuje tego, że przyłapała nas razem.

Posiłek upływa w normalnej atmosferze — wszyscy się znamy i rozmawiamy o uczelni, wydziale, wykładach, a potem o literaturze.

I kiedy jestem już pewna, że Strickland słowem nie wspomni o naszym spotkaniu, ona rozwiewa moje nadzieje.

— Przykro mi, jeśli popsuję coś między wami, ale muszę wam coś powiedzieć.

Peter uśmiecha się i kręci głową.

— Cyianno...

— Peterze... — Strickland wchodzi mu w słowo. — Znam cię dość dobrze, żeby wiedzieć, że nie zrobisz nic głupiego, jednak jesteś młody, a panna Colleli — jeszcze młodsza. Oboje macie obowiązki. Przyjaźń to rzecz godna pochwały, ale nic poza tym — na szczęście tym, co między wami dostrzegam, jest tylko przyjaźń i mam szczerą nadzieję, że tak już zostanie. Sidney, nie muszę ci chyba przypominać o tym, że otrzymujesz stypendium? Uczelnia nie będzie płaciła za twoje poprawki tylko dlatego, że nie mogłaś się powstrzymać przed romansowaniem z wykładowcą. — Rany boskie, czy ona naprawdę to powiedziała? Pałam mnie policzki i z trudem kiwam głową. — Peterze — podejmuje Strickland — mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz, i że nie będę musiała się powtarzać.

— Nie musiała pani tego w ogóle mówić — odpowiada Peter spokojnie, a Strickland przygląda mu się przez chwilę. Podnosi serwetkę do ust i odkłada ją na talerz. — Przeszedłeś bardzo wiele, Peterze. Pozwól, że będę z tobą szczerą. Takie

spotkania z uczennicą nie wyglądają za dobrze. Tańczyłeś z nią, a potem zabrałeś ją do jednej z najlepszych restauracji w mieście. Z zachowania kelnerki wnioskuję, że widywała was tu wcześniej — i to kilkakrotnie. Wierz mi, to źle wygląda. Nie chciałabym usłyszeć ani zobaczyć, że to się powtórzyło. Potraktuj to, proszę, jak uprzejme ostrzeżenie. Przykro mi, że zepsułam wam wieczór, ale chcę, żeby pewne rzeczy były jasne. — Wstaje, kiwa nam głową i wychodzi.

Rozdział 18.

Zerkam na Petera, ale on na mnie nie patrzy. Wreszcie ktoś wyłożył karty na stół. Jeżeli nadal będziemy to ciągnęli, wszystko stracimy. Czuję w gardle gulę, jakby utknęła mi tam kostka cukru. Próbuję coś powiedzieć, chcę sprawić, żeby Peter znowu się uśmiechnął, ale blask z jego oczu zniknął bez śladu.

Nie mogę znieść dłużej tej strasznej ciszy.

— Jesteśmy tylko przyjaciółmi, Peter. Ona o tym wie. Nie będziemy już tu po prostu przychodzić. — Próbuję zbagatelizować całą sprawę.

Peter podnosi na mnie wzrok. Ma rozchylone wargi, całkiem jakby nie dowierzał własnym uszom.

— Nie próbuj kłamać, Sidney. Znam cię zbyt dobrze. Może to i przyjaźń, ale nie tylko — wszyscy to widzą. Wiem, co o tym myślisz, i żałuję, że nie chcesz się do tego sama przed sobą przyznać. Wówczas przynajmniej moglibyśmy zastanowić się wspólnie, co dalej. — Milknie, a kiedy nic nie mówię, kręci głową. — Czy naprawdę jesteś tak skołowana, że nie potrafisz rozpoznać, co czujesz?

Jego słowa są jak policzek. Sztywnieję i odwracam wzrok.

Kocham go. Wiem, że tak jest. Jego słowa ranią mnie do głębi. Zaciskam szczękę — mam ochotę to wyrzucić z siebie. Chcę mu powiedzieć, że to nie tylko przyjaźń, ale boję się, że to go spłoszy. Może on jest zauroczony, ale ja nie.

— Masz cholerną rację, że nie chcę się do tego przyznać — mówię. — I tak, nie potrafię już panować nad własnymi uczuciami. Z różnych względów jedynym, co czułam od czterech lat, był ból. To nigdy nie mijało. A potem... spotkałam ciebie. — Oddycham ciężko. Czuję, jak faluje mi pierś, ale nie potrafię powstrzymać cisnących mi się na usta słów. — Wszystko się zmieniło. Może nie wiedziałam, co wówczas czułam, ale teraz już wiem — jestem kretynką, która zakochała się w swoim przyjacielu, ale to nie jest w tym wszystkim najgorsze. Najgorsze jest to, że jeśli ci to powiem, wszystko stracę — ta odrobina szczęścia, które mi dałeś, zwiędnie i umrze, a to będzie wszystko moja wina, bo nie potrafiłam trzymać języka za zębami. Wolałabym mieć w tobie przyjaciela, niż cię stracić.

Peter sztywnieję, jakby zamiast kręgosłupa miał stalowy pręt. Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, oszołomiony. Nie próbuje wejść mi w słowo, a im dłużej mówię, tym bardziej przerażoną ma minę. Kiedy wreszcie milknę, wygląda jak po zderzeniu z ciężarówką. Nic nie mówi — mruga tylko, wpatrując się we mnie, zszokowany.

Chrzanić to! — mówię sobie w myśli. Nie zamierzam tak tu siedzieć i czekać, aż każe mi się wynosić. Zrywam się z krzesła i idę w stronę damskiej toalety. Czuję napływające mi do oczu łzy — ledwie udaje mi się wspiąć na schody i otworzyć drzwi, zaczynam płakać. Opieram się o krawędzie umywalki i patrzę w

lustro. Uspokój się — nakazuje mi cichy głosik w mojej głowie.

Wszystko zepsułam. Ukrywam twarz w dłoniach i szlocham niepowstrzymanie. Nie chcę być sama. Potrzebuję go, a wyznanie mu, co czuję, było najgłupszą rzeczą, jaką mogłam zrobić. Strickland powiedziała, że nie powinniśmy się przyjaźnić, więc powiedziałam mu, że go kocham — czemu jestem taką idiotką?

Odkręcam kran i ochlapuję twarz wodą. Płacz ustaje, ale wciąż czuję się zapuchnięta i mam zatkany nos. Postanawiam sobie, że nieważne, co się stanie, kiedy zejdem na dół, muszę się zachowywać, jakby nic się nie stało. Muszę po prostu zaczerpnąć świeżego powietrza.

Podchodzę do niewielkiego okna, sięgam po sznur od żaluzji i podnoszę je szybko, a potem otwieram okno na oścież. Mam zamglony wzrok, więc zbyt późno dociera do mnie, co się święci — w ramę okna wczepia pazurki wiewiórka. Kiedy otworzyłam okno, zaczęła się ześlizgiwać! Chociaż mocno się trzymała, gwałtowny ruch sprawił, że zaczęła spadać. Patrzę z przerażeniem, jak zsuwa się po szklanej tafli — nie może znaleźć oparcia dla pazurków. Jesteśmy wysoko na piętrze. Ogarnia mnie dziwna trwoga — zwierzątko spadnie, a wszystko przeze mnie. Nie chcę być zabójczynią wiewiórek!

Z okrzykiem rzucam się w stronę okna i próbuję ją złapać. Spada mi prosto w nadstawione dłonie. Serce wali mi tak mocno, jakby lada chwila miało pęknąć. Kiedy czuję miękkie futerko, mój mózg wysyła do mięśni ostrzeżenie i zanim dociera do mnie, co robię, próbuję wyrzucić zwierzątko z powrotem przez okno... Jednak mała spryciula mocno wczepiła się w moje dłonie pazurkami.

Drę się jak opętana i podskakuję, próbując pozbyć się gryzonia; kiedy to nie pomaga, krzyczę głośniej i zaczynam biegać w kółko, machając rękami i licząc na to, że mała bestia wreszcie odpuści. I faktycznie, odpuszcza, ale dopiero wtedy, gdy zsuwa mi się po ramieniu i nie ma się już czego złapać. Patrzę ze zgrozą, jak przelatuje przez salę i uderza w ścianę... W tym samym momencie otwierają się drzwi łazienki i staje w nich Peter w bojowej pozie. Przerażona wiewiórka daje mu nura między nogami na korytarz, a on patrzy w ślad za nią, nie dowierzając własnym oczom. Odwraca się i śledzi wzrokiem, jak zwierzątko pędzi korytarzem. Chwilę później na sali wybuchają krzyki.

Peter patrzy na mnie, a ja stoję, ściskając dłonią przedramię. Dolna warga mi drży i mam wrażenie, że lada chwila się rozpłaczę. Nie umiem się powstrzymać. Czuję się taka głupia, taka nieskończenie głupia! Peter podchodzi do mnie i z uśmiechem przyciąga do siebie. Przez chwilę trwamy tak przytuleni. Głaszczę mnie po głowie, a ja wtulam się w jego pierś.

Kiedy Peter wypuszcza mnie ze swoich objęć, przyglądam się swojej ręce — zadrapania nie są głębokie.

— Ugryzła cię? — Kręcę głową i ocieram łzy. Peter z całej siły próbuje się

nie roześmiać. — Co się stało? Pokłóciłyście się o kabinę w toalecie?

Oczy mam wciąż mokre, ale jego uśmiech jest zaraźliwy. Uderzam Petera żartobliwie pięścią w pierś.

— Nie kłóciłyśmy się o żadną kabinę! Otworzyłam okno, żeby zaczerpnąć powietrza, ale na oknie siedziała wiewiórka. Kiedy je otwierałam, zaczęła spadać, więc ją złapałam... a potem trochę się przestraszyłam.

Peter próbuje ukryć uśmiech i zachować kamienną twarz, ale zupełnie mu to nie wychodzi. Ujmuje moją twarz w dłonie i patrzy mi w oczy.

— Wszystko w porządku? Żadnej wścieklizny? Nie ma już więcej czających się w kabinach morderczych wiewiórek?

— Zamknij się! — pryham. — Ty też byś tak wrzeszczał! — Uwalniam się z jego uścisku i patrzę na niego spode łba, a on się śmieje — do rozpuku! W oczach stają mu łzy i cały aż się trzęsie. Ociera oczy dłonią i mówi: — Z pewnością, bez dwóch zdań!

— To dlaczego się śmiejesz? — Przybieram nadąsaną minę. Nie robię tego specjalnie, ale przestaję się kontrolować. Słyszemy czyjś pisk i szczęk rozbitych talerzy. Wciąż jeszcze nie złapali małego potwora. Cholerna wiewiórka!

— Bo coś takiego mogło się przydarzyć tylko tobie! Jesteś w najlepszej restauracji w mieście i zostajesz zaatakowana przez wiewiórkę! — Peter znowu parska śmiechem.

Zakładam ręce na piersi, ale chęć przyłączenia się do niego w śmiechu jest zbyt duża. Uśmiecham się pod nosem i rzucam:

— Kiedy będziemy opowiadać tę historię innym, powiemy, że to był niedźwiedź.

Peter śmieje się jeszcze mocniej. Stoimy w damskiej toalecie stanowczo zbyt długo, wsparci na sobie, zaśmiewając się do łez. Kiedy wychodzimy, ze śmiechu boli mnie brzuch.

Kelnerka przeprosza nas raz po raz — jest jej naprawdę przykro, że zostałam zaatakowana w ich łazience przez wiewiórkę. Nie płacimy za kolację, a na dodatek dostajemy całą stertę kart zniżkowych, żebyśmy tylko do nich wrócili. Menedżer martwi się, że rozpowiem wszystkim wokół, że grasują u nich dzikie zwierzęta — chociaż ja wiem, że nigdy nikomu nie ośmielę się opowiedzieć tej głupiej historii.

Wracamy z Peterem do jego samochodu. Po drodze do akademika pyta, czy mam w swoim pokoju coś, żeby opatrzyć zadrapania. Nie mam.

— Mam u siebie małą apteczkę — opatrzymy twoje rany, a potem odwiozę cię do akademika.

— U siebie? — Podnoszę wysoko brwi i patrzę na niego pytająco. Wciąż jeszcze nie skomentował ani słowem mojego idiotycznego wyznania miłości — i w głębi duszy mam nadzieję, że o tym zapomni. I tak już czuję się jak skończona idiotka. — Ale nie zaprosisz mnie znowu na kawę, co? — droczę się z nim.

Peter parska śmiechem.

— Nie, ale musimy opatrzyć te zadrapania — jeszcze ci ogon wyrośnie albo co... A poza tym to po drodze do twojego akademika.

Kiwam głową. Możemy do niego jechać — czemu nie? Nie spodziewam się niczego z tego, co ma się wydarzyć — ani trochę.

Rozdział 19.

— Nie są głębokie — mówi Peter, przyglądając się zadrapaniom na moim ramieniu: dziewięciu cienkim czerwonym szramom. Siedzimy w jego łazience. Apteczka jest otwarta. Jestem u niego pierwszy raz od tamtego nieszczęsnego wieczoru. Wszystko jest już poukładane na miejsca i jest tu bardzo przytulnie. Jestem w szoku, że Peter ma nawet tak dobrze zaopatrzoną apteczkę.

Czuję się trochę głupio. Jak często ludzie bywają atakowani przez dzikie stworzenia? Jestem całkowitym przeciwieństwem Królowy Śnieżki.

— Pewnie nic by mi się nie stało, gdybym nie zaczęła się drzeć i nie rzuciła biedaczką o ścianę — próbuję się wytłumaczyć. — Trochę mnie przestraszyła.

Peter patrzy na mnie z uśmiechem.

— Prawda. Usłyszałem, jak krzyczysz, aż na dole. Zanim otworzyłem drzwi, byłem przekonany, że ktoś próbuje cię zamordować, ale potem zobaczyłem, jak wykonujesz rzut wiewiórką. — Znowu zaczyna się śmiać. — Przed oczami staje mi scena z *Psychozy*, tyle tylko, że Norman Bates jest wiewiórką. Lepiej na siebie uważaj — kiedy wydostanie się z tej restauracji, zawoła swoich kumpli. — Peter próbuje się nie śmiać, ale cały aż się trzęsie.

Uśmiecham się szeroko. Wiewiórka Norman z małym nożem wyglądałaby zabawnie.

— Palant!

— Nie ruszaj się. Będzie trochę piekło.

— Na serio... — urywam i klnę pod nosem. — Co to, do cholery, jest? Kwas? — Wyszarpuję mu ramię. Skóra pali mnie żywym ogniem.

Peter sięga znowu po moją rękę i przyciąga ją do siebie z powrotem.

— Spokojnie. — Podnosi buteleczkę jakiegoś specyfiku i polewa nim moje ramię; płyn spływa po nim i wsiąka w podłożony pod nie ręcznik, a Peter powtarza całą operację jeszcze raz. Sztywnieję i zaciskam zęby — tym razem jestem przygotowana na pieczenie. Na pieczenie tak, ale prawie spadam ze stołka, kiedy Peter pochyla głowę i dmucha na pieniające się ranki. Ściąga usta i dmucha na nie tak delikatnie... Pieczenie ustaje, a podmuchy powietrza cudownie chłodzą moją skórę. Przystaję zaciskać szczęki — wciąż jestem jak sparaliżowana, ale teraz powód jest inny. Peter najwyraźniej nie zdaje sobie sprawy z tego, jak na mnie działa. Uśmiecha się szeroko i zerka na mnie.

Nie, nie, nie! Mam wyraz twarzy zająca oślepionego blaskiem reflektorów. Nie ruszam się, nie myślę, nie mogę oddychać. Oczy Petera ciemnieją — nie odwraca wzroku. Serce zaczyna mi walić jak młotem — tak głośno, że na pewno je słyszy. Nagle dociera do mnie odgłos mojego własnego oddechu — płytkiego, urywanego. Peter wciąż trzyma mnie za nadgarstek, a moje ramię leży na jego kolanie. Zatracam się w jego oczach i czuję, że przyciąga mnie do niego, do jego

ust, jakaś magnetyczna siła. Moja skóra pod jego dotykiem jest jak naelektryzowana — nie zniosę tego dłużej. Prawie się zachłystuję i odwracam wzrok.

Nie mogę tego zrobić.

Nie mogę go pocałować.

Nie powinno mnie tu w ogóle być!

— To powinno wystarczyć — mówi Peter dziwnie chrapliwym głosem. — Opatrzmy jeszcze ranę i ją zakleimy, a potem będziesz mogła wrócić do siebie. — Puszczą mój nadgarstek i wstaje. Przygląda się jakiejś małej buteleczce, ale po nią nie sięga — zamiast tego stoi z zamglonym wzrokiem i oddycha głęboko przez rozchylone wargi. Czuję się jak podglądaczka; puls mi przyspiesza i robi mi się gorąco, ale nie mogę odwrócić wzroku — nie chcę.

Peter przeczesuje wreszcie włosy palcami i sięga po buteleczkę.

— Dzięki temu rany szybciej się zagoją. — Nakłada specyfik na zadrapania. Jego dotyk sprawia, że mam w brzuchu motylki. Przyglądam się, jak delikatnie nakłada maź na ranki. Zaczynam drżeć tak mocno, że mu się wyrywam, a on patrzy na mnie zdziwiony. Otwieram usta, ale nie wiem, co powiedzieć — no bo co niby mam mu powiedzieć? Że jak tylko mnie dotyka, wariuję? Że za każdym razem, kiedy czuję na sobie jego dłonie, oblewa mnie zimny pot? Co, do jasnej i nagłej, jest ze mną nie tak?

Zrywam się ze stołka i próbuję precyzyjnie się obok Petera, ale on odwraca się w ostatniej chwili i nasze ciała ocierają się o siebie. Cały mój kręgosłup przenika lodowaty dreszcz — czuję pierś Petera przyciśniętą do mojej piersi i znów przenika mnie taki dreszcz, że aż mam zawroty głowy. Rozchyłam usta i wzdycham cicho, próbując coś powiedzieć, ale brak mi słów. Staram się zmusić do wyjścia z łazienki — do czegokolwiek — ale zamiast tego stoję tylko i gapię się Peterowi w oczy.

Peter podnosi powoli dłonie — czuję tuż pod łokciami promieniujące od nich ciepło. Wiem, że chce mnie dotknąć — wiem, że bije się z myślami, bo ze mną dzieje się dokładnie to samo. Wiem, że nie powinnam na to pozwolić, ale to silniejsze ode mnie. Pojawia się ogłuszające pulsowanie w moich skroniach i prawie czuję dotyk jego dłoni na moich nagich ramionach... Jego dłonie są tak blisko, a jednak nie dotyka mnie.

Spuszczam wzrok i nie podnoszę go, chociaż czuję na wargach żar spojrzenia Petera. Jeśli teraz popatrzę mu w oczy, nie zdołam się już cofnąć; wszystko zepsuję. Jeżeli wyrzucą mnie z uczelni, będę musiała wrócić do domu, a to oznacza spotkanie z ludźmi, przed którymi uciekłam. Spotkanie z człowiekiem, który mnie wykorzystał — i to niejeden raz.

— Nie mogę... — udaje mi się wykrztusić.

Twarz Petera jest tak blisko! Pochyliła głowę i czuję na wargach jego ciepły

oddech. Rozcapierzam palce, prostuję je i zwijam dłonie w pięści.

Nie dotykaj go — krzyczy coś we mnie. Nie rób tego!

— Wiem — szepcze Peter. Przymykam oczy i czuję, jak ziemia usuwa mi się spod stóp. Tak tu gorąco! Peter jest tak blisko mnie. Otwieram znów oczy i wbijam wzrok w jego pierś. Nie mogę spojrzeć mu w oczy. Nie mogę. — Nie powinniśmy, ale nie mogę dać ci odejść.

Podnoszę na niego wzrok. Och, co za fatalny błąd! W uszach dźwięczą mi ostrzegawcze syreny. Tonę w dwóch sadzawkach nieskazitelnego błękitu i nie potrafię wyjść na brzeg. Zaczerpuję gwałtownie powietrza. Usta Petera są tuż przy moich, a dłonie tuż nad moimi ramionami. Kątem oka widzę, jak otwiera i zamyka nerwowo palce, całkiem jakby walczył z chęcią dotknięcia mnie. Próbuję przełknąć ślinę i oderwać od niego wzrok, ale nie potrafię. Chcę czuć na sobie jego dłonie — chcę ich żaru na swojej skórze, chcę, żeby Peter robił ze mną rzeczy, o których nigdy nie śniłam.

Rozchylam usta — próbuję coś powiedzieć, ale brak mi tchu. Każdy oddech grzęźnie mi w piersi, sprawiając, że potrzebuję więcej powietrza; z każdym oddechem mocniej ocieram się o Petera — muszę przestać oddychać! Myśli mącą mi się od pożądania. Jakaś część mnie błaga o dotyk, o pocałunek — nie zniosę tego dłużej. Tkwię w pułapce. Nie umiem się kontrolować.

Peter ponownie otwiera dłonie i zamyka oczy. Kiedy znowu je otwiera, na jego wargach błąka się smutny uśmiech. Peter zaczyna mówić, a z każdym słowem otwiera przede mną swoje pokiereszowane wnętrze.

— Nigdy nie mam farta. Za każdym razem, kiedy kogoś znajduję, los mi go odbiera. Nie mogę z nikim być i nie mogę tego zmienić. Nic nie przywróci jej życia. Nie cofnę czasu. Nie dostanę drugiej szansy. Straciłem wszystko — straciłem Ginę. Kiedy umarła, przestałem czuć cokolwiek. Od tamtej pory nic się nie zmieniło, jednak kiedy poznałem ciebie... Jesteś mądra i piękna. Wydawało mi się, że przewycięzę samego siebie, ale nie potrafiłem. Nie byłem gotów. Ty byłaś jedyną osobą, która to rozumiała i wiedziała, co czuję. A teraz... — Peter śmieje się gorzko i zamyka znowu oczy. Gdy znów na mnie patrzy, jest wzburzony. Zaczyna mówić dalej, a jego głos staje się coraz bardziej piskliwy. Mówi coraz szybciej, a jego słowa zawierają coraz więcej strachu i bólu. — A teraz, kiedy jestem już gotów... nie mogę! Nie mogę stracić pracy — nie mogę być z tobą, ale nie potrafię żyć bez ciebie. Na Boga, Sidney! Dzisiejszy wieczór był jednym z najlepszych i zarazem najgorszych w moim życiu. Powiedziałaś, że mnie kochasz... Kochasz mnie... — Uśmiecha się smutno i potrząsa głową. — Ja także cię kocham. Przywróciłaś mi do życia. Dzięki tobie znów potrafię się uśmiechać. Jesteś dla mnie wszystkim, ale nie mogę ci tego zrobić...

Gapię się na niego, nie wierząc własnym uszom. Otwieram szeroko oczy i usta. Co takiego? Chyba nie mówi poważnie. Nie, to niemożliwe... A jednak. Peter

powiedział właśnie, że mnie kocha... Ale to nie może być prawda! W jego głosie jest zbyt wiele bólu — nie wiem, o co mu chodzi.

— Że niby czego nie możesz mi zrobić?

— Jesteś tu na stypendium — wyjaśnia. — Wiem, co będzie, jeśli się nie powstrzymam. Nie mogę ci zniszczyć życia...

On mnie kocha! Patrzę mu w oczy i słucham jego głosu, słucham jego wyjaśnień, dlaczego nie posunął się dalej — dlaczego nie chce mnie dotknąć... Kocha mnie...

Tak bardzo się boję, jestem przerażona tym, że mnie odtrąci, a jednak... W ułamku sekundy nabieram dziwnej, głupiej odwagi, działam instynktownie i bezgranicznie nierozważnie — przerywam mu, ujmując jego policzki w dłonie, pochylam się i muskam wargami jego usta. Ma takie cudownie miękkie i słodkie usta!

Gdy go całuję, Peter zamiera. Nie odwzajemnia pocałunku — nie przytula mnie. Jestem taka spięta! Gotowa w każdej chwili uciec. Sądziłam, że mnie obejmie, że odpowie czułością.

Rumienię się, zawstydzona. Odrywam usta od jego ust i spuszczam wzrok.

— Wybacz... — mamroczę. — Nie powinnam była tego robić. Nie powinnam była... — Czuję, że za chwilę się rozplaczę. Próbuję wziąć się w garść, ale nie potrafię, więc przygryzam wargę.

Zanim udaje mi się powiedzieć coś jeszcze, Peter obejmuje mnie mocno — poddaję się temu uściskowi i przywieram do niego całym ciałem. On kieruje mnie ostrożnie do drzwi i opuszcza powoli na podłogę. Tulę się do niego. Rąbek mojej sukienki wędruje niebezpiecznie wysoko, kiedy kładę się i stawiam stopy na podłodze. Nie wiem, do czego dąży Peter. Kładę mu ręce na piersi, ale on się nie cofa. Patrzy mi głęboko w oczy. Nie chcę, żeby mnie tak zostawił. Wzdycha głęboko i przytula mnie mocno. Obejmuje mnie silnymi ramionami i opuszcza wzrok na moje palce wczepione kurczowo w jego pierś.

— Nie chcę, żebyś odeszła...

— Nie zamierzam.

— Nie możemy tego zrobić...

— W takim razie nie zrobimy.

Peter śmieje się gorzko.

— W twoich ustach brzmi to tak prosto! Nie mogę jasno myśleć, kiedy mnie dotykasz. Naprawdę sądzisz, że mam dość samokontroli, żeby się z tobą nie przespać?

Kiwam głową. Rozcapierzam palce na jego piersi — czuję pod nimi jego twarde mięśnie.

— Pali ci się alarmowa lampka — mówię, pocierając kciukiem jego brodawkę.

Peter parska śmiechem.

— Tobie też. — Ale za chwilę wzdycha i chwyta mnie za rękę. — Sidney...

— Peter...

— Jesteś zbyt... Nie wiesz, co tracisz — mówi chrapliwie. Mięśnie i ścięgna na szyi ma napięte jak postronki i zaciska mocno szczękę.

— Doskonale wiem, co tracę. Pamiętam, kto czeka na mnie w domu. — Przesuwam dłońmi po jego piersi na twardy brzuch i dotykam guzika jego koszuli tuż nad paskiem.

Czuję, jak Peter tężeje i wypuszcza gwałtownie powietrze. Gładzi mnie po policzku, a ja wtulam się w jego dłoń i przysmykam oczy. Niespodziewanie Peter odsuwa się ode mnie gwałtownie, jakbym parzyła.

— Sidney, nie mogę. Po prostu... nie. — Wsuwa palce we włosy i odwraca się ode mnie, wstaje i spaceruje w tę i z powrotem po pokoju.

Kiedy na mnie patrzy, wpadam w panikę. Widzę to w jego oczach: odtrąci mnie. Nieruchomieję. Przygotowuję się na najgorsze — na to, że za chwilę Peter otworzy drzwi i wyrzuci mnie z mieszkania, ale tak się nie dzieje. Podchodzi do mnie i ujmuje moją twarz w dłonie. Nie wiem, co chce zrobić — nawrzeszczeć na mnie czy...

Nie pozwala mi nawet skończyć myśli — pochyla się nade mną. Jego usta są tak blisko... Czuję, że walczy sam ze sobą, a przynajmniej jakaś jego część, ale się nie cofa. Nachyla się jeszcze niżej i muska moje usta wargami — to całkiem jak szept pocałunku. Jest bardzo spięty i naprężony. Gdy podnoszę dłonie i próbuję go dotknąć, aż odskakuje. Twarz wykrzywia mu grymas niezdecydowania, a dłonie zaciskają się w pięści. Wygląda, jakby miał ochotę walnąć w ścianę, i odwraca się ode mnie.

Wpadam w szal. Podchodzę do niego i staję za jego plecami — podjęłam decyzję. Nie mogę mu tego zrobić. To go niszczy, a ja czuję przyływ siły, której potrzebuję, żeby odejść — nie mam jej wiele, ale to zawsze coś.

— Peter, już dobrze. Przepraszam. Nie chciałam tego.

Peter ukrywa twarz w dłoniach. Odwraca się powoli w moją stronę i patrzy na mnie.

— Nie mogę ci tego zrobić. Wiem, przez co przeszłaś, żeby tu trafić. Nie mogę cię odesłać do ludzi, którzy ci to zrobili... nie mogę na to pozwolić. Kocham cię, Sidney. — Patrzy mi w oczy, a ja mam wrażenie, że to rozstanie. Ścisza mnie w gardle. Próbuję przełknąć ślinę, ale nie mogę.

— Ja też cię kocham, Peter. — Uśmiecham się do niego smutno i odwracam się, żeby wyjść.

Gdy kładę dłoń na klamce, słyszę:

— Zostań, proszę.

— Co takiego?

— Zostań jeszcze. Nie mogę ci pozwolić tak odejść.

Jestem bliska łez. Nie mogę uwierzyć, że muszę od niego odejść po tym wszystkim, przez co przeszliśmy. Życie jest takie niesprawiedliwe, takie złe! Kocham go, a on kocha mnie — tak rzadko zdarza się znaleźć tę jedyną osobę. Wiem, że zostaliśmy dla siebie stworzeni... a mimo to nie jest nam dane być razem.

Kręcę głową.

— Nie mogę. Wszystko albo nic. Nie mogę być przy tobie i cię nie dotykać. Pytałeś mnie, czy mi się podobasz — tak. Bardzo. Pociągasz mnie. Niesamowicie. Peter, muszę już iść. — Zaciskam usta, wychodzę i zbiegam po schodach. Wdycham głęboko wieczorne powietrze jak topielec, który wypłynął na powierzchnię. Wracam samotnie do położonego dwie przecznice dalej akademika i po drodze rozmyślam o tym, co się wydarzyło.

Oddałabym Peterowi wszystko, co mam, ale co wtedy? On straciłby pracę, ja zostałabym bez pieniędzy i musielibyśmy chyba zamieszkać pod mostem.

Miłość jest... do bani.

Rozdział 20.

Czuję się wypalona i krucha. Podnoszę palce do ust. Wciąż czuję na nich jego pocałunek, jakby był wypalony na moich wargach — tak idealnie dopasowanych do jego ust!

Muszę przestać widywać Petera — dopiero teraz to do mnie dociera. Może już nie będę jego asystentką — może Strictland zadba o to, żebym została przydzielona do kogoś innego?

Myślę o tym, jak będzie wyglądało moje życie bez Petera — kiedy będzie tak blisko mnie, a jednak nie będę mogła z nim rozmawiać ani go dotykać. Och, jak to boli! Czuję się, jakby ktoś wyciął mi nożem serce z piersi. Mam ochotę się skulić i płakać, ale zamiast tego idę przed siebie.

Obok powoli przejeżdża samochód pełen chłopców — na mój widok gwizdzą i pokrzykują. Kiedy wchodzę na teren kampusu, czuję się już lepiej. Dam sobie radę. Idę prosto do akademika. Nasz pokój jest pełen dziewczyn. Na Boga, dlaczego nie mogę pobyc chwilę w samotności? Millie patrzy na mnie znad związanych w kucyki włosów dziewczyn. Siedzą nad miską z niebieskim barwnikiem spożywczym i maczają w nim końcówki kitek. Obok drzwi siedzi na krześle Tia z rękami założonymi na piersiach.

— A ty nie na niebiesko? — pytam ją.

Kręci głową.

— Niece. Bardzo bym chciała, ale musiałabym sobie rozjaśnić włosy, a tego na pewno nie zrobię — pewnie od razu by mi wypadły. — Patrzy na mnie i dostrzega, że mam zapuchnięte oczy. — Co jest? Coś się stało?

Kiwam głową.

— Taa. Nic nowego. Strictland opieprzyła mnie, że się przyjaźnię z Peterem, a potem zaatakowała mnie wiewiórka. Podrapała mi całą rękę. — Tia przygląda mi się nieufnie, pewna, że ją wkręcą, ale potem patrzy na moją rękę.

— O cholera! Mówisz poważnie? — pyta i siada prosto. Kiwam głową, ale Tia nie daje mi szansy na odpowiedź, bo zrywa się z krzesła i wyciąga mnie na korytarz. — Millie jest blondynką i zamierza ufarbować sobie cały łeb, a zanim farba złapie, minie cała wieczność, więc gadaj: co się stało? Dlaczego Strictland cię opieprzyła? — Urywa i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami, kiedy do niej dociera: — Jasna cholera, Peter? Jak doktor Peter Granz? — Potakuję. Tia wciąga mnie do swojego pokoju i zamyka drzwi. — Moja współlokatorka jest u was. Gadaj — dlaczego?

Siadam na jej łóżku ze zwieszoną głową i wrzuszam ramionami.

— Właściwie to nawet nie wiem. Peter to doktor Granz. To długa historia, ale zanim się dowiedziałam, że to nasz nowy wykładowca, prawie się z nim przespałam.

Tii oczy niemal wychodzą z orbit.

— Że co?

— Millie wyciągnęła mnie na randkę w ciemno przy okazji swojej randki z Brentem. Miałam się z nimi spotkać, ale usiadłam przy złym stoliku... — Podnoszę wzrok na Cię — miła z niej dziewczyna. Wcześniej gadałam z nią o głupotach, ale teraz strasznie się denerwuję. — Nie mów o tym nikomu, dobrze? Nie chcę narobić mu problemów.

— Nikomu nie powiem, ale musisz mi opowiedzieć, co się stało! Jakim cudem trafiłaś z nim do łóżka, skoro miałaś się spotkać z kimś innym?

— Tamten koleś był w gorącej wodzie kąpany. Zbierało mu się na amory, więc wyszłam. Na parkingu trafiłam na Petera — zepsuł mu się samochód. Dopiero co przyjechał, był sam, a do tego czarujący i przystojny. Jakoś tak się stało, że pojechaliśmy do niego i coś zaiskrzyło. Było... gorąco, jednak zanim doszło do czegoś poważniejszego, rozdzwonił się telefon i wyszłam. Następnego dnia rano okazało się, że Peter to nasz nowy wykładowca.

— Jasny gwint! — Tia tupie z podekscytowania. — I co teraz?

— Po zajęciach poszliśmy na kolację. Nic między nami nie było, ale pojawiła się Strickland i usiadła z nami, a potem postawiła nam coś w stylu ultimatum: jeżeli będziemy się dalej spotykać, Peter straci pracę, a ja zostanę wyrzucona z uczelni. Mam stypendium, więc nie mogę powtarzać zajęć, a do tego nie mam kasy — i ona o tym wie.

Tia siedzi na brzegu łóżka z dłońmi przy ustach.

— O mój Boże! Ale, ale — czy nie mówiłaś, że nic między wami nie było?

— Bo nic nie było. Chociaż nasza znajomość dziwnie się zaczęła, przyjaźniliśmy się, ale... — Wzdycham i skubię nerwowo kucyk.

— Ale teraz to coś więcej?

— Taa, jak jasna cholera. Kurczę, Tia... To takie pokręcone! Nie mogę ci tego powiedzieć. — Sznuruję usta. Mam ochotę w coś przywalić. — Nie chodzi nawet o to, że nie będę mogła się spotykać z najlepszym przyjacielem — chociaż tak będzie... To coś znacznie gorszego. — Serce mi się kraje.

— A Peter... Pojechaliśmy do niego opatrzyć mi rękę. — Wskazuję zadrapania. — I pocałowałam go. Powiedział, że nie może tego zrobić, ale mnie kocha...

Tia zaczerpuje głośno tchu.

— O rany! A czy ty go kochasz? — Kiedy podnoszę na nią wzrok, zamiera, a gdy milczę, uderza dłońmi w łóżko i piszczy. Widocznie odpowiedź mam wypisaną na twarzy, bo woła: — O Boże, to takie romantyczne! Kochasz go, ale nie możecie być razem! Co zrobicie?

Wzruszam ramionami.

— Nic. Co możemy zrobić? Nie mogę pozwolić, żeby narażał dla mnie

swoją karierę, a ja muszę ukończyć studia. Nie mogę tego spieprzyć i wrócić do domu. — Ukrywam twarz w dłoniach i trę policzki. Mam wrażenie, że mój świat legł w gruzach. Czuję się taka mała i krucha!

— Nigdy nie słyszałam, żebyś tak przeklinała.

— Bo nie miałam powodu. Nie wiem, co robić. Powinna trzymać się od niego z daleka, ale nie potrafię. — Śmieję się gorzko i obejmuję się ramionami w pasie. Nie potrafię się pozbyć tego głupiego dławienia w gardle. Wbijam wzrok w podłogę.

Nieproszone, powracają wspomnienia.

— Pierwszy raz powiedziałam komuś, że go kocham — pierwszy raz naprawdę — i musiało się stać coś takiego. Nie jesteśmy już nawet przyjaciółmi — nie możemy się przyjaźnić. Nie mam pojęcia, jak sobie z tym poradzić. — Przyciskam dłonie do skroni i zanurzam palce we włosy.

Dzisiejszy dzień zapowiadał się tak wspaniale! Nie mogę uwierzyć, że to się wydarzyło. Tak, powinna była to przewidzieć, ale tak się nie stało. Nie wiem, dlaczego zakochałam się w Peterze — nie byłam tego w ogóle świadoma, aż do dziś. To takie głupie! Jak mogłam się tego nie domyślić? Tym bardziej że wszyscy zwracali mi na to uwagę.

— O Boże! — jęczę, ukrywając twarz w dłoniach. — Co mam robić? — pytam Cię, podnosząc na nią wzrok.

Tia patrzy na mnie ze współczuciem.

— Jedyłą rzeczą — mówi — którą możesz zrobić, jest trzymać się z dala od Petera i szukać ukojenia w czekoladzie.

Rozdział 21.

Kolejne kilka tygodni mija boleśnie powoli. W nocy gapię się w sufit — nie mogę spać. Czuję się, jakby ktoś odrąbał mi ręce — mam bóle fantomowe. Och, i na dodatek te koszmary! Myślami błędzę daleko i widzę Petera potrąconego przez samochód, spadającego z klifu albo postrzelonego w pierś. Za każdym razem jest tak samo — wiem, co się wydarzy na kilka chwil wcześniej. Biegnę do niego, krzyżąc z całych sił, ale on mnie nie słyszy. Nigdy nie udaje mi się dobiec na czas ani zwrócić na siebie jego uwagi — zawsze docieram do niego ułamki sekundy za późno. Nie ma czasu na pożegnania — Peter odchodzi.

Którejś nocy sen jest taki realistyczny! Peter uśmiecha się do mnie, mówi coś. Robi krok w tył, nie przestając się uśmiechać. Ziemia pod jego stopami jest spękana i twarda — glina kruszy się, ale Peter nie ogląda się za siebie. Parking, na którym stoimy, zmienia się w bezkresne pole spękanej czerwonej gliny. Całkiem jakby Peter stąpał po cienkim lodzie. Wołam do niego, błagam, żeby wrócił, ale on mnie nie słyszy. Ziemia pod jego stopami zapada się nagle i Peter spada. Pędzę w jego stronę, ku wielkiej rozpadlinie w ziemi i upadam przy niej na kolana — w samą porę, żeby poczuć muśnięcie koniuszków jego palców. Krzyżę — tak głośno, że wybudzam się ze snu. Siadam na łóżku cała mokra od potu. Prześcieradło lepi mi się do skóry. Próbuję się oswobodzić ze zmiętej pościeli. Millie wstaje i zapala światło. Przyciskam dłonie do piersi i powtarzam sobie raz po raz, że to tylko sen, że Peter żyje i nic mu nie jest, ale koszmar był taki realistyczny, że chce mi się płakać.

Millie stoi z miotłą w ręku, jakby zamierzała zaatakować intruza. Kiedy widzi, że nie ma tu nikogo oprócz nas, opuszcza miotłę.

— Wszystko w porządku? — pyta, przecierając oczy. Bierze głęboki wdech.

Kiwam głową, ale cała aż się trzęsę. Nie mogę wykrztusić słowa. Czego tak się boję? Ten koszmar był taki głupi! Ziemia nie połyka ludzi, ale sen był taki prawdziwy! Nie potrafię się otrząsnąć. Odkrywam koc, idę do szafy, wyciągam dres i ubieram się.

Millie przygląda mi się podejrzliwie.

— Gdzie się wybierasz? Jest czwarta rano! Chyba nie zamierzasz o tej porze biegać?

— Muszę. — Tylko tyle udaje mi się wykrztusić.

— Sidney, zaczekaj. Pójdę z tobą. — Millie jest ledwie przytomna. Wygląda, jakby zasypiała na stojąco.

— Nie, nic mi nie jest. Wracaj do łóżka.

— Nie mogę. Coś cię trapi, a odkąd spotykam się z Brentem, zaniedbałam cię. Daj mi chwilę. Idę z tobą. — Mruga powoli i odwraca się w stronę szafy. Jestem już ubrana i zakładam tenisówki.

Zawiązuję drugi but i mówię:

— Wolałabym pobiegać sama. Naprawdę, Millie — idź spać. Wezmę gaz pieprzowy, żebyś się nie martwiła.

Millie ziewa z jedną nogawką dresu naciągniętą na nogę i patrzy na mnie.

— No dobra, ale tylko pod warunkiem, że będziesz biegała na terenie kampusu — nie wychodź na zewnątrz. Poćwicz na siłowni czy coś. Obiecujesz?

Kiwam głową.

— Jasne. Do zobaczenia na lunchu.

Zamykam za sobą drzwi, zbiegam po schodach i wychodzę w zimne poranne powietrze. Oddycham głęboko i przypominam sobie, co jest prawdziwe, a co nie. Sny nie są prawdziwe. Peter żyje. Wiem, co znaczą te koszmary, skąd się biorą. Odebrano mi Petera i nie mogę nic na to poradzić — zniknął z mojego życia. Czuję się, jakby był martwy, ale jego duch prześladowuje mnie codziennie na zajęciach angielskiego.

Dzień po tym, jak Strickland spotkała nas na kolacji, usunęła mnie ze stanowiska jego asystentki i zastąpiła swoim asystentem. Teraz ja pracuję z nią. Ludzie przestali plotkować — nikt już nic nie gada.

Zaczynam biec — coraz szybciej, moje stopy mocno uderzają o ziemię. Płuca mnie palą, jakby brakowało mi powietrza. Kucyk podskakuje rytmicznie, omiatając mi kark. Chcę zmęczyć się tak bardzo, żeby skręcało mnie z bólu. Chcę poczuć coś, co znam, z czym potrafię sobie poradzić, bo nie umiem radzić sobie z tym, co czuję — to nie to samo co inne koszmary. Tamte mnie przerażały, bo ktoś chciał mnie zranić, a te są inne. Nikt nie próbuje mnie skrzywdzić, a jednak czuję się, jakby ktoś szarpał mi wnętrzności. To całkiem, jakbym traciła Petera raz po raz, noc w noc. Kiedy to się skończy? Wiem, że nic mu nie jest, że żyje, więc dlaczego mój mózg oplakuje jego stratę, jakby Peter nie żył? Nie zniosę tego dłużej. Mam ochotę krzyczeć.

Przyspieszam, stawiam coraz dłuższe kroki. Pracuję rękami i pędzę tak szybko, jak potrafię, do siłowni na drugim końcu kampusu. Kiedy tam docieram, brakuje mi tchu i bolą mnie płuca.

Przesuwam kartą przez czytnik i wchodzę do środka. Wspieram ręce na biodrach i zaczerpuję głęboko tchu. Stoję tak przez chwilę w pogrążonym w mroku korytarzu, próbując złapać oddech.

Kiedy dochodzę do siebie, idę na salę. O tej porze nie spodziewam się tu nikogo zastać. Korytarze są puste i ciemne. Otwieram drzwi kartą. Idę do bieżni, włączam ją i podkręcam prędkość na maksa. Daję z siebie wszystko — biegnę najszybciej, jak potrafię.

Kilka chwil później zapominam się i skupiam wyłącznie na biegu. Słyszę tylko bicie własnego serca i własny oddech... dlatego kiedy nagle z zamyślenia wyrывa mnie czyjś głos, prawie dostaję zawału.

— Sidney? — To Mark. Wydaję z siebie okrzyk, płaczą mi się nogi i się potykam. Efekt jest natychmiastowy: upadam i sunę na taśmie bieżni wprost na ścianę, w którą uderzam plecami. — Cholera! — Mark wciska guzik wyłączający bieżnię i maszyna się zatrzymuje — w samą porę. Jeszcze chwila i wciągnęłoby mi pod taśmę buty. Mark klęka koło mnie na podłodze. — Sidney, tak bardzo cię przepraszam! Nic ci nie jest? Żyjesz?

Zaczynam się śmiać tym głupim, histerycznym śmiechem, który sprawia, że ludzie czują się naprawdę nieswojo, ale nie mogę przestać. Mark wciąż klęczy koło mnie. Rozgląda się dookoła i mamrocze:

— No, ładnie, przeze mnie uszkodziłaś sobie głowę. — Przeczesuje włosy palcami i dotyka mojego ramienia. — Wszystko w porządku? Brzmisz, jakbyś lekko ześwirowała.

Biorę głęboki wdech i patrzę na niego.

— Jestem odrobinę świrnięta. Kto normalny przychodzi tu o czwartej nad ranem? A skoro ty także tu siedziałeś po ciemku, zakładam, że też nie masz do końca równo pod sufitem.

Mark wygląda na urażonego.

— Wcale nie siedziałem! Byłem w sali z ciężarami, kiedy usłyszałem, że ktoś wchodzi, więc przyszedłem zobaczyć, kto to. Zawołałem cię po imieniu, a ty upadłaś na tyłek i rąbnęłaś w ścianę.

Znowu się śmieję i dociera do mnie, że mój śmiech naprawdę brzmi histerycznie — i że jestem potwornie zmęczona. Pocieram twarz dłońmi i wzdycham.

— Wierz mi, zdarzały mi się dziwniejsze rzeczy. — Kiedy patrzę na swoją dłoń, widzę krew. — Szlag, rozcięłam sobie twarz?

Mark się podnosi, podaje mi rękę i pomaga mi wstać.

— Nieee, to tylko lekkie zadrapanie na policzku.

Dotykam skaleczenia palcem i podchodzę do lustra. Nie jest źle, ale wyglądam jak straszidło — włosy mam skołtunione i roztrzepane — przed wyjściem nawet się nie uczesałam, po prostu spięłam je w kucyk. Mam cienie pod oczami i wyglądam jak półtora nieszczęścia.

Kiedy Mark podaje mi chusteczkę, taką z materiału, patrzę na niego, zaskoczona.

— Nie martw się, nie jest używana.

— Dzięki — mówię. — I wcale nie posądzałam cię o to, że jest używana. — Biorę bawełnianą chusteczkę i moczę ją pod kranem, a potem obmywam policzek. — Nawet nie wiem, czym się tak pokiereszowałam.

Mark wskazuje mój nadgarstek.

— Twój zegarek. Kiedy upadłaś, próbowałaś odruchowo osłonić twarz ręką. To pewnie o niego się skaleczyłaś.

Patrzę na zegarek, a potem na niego.

— No to... co tu robisz o tak barbarzyńskiej porze? — pytam go. Nie podoba mi się, że tak się na mnie gapi. Zerkam na niego z ukosa. — Zawsze tu pakujesz o czwartej nad ranem?

Mark zakłada ręce za plecami i kręci głową.

— Nie, zazwyczaj przychodzę tu o piątej, ale dzisiaj byłem trochę wcześniej. A skoro już o tym mowa, to, cóż, może i jestem trochę dziwny — potrzebuję tylko czterech godzin snu.

Ocieram policzek i zezuję na niego z zazdrością.

— Serio?

— Ta-ak, to chyba geny, bo moja mama ma tak samo. Przez długi czas sądzili, że mam ADHD, ale okazało się, że to nie to. Nie muszę spać osiem godzin, żeby być wypoczętym. Cztery albo pięć w zupełności mi wystarczy. Mogę siedzieć do późna, a potem zerwać się o świcie. A że w akademiku nie mam nic do roboty, z kolei mój współlokator zabiłby mnie, gdybym go obudził, zazwyczaj przychodzę tutaj. — Mark opiera się o ścianę i przygląda się mi. Jest dużo młodszy od Petera, mniej więcej w moim wieku — to z kimś takim powinnam być. Jest normalny, miły i nie jest moim nauczycielem.

Patrzę na niego zbyt długo, zastanawiając się, co by było, gdybyśmy wpadli na siebie na początku semestru — gdyby wtedy w restauracji przy stoliku siedział Mark, a nie Peter. Jak wówczas wszystko by się potoczyło? Jak daleko byśmy się posunęli? Czy przespaliłyśmy się ze sobą? Czasami mi się zdaje, że seks może wszystko naprawić. To przez niego wszystko w moim życiu się schrzaniło, więc taki wniosek wydaje się w pewnym sensie logiczny.

Tracę poczucie czasu.

Mark uśmiecha się nerwowo i rozgląda, jakby chciał, żebyśmy przestała się na niego gapić.

— Ee, Sidney? Czyżbym uśpił cię swoją nudną opowieścią?

Mrugam nieprzytomnie i uśmiecham się do niego. Jest taki miły, a ja czuję się tak podle!

— Nie, wcale nie jesteś nudny. Uśmiecha się radośnie.

— Naprawdę tak uważasz?

Kiwam głową.

— Gdyby ktoś inny nie skradł mi serca, pewnie skoczyłabym za tobą w ogień.

— Ech, zawsze to samo. — Mark zagląda mi w oczy, a potem podnosi rękę i dotyka delikatnie mojego ramienia. To gest pocieszenia. — Domyślam się, że to właśnie ten ktoś jest powodem, dla którego przyszedłeś tu o tak nieludzkiej porze?

Kiwam powoli głową. Moje myśli ogarnia chaos. Nie wiem, czego chcę. Nie

wiem, jak zagłuszyć ból, który mnie trawi. Patrzę na usta Marka i powoli coś we mnie pęka. Czuję gdzieś w głębi serca, jak budzi się stary nawyk, który miałam, zanim poznałam Petera.

Mark nie ma na sobie koszulki. Jego tors pokrywa warstewka potu; włosy ma wilgotne, w nieładzie. Słyszę swój oddech, patrzę na jego usta i dociera do mnie, że jesteśmy zbyt blisko siebie. Mark przesuwając dłoń z ramienia na mój policzek. Wsuwa mi kosmyk roztrzepanych włosów za ucho i uśmiecha się do mnie smutno.

— Nie jestem zastępczym facetem, Sidney. Kiedy się angażuję, to bez reszty, a ty bardzo mi się podobasz i trudno mi się powstrzymać przed pocałowaniem cię teraz, ale... nie mogę — spuszcza wzrok i wbija go w podłogę. Bierze mnie za rękę i gładzi je lekko opuszkami kciuków. Bierze głęboki wdech i dodaje: — Wybaczysz mi?

W normalnych okolicznościach spiekląbym raka, ale dzisiaj kiwam tylko głową i wpatruję się w nasze dłonie.

— Jak wyleczyć złamane serce? — pytam cicho. — Wszyscy doradzają seks, ale ja nie potrafię... — Wzdycham głęboko i patrzę mu w oczy.

— Kilka razy się sparzyłem, więc nic ci nie poradzę. — Przechyliła głowę na bok i uśmiecha się do mnie, ale nie patrzy mi w oczy. — To wcale nie takie proste. Nic nie koi bólu ot tak. Ból nie znika tylko dlatego, że jesteś gotowa go przetrwać. Na to potrzeba czasu. Kiedyś to nie będzie tak bolało — pewnego dnia poznasz kogoś, kto sprawi, że zapomnisz o tamtym. Będziesz gotowa zacząć od nowa, twoje serce będzie na to gotowe. Daj mu na to czas, Sidney.

Kiwam głową i oswobadzam rękę z jego uścisku.

— Dlaczego jesteś dla mnie taki miły?

— Czy to nie oczywiste?

Kręcę głową.

— Jesteś śliczna, odważna. Podobasz mi się. — Mark wygląda na lekko zawstydzonego własną śmiałością.

Uśmiecham się do niego. Dziwnie się czuję i mija chwila, nim dociera do mnie dlaczego — nie uśmiechałam się od bardzo dawna.

— Nie wiedziałam.

— No cóż, nie jestem zbyt śmiały. — Uśmiecha się krzywo i uderza mnie żartobliwie w ramię. — Masz ochotę się pościgać czy coś? Domyślam się, że przysłałaś tu pobiegać. Idę o zakład, że ze mną nie masz szans.

Wyglądam przez okno na bieżnię i kiwam głową.

— Czemu nie?

Przez następną godzinę biegam z Markiem — dopóki nie palą mnie żywym ogniem wszystkie mięśnie. Kładę się na materacu i leżę, łapiąc oddech, a on siedzi obok mnie. Milczymy, ale to nie jest niezręczna cisza — wygląda na to, że

znalazłam w Marku nowego przyjaciela.

Rozdział 22.

Nadal jestem zmuszona widywać Petera raz w tygodniu — bardzo żałuję, że nie mogę przenieść się do innej grupy. Jediną możliwością jest opuszczanie zajęć, ale wówczas nie mogłabym ich powtarzać, bo straciłabym stypendium. Semestr trwał już zbyt długo, kiedy Strickland nas rozdzieliła; cieszę się, że w ogóle nie wyrzuciła mnie ze studiów.

Peter stoi na przedzie sali. Nie patrzę na niego, tylko go słucham, wlepiając wzrok w notepada. Jestem na nogach już sporo czasu. Mam wrażenie, że to wczoraj byliśmy z Markiem na siłowni, chociaż minęło dopiero kilkanaście godzin. Dotykam twarzy i wyczuwam zadrapanie na policzku. Zgadza się, to było dziś. Nadal nie mogę uwierzyć, że przewróciłam się na bieżni — komu przydarza się coś takiego?

— Panno Colleli? — słyszę głos Petera. Mam niejasne wrażenie, że to nie pierwszy raz mnie wywołuje.

Podnoszę wzrok. Wszyscy się na mnie gapią.

— Przepraszam. O co chodzi?

Peter zatrzymuje wzrok na moim rozciętym policzku i ściąga brwi.

— Wiersz na początku książki... — Kiedy widzi, że nadal nie wiem, o czym mówi, dodaje: — Na początku *Człowieka, który był czwartkiem* jest wiersz. Jak myślisz, o czym on jest? Czy do niej pasuje? — Peter stoi przez chwilę obok, a potem wraca do biurka i krzyżuje ręce na piersiach.

Dlaczego mnie zagadnął? Mam ochotę zapaść się pod ziemię i umrzeć. Nie mam pojęcia, co powiedzieć.

— Sprawia, że mam ochotę... kupić cylinder.

Kilka osób z grupy chichocze, a ktoś rzuca:

— Stuknięta!

Odwracam się i pokazuję mu podniesiony kciuk. Jestem stuknięta i jestem z tego dumna — pogódź się z tym.

Peter patrzy na mnie z rozczarowaną miną. Nie prosi, żebym rozwinęła myśl — zamiast tego wywołuje jakiegoś mądralę, który mówi, że nie jest takim gejem, żeby sądzić, że wiersz jest o kapeluszach. Peter ściska grzbiet nosa i patrzy na zegarek — już prawie dziewięta.

— Skoro nikt nie wie, o czym, do cholery, jest ten wiersz, w przyszłym tygodniu będziecie musieli oddać pracę z podaniem źródeł opinii — trzech; cztery strony, podwójna interlinia plus wasza własna interpretacja utworu. Jeżeli zgodzicie się z recenzją, wyjaśnijcie dlaczego. Koniec zajęć. — Wszyscy jęczą i wychodzą szybko z sali, a ja ruszam się jak mucha w smole. Czuję się taka zmęczona! Nie pamiętam w ogóle, czy coś dziś jadłam. Chyba nie. Myślę o tym, że muszę coś przegryźć, i zbieram książki. Kiedy wstaję i idę do drzwi, w sali nie ma

już nikogo poza Peterem siedzącym za biurkiem.

— Co ci się stało w twarz, Colleli? — pyta.

Podnoszę brew i patrzę na niego.

— Kiepski komplement, doktorze Granz. — Kiwam na niego palcem i czuję się przy tym jak idiotka.

Peter wstaje i idzie w moją stronę.

— Co z tobą? Wiesz, że masz tak kiepskie stopnie, że możesz oblać? Mając Strickland na karku, nie mogę cię podciągnąć, jeśli nie zapracujesz uczciwie na ocenę.

Nie wiedziałam o tym! Cała sztywnieję.

— Nie chcę, żebyś mnie podciągał.

— W takim razie co ty, do licha, wyprawiasz? Nie umiem cię rozgryźć. Chcesz skończyć ten przedmiot, prawda?

— Chciałam go skończyć, kiedy uczył go Tadwick.

Peter gwałtownie szarpie głową. Może powiedziałam to zbyt szorstko? — przychodzi mi do głowy zbyt późno.

— Nie chciałam...

Podnosi dłonie do góry i cofa się w stronę biurka.

— Wiem, co masz na myśli. W porządku. — Masuje kark i wzdycha.

Unikam patrzenia w jego stronę, ale kiedy odwraca się bokiem, zerkam na niego ukradkiem. Patrzy w dół spod na wpół opuszczonych powiek, ze zwieszonymi ramionami, całkiem jakby przytłaczał go jakiś niewidoczny ciężar. Ma podkrążone oczy — tak samo jak ja. Nie uśmiecha się już. Wygląda na wyczerpanego i jest w nim jakiś smutek, który aż od niego bije. Wygląda... nieskończenie żałośnie.

Wyczuwa widocznie, że na niego patrzę, bo podnosi wzrok. Nasze spojrzenia się krzyżują i natychmiast tego żałuję. W żołądku czuję chłód; mam wrażenie, że za chwilę umrę. Brakuje mi powietrza. Od naszej ostatniej rozmowy minęły tygodnie, ale nic się nie zmieniło.

Peter pierwszy odwraca wzrok.

— Lepiej już pójdę — mówi cicho.

Zanim dociera do mnie, co robię, pytam go:

— Żałujesz?

Patrzy mi w oczy, głęboko.

— Bo ja tak. Żałuję tak bardzo... Gdybym tylko mogła cofnąć czas i wszystko zacząć od nowa... Nie mogę patrzeć, jak się męczysz; nie mogę się z tym tak męczyć. Gdybym nie usiadła wtedy przy twoim stoliku...

— Gdybyś nie usiadła wtedy przy moim stoliku — wchodzi mi w słowo — nigdy bym się nie dowiedział, że mogę być jeszcze kiedyś szczęśliwy. Nie, nie żałuję. Nie żałuję ani chwili. — Otwiera usta, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze,

ale zmienia zdanie.

Kiwam powoli głową i zbieram w milczeniu książki. Z jednej z nich wypada list; ląduje u stóp Petera. On schyla się i podnosi go z podłogi. Nasze spojrzenia ponownie się krzyżują.

— To od twojego brata?

Potakuję.

— Nie miałaś go przypadkiem wyrzucić?

— Wyrzuciłam. Przysłał drugi... a potem jeszcze jeden.

— Żadnego nie
otworzyłaś? Kręcę głową.

— Nie — mówię ledwo słyszalnym głosem. — Dla mnie oni wszyscy są martwi. Weź go. Wyrzuć go. Zrób z nim, co chcesz. Nie chcę go więcej oglądać.

— Idę do drzwi. Czuję na plecach wzrok Petera. Wiem, że chce coś powiedzieć, ale mu na to nie pozwalam — wychodzę z sali i idę korytarzem do schodów. Nikt ich nie używa. Na dół prowadzi ponad sto stopni. Opieram się plecami o kolumnę i zsuwam się po niej w dół.

Siedzę długo w ciemności. Wokół podłogę zalewają plamy światła, ale ja jestem w cieniu — nikt mnie nie widzi.

Martwię się tymi listami od Sama. Jako dzieci byliśmy sobie bardzo bliscy — mój brat troszczył się o mnie i opiekował się mną. Bawiłam się z jego przyjaciółmi, a on pilnował, żeby nie stała mi się żadna krzywda. Byłam jego młodszą siostrzyczką — chociaż jesteśmy bliźniakami. „Urodziłem się pierwszy”, mówił zawsze, „więc jesteś moją młodszą siostrą”. Chyba podobało mu się bycie starszym bratem. Dzięki temu czuł się ważny.

Wszystko zmieniło się jednak, kiedy opowiedziałam mu o Deanie. Spodziewałam się, że stanie w mojej obronie, ale tak się nie stało. Powiedział, że to ja sprowokowałam Deana i że sam widział, jak się przy nim zachowuję. Wracają wspomnienia, jedno po drugim — kiedy raz zakradną się do moich myśli, nie przestają napływać.

„Dean nic ci nie zrobił”, mówili. „Dean to miły, dobry chłopiec”. Przed oczami stają mi znowu moi rodzice i Sam, jak żywi, powtarzający w kółko te same słowa.

Mam ochotę krzyczeć: a co ze mną?! Zmusił mnie do tego siłą, obezwładnił mnie! „Dean nigdy by czegoś takiego nie zrobił”, upierali się. Boże, nigdy w życiu nie czułam się taka zdradzona, zawiedziona.

Jednak najgorsze nadeszło dopiero wtedy, kiedy opowiedziałam o wszystkim Samowi.

Nigdy nie pozwalam tym wspomnieniom wrócić. Są jak demony, które odzierają mnie z każdego strzępka radości, dopóki całkiem mi jej nie odbiorą. Trzymam je z dala od siebie, ale słyszę ich szepty. Tamte słowa otwierają rany,

które nigdy na dobre się nie zbliżniły. Szumi mi w uszach. Muszę zmusić demony, żeby odeszły, powstrzymać je. Podciągam kolana pod brodę i opieram na nich czoło. Obejmuję nogi ramionami i zwijam się w kłębek. Przymykam oczy, licząc na to, że wszystko minie... bo inaczej oszaleję.

Słyszę, jak drzwi za moimi plecami się otwierają, ale nie podnoszę głowy. Ktokolwiek to jest, zejdzie na dół i nawet mnie nie zauważy. Słyszę kroki, które jednak zatrzymują się w pobliżu. Zerkam znad ramienia i widzę lakierki. To Peter. Siada koło mnie. Ukrywam znów twarz na kolanach. Nie chcę z nim rozmawiać.

— Kiepsko wyglądasz — zagaduje.

— Bo czuję się kiepsko — mamroczę w kolana.

— Ja też. — Bierze głęboki wdech i otacza moje plecy ramieniem, przyciąga mnie do siebie, a ja obejmuję go w pasie. Przywieram do niego całym ciałem, wiedząc, że nie powinnam. Kiedy zabiera rękę, czuję się, jakby ktoś wydarł mi z piersi serce.

Podnoszę się z podłogi i przystaję na szczycie schodów.

— Nie mogę, Peter. Nie mogę być przy tobie — to mnie zabija. Nie mam pojęcia, jak o tobie zapomnieć. Nie mogę... — Chcę odejść, ale on łapie mnie za rękę. Zamieram. Uwielbiam to uczucie i jednocześnie go nienawidzę. Chcę, żeby mnie objął — chcę, żebyśmy znowu byli przyjaciółmi.

— Muszę ci coś powiedzieć. — Przyciąga mnie do siebie i wyjmuję mi z rąk książki. Kładzie je obok na podłodze, ujmuje moją twarz w dłonie, tak że czuję na policzkach jego oddech. Sprawia, że kręci mi się w głowie, czuję się jak upojona. Chcę poczuć na wargach jego usta — tęsknię za nim tak bardzo, że w oczach stają mi łzy.

Ujmuję jego ręce i próbuję je od siebie odsunąć.

— Peter, nie... proszę, nie mogę. — Ledwie nad sobą panuję. Czuję, jak narasta we mnie coraz większy żal — mam wrażenie, że za chwilę mnie przytłoczy. Dotyk Petera mnie niszczy. Wpadam w panikę. Próbuję go odepchnąć, ale nie pozwala mi na to. Płaczę. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale teraz czuję, jak po policzkach spływają mi łzy.

Peter ociera je delikatnie kciukami.

— Nie płacz — mówi. Pochyla głowę i scałowuje mokre ślady. Nieruchomieję. Wciąż zaciskam dłonie na jego rękach, ale nie próbuję go już odepchnąć. Zaczerpuję gwałtownie tchu, a on nie przestaje mnie całować — składa subtelne pocałunki na moich policzkach, osuszając łzy, a potem podnosi delikatnie mój podbródek, zmuszając mnie, żebym spojrzała mu w oczy. — Mam nadzieję, że mi wybaczysz, ale zrobiłem coś bardzo, bardzo głupiego. — Kącik jego ust drga w uśmiechu, ale w jego oczach maluje się niepewność. — Złożyłem rezygnację. Nie mogę tak dłużej. Za każdym razem, gdy cię widzę, czuję się, jakby ktoś kroił mi serce na milion kawałków. Nie mogę jeść, nie śpię. To nie jest zauroczenie. To

nigdy nie było zauroczenie. Kocham cię, Sidney. Zbyt długo zwlekałem z wyznaniem ci tego. Zbyt długo biłem się z myślami, ale teraz już wiem — kocham cię.

Otwieram szeroko usta.

— Chcesz odejść? — pytam z niedowierzaniem.

Kiwa głową. Podnoszę wysoko brwi i milczę, oszołomiona. Kiedy wreszcie odzyskuję mowę, z moich ust wydiera się piskliwy śmiech. Zarzucam mu ręce na szyję i przyciągam go do siebie, a on obejmuje mnie mocno i podnosi do góry; obraca raz i drugi wokół siebie, a ja krzyczę i śmieję się w głos.

— Nie! Nie możesz tego zrobić!

Kiedy Peter stawia mnie na ziemię, uśmiecha się do mnie.

— Już za późno. Napisałem rezygnację i wsunąłem Strickland pod drzwi.

Odwracam się i kieruję w stronę drzwi. Muszę wyjąć to pismo! Jestem taka szczęśliwa, że wybrał mnie... ale nie mogę mu na to pozwolić.

Kiedy próbuję wyjść, Peter chwytą mnie za ramię. W żołądku czuję przenikliwy chłód. To się nie dzieje naprawdę! — myślę gorączkowo. Puls mi przyspiesza. Nie mogę Peterowi na to pozwolić!

— Sidney, jej biuro jest zamknięte. Podjąłem decyzję i nie chcę jej cofnąć.

— Milknie na chwilę, a potem puszcza moje ramię. Wciąż czuję na sobie jego dotyk. Zasycha mi w gardle. Czas mija powoli, jak w zwolnionym tempie. Peter otwiera usta, żeby coś powiedzieć — w tym samym momencie co ja, ale żadne z nas się nie odzywa. Mam gęsią skórę, która nie chce przejść. Rozcieram ramiona, starając się odsunąć od siebie uczucie paniki, ale ono nie odpuszcza.

Jestem bezgranicznie przerażona — i to nie jest zwykły strach przed potworem spod łóżka. Na szyi czuję niewidzialne ręce, które sprawiają, że nie mogę przełknąć śliny. Usta mam zatkane niewidocznym kneblem, przez który nie mogę oddychać. W serce wbija mi się niewidzialny nóż, który sprawia, że przestaje ono bić. Nie śmiem podnieść wzroku — nie mogę spojrzeć Peterowi w oczy. Strach i radość walczą we mnie o lepsze. Nie mogę wykrztusić słowa. Wykręcam nerwowo palce — tak mocno, że lada chwila je sobie połamię.

Peter pochyla głowę i wsuwa ręce do kieszeni. Próbuje oddychać głęboko, ale jego oddech jest nierówny, urywany. Zastanawiam się, czy denerwuje się tak samo jak ja. To jedna z tych chwil, kiedy wszystko zależy od twojej decyzji — skrzyżowanie, na którym jeden nieostrożny ruch ma nieuchronne konsekwencje. Już raz wybrałam złą drogę — i niemal przyplącałam to życiem.

Wpatruję się w drzwi za plecami Petera — nie mogę mu na to pozwolić. Na myśl o tym, co zrobił, w piersi narasta mi nieznośny ból. Porzucił dla mnie wszystko... Rozchyłam wargi, chcąc coś powiedzieć, ale Peter wchodzi mi w słowo:

— Już za późno na cofnięcie „kocham cię” — mówi łagodnie. Kiedy

podnosi na mnie niebieskie oczy, zaczynają trząść mi się ręce. Zaciskam je w pięści.

Patrzę mu prosto w oczy i mówię:

— Nigdy bym tego nie cofnęła. Ja też cię kocham. Tak bardzo!

— Przepraszam, że byłem taki głupi. Powinienem... powinienem był to zrobić już dawno.

Potrząsam głową.

— Nie, wcale nie.

Kładzie mi dłonie na ramionach i podchodzi bliżej. Patrzy mi prosto w oczy i przyciska czoło do mojego czoła.

— Musiałem — mówi. — Nie mogę cię stracić. Proszę, powiedz, że nie odejdziesz... — Opuszcza spojrzenie na moje usta. Czuję na nich jego palący wzrok.

Ta chwila zaważy na wszystkim — to, co teraz powiem, wszystko zmieni. Zrezygnowałam, żeby móc być ze mną. Rzucił pracę. Tak bardzo się z tego cieszę... a zarazem przepelnia mnie poczucie winy. Jestem wypalona uczuciowo — rozdarta przez koszmary, troski i żale. Nigdy dotąd tak się nie czułam — nie sądziłam nawet, że to możliwe. Ktoś, komu ufałam, odebrał mi wszystko. Zastanawiam się, czy naprawdę temu podołam — czy zdołam się pozbierać. Tak bardzo tego chcę! Chcę tego tak mocno, że czuję trawiący mnie od środka żar. Mam wrażenie, że płomienie liżą mi palce, nakazując działać — zarzucić Peterowi ręce na szyję i powiedzieć mu, ile dla mnie znaczy, a jednak... nie potrafię. Biorę wdech i spuszczam wzrok na jego pierś. Jest tyle powodów, a każdy z nich dźwięczy mi głośno w uszach, domagając się uwagi... i obiecując jedynie ból. Nie chodzi o to, że nie chcę z nim być, bo tak nie jest — chodzi o to, że wiem, z czym to się wiąże. Jakie konsekwencje pociągnie za sobą jego rezygnacja. Mogłabym teraz pozwolić mu, żeby zawiózł mnie do siebie — wpaść mu w ramiona i kochać się z nim do rana. Chciałabym pokazać mu, jak bardzo go kocham, jednak wszystko to w jakiś dziwny sposób mnie przeraża. Otworzyliśmy te drzwi — teraz nic nas już nie powstrzymuje, nic nie stoi na drodze, żebyśmy byli razem. A mimo to... tylko wyraźniej widzę przeszkody. Blizny palą mnie, całkiem jakby lada chwila miały zacząć krwawić. Nie jestem już tą dziewczyną, którą byłam kiedyś. Udawanie, że mogę znowu się taka stać, niczego nie zmieni. Teraz to wiem — nie możemy być razem, nie w taki sposób. Ta myśl mnie paraliżuje. W kącikach oczu czuję łzy — piekące, mokre — i otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale Peter kręci w milczeniu głową. Sposób, w jaki na mnie patrzy, sprawia, że serce mi krwawi, ale muszę to powiedzieć. Nie możemy być razem.

Peter cofa się o krok.

— Nie. Nie mów tego. Sidney, daj nam szansę.

— Nie mogę — szepczę. — Nie mogę być z tobą. Nie dam rady tak żyć, a

nie mogę cię pociągnąć za sobą w dół. Przepraszam. Wybacz mi. Tak bardzo mi przykro... — Zabieram książki i odchodzę; łzy mącą mi wzrok. Peter woła mnie, ale nie próbuje mnie dogonić. Patrzy tylko w ślad za mną — patrzy, jak odchodzi jego największa porażka.

Rozdział 23.

Nie wymawiałam jego imienia od wieków — nawet w myślach. To byłoby całkiem jak przyzywanie Deana i wszystkich złych wspomnień z okresu, kiedy z nim byłam. Ocieram wierzchem dłoni łzy.

Kiedy wychodzę, czuję na sobie wzrok Petera, ale nie oglądam się za siebie — nie mogę tego zrobić. Już i tak prawie zniszczyłam sobie życie — nie mogę teraz popsuć mu jego życia. Gdy docieram na półpiętro i odwracam się za siebie, Petera już tam nie ma. Nie słyszałam, kiedy wyszedł, nie słyszałam trzaśnięcia drzwi — wyszedł po cichu. Na myśl o tym chce mi się płakać jeszcze bardziej. Nic nie widzę przez te cholerne łzy!

Szperam w torbie w poszukiwaniu chusteczek i wszystko prawie leci mi z rąk. Kilka długopisów i gaz pieprzowy Millie wypadają na ziemię — zbieram je trzęsącymi się rękami. Mam ochotę rzucić się na trawę i krzyczeć — dlatego że za bardzo boję się przyszłości i dlatego że nie potrafię zapomnieć o przeszłości. Przełykam ślinę i oglądam się na schody. On znalazł odwagę, żeby spróbować, jednak jego ból był inny — mówię sobie. Nikt nie przywiązał go do krzesła i nie pokaleczył nożem. Nie naciskał ostrza mocniej, kiedy krzyczał — nie zabierał mu siłą tego, co chciał sobie wziąć. Nikt mu nic takiego nie zrobił. Jego ból jest inny — nie taki jak mój.

Nie mogę znowu wracać myślami do tego koszmaru, a tak właśnie by się stało, gdybym została z Peterem. Biorę kilka głębokich wdechów i staram się uspokoić. Przyjechałam tutaj samochodem i teraz muszę nim wrócić do akademika. Nie chcę mieć czerwonych oczu, bo wszyscy zaraz będą dopytywali, co się stało.

Wycieram łzy i idę chodnikiem. Niebo jest tak ciemne, że niemal czarne — księżyc jest schowany za chmurami. Łagodny powiew wiatru porusza liśćmi kilku drzew. Na drugim końcu alejki, obok akademika, widzę parę osób — większość kieruje się w stronę parkingu i swoich samochodów, garstka gra na boisku obok budynku w piłkę nożną. Jakiś chłopak bez koszulki rzuca piłkę. Patrzę, jak szybkuje ona przez niebo, a kiedy opada, czuję, że włoski na karku mi się jeżą — ktoś na mnie patrzy. Odwracam się, ale nikogo tam nie ma — chyba ostatnio nabawiłam się lekkiej paranoi. Rozglądam się dookoła, przypatrując się z napięciem ludziom, z których większość nawet nie zauważa mojej obecności — są zbyt daleko, oblani światłami reflektorów. Idę chodnikiem w cieniu, między dwiema latarniami; od grających w piłkę dzielą mnie dwa parkingi.

Pocieram kark i przyspieszam kroku — zostawiłam samochód po drugiej stronie ulicy, bo gdy przyjechałam, główny parking był pełny. Jeszcze raz oglądam się za siebie i zastanawiam, gdzie poszedł Peter. Zzerają mnie wyrzuty sumienia. Nie chciałam zranić tego człowieka. Boże, ta jego mina, kiedy powiedziałam „nie”... Sięgam do torebki w poszukiwaniu kluczy i przechodzę przez ulicę.

Schodzę z pasów na chodnik i idę do samochodu. Mam do przejścia jeszcze kilka miejsc parkingowych, ale jest pusto. Gdzie te cholerne kluczyki? Przyciskam torbę do piersi i intensywnie ją przeszukuję — panuje w niej straszny bałagan.

— Wyglądasz tak samo pięknie jak tego dnia, w którym uciekałaś.

Ten głos... Zamieram w bezruchu. Jeż mi się włoski na całym ciele. Rozglądam się w panice i prawie upuszczam torbę. Instykt samozachowawczy każe mi uciekać, jednak paraliżuje mnie strach. Nie. To nie może być Dean. Jakim cudem miałby tu trafić? A jednak to on. To ten sam głos, który nawiedza mnie w koszmarach — głos, którego nigdy nie zapomnę.

Nadal ani śladu kluczyków. Nagle jestem dojmująco świadoma każdego zaczerpniętego tchu i tego, że całe ciało pokrywa mi gęsia skórka — na widok Deana stojącego obok budynku przechodzą mnie dreszcze. Czuję dławienie w piersiach i zasycha mi w gardle. Chcę uciekać, ale nogi odmawiają mi posłuszeństwa.

Dean odpycha się od ściany i idzie w moją stronę.

— Chyba wypadaloby się przywitać? — zagaduje. — Mówię: „Cześć, Sidney”, a ty odpowiadasz: „Cześć, Dean”! Tak powinnaś zrobić.

Odzyskuję wreszcie głos.

— Co tu robisz? Jestem w Teksasie, tysiące mil od domu, ukryta w małej miejscinie w wielkim stanie!

Dean uśmiecha się do mnie tak, że aż przechodzą mnie ciarki. Ma tę samą minę co wtedy, gdy...

Odsuwam od siebie wspomnienia, ale tym razem nie poddają się łatwo. Nagle jestem tam znowu — cztery lata temu. Czuję na udzie dotyk noża. Dean mówi, że mam siedzieć cicho albo mnie potnie. Leżę bez ruchu, pozwalając mu na wszystko. Wraca kolejne wspomnienie — wyrывa mi się cichy szloch i szyję przeszywa mi palący ból. Zbyt wiele razy... Drżę i chcę sprawić, żeby wspomnienia zniknęły, ale teraz, kiedy Dean stoi tuż obok, nie potrafię.

— Ładne mi powitanie! Zawsze był z ciebie kawał suki, prawda? — Opuszcza wzrok na moje piersi i gapi się na nie zbyt długo, zanim znów zagląda mi w oczy. — Tak jak lubię. — Podchodzi do mnie i dotyka mojego przedramienia. Przesuwa palcem po skórze. Ze strachu dławi mnie w gardle, nie umiem wydobyć słowa — wraca tamten lęk, tamte groźby.

Stoimy kilka metrów od mojego samochodu. Torbę mam przewieszoną przez ramię. W pobliżu nikogo nie ma. Nie mogę. Nie mogę. Nie mogę — myślę gorączkowo, ale milczę. Trwam jak zaklęta w bezruchu.

Dean wędruje palcem w górę po moim ramieniu aż do szyi. Jego dotyk przyprawia mnie o mdłości. Dean odsuwa mój podbródek na bok i podnosi łańcuszek. Uśmiecha się perfidnie.

— Została ci blizna! — Patrzy mi w oczy i szczerzy się do mnie ze złą

uciechą. — To były dobre czasy, co, Colleli? — Cofa rękę i odchodzi o krok, a potem pociera podbródek i kręci głową. — Co za szkoda, że nie mamy teraz czasu. Chciałbym cię zerznąć tak jak zwykle, ale obiecałem twojemu bratu, że się z nim spotkamy, jak tylko cię znajdę. — Śmieje się do mnie złośliwie. Omiata wzrokiem moje ciało i czuję się tak, jakby gwałcił mnie wzrokiem. Wyciąga z kieszeni telefon i pisze do kogoś wiadomość, a tymczasem mnie wraca odrobina trzeźwego rozsądku.

— Mój brat tu jest?

Dean kiwa głową.

— Taa. Jakies gówniane rodzinne sprawy. Przyjechaliśmy, żeby zabrać cię do domu.

Otwieram usta i kręcę głową. Dlaczego? Czy samo spotkanie z Deanem nie jest dość straszne? Nie mogę znieść myśli o powrocie z Deanem i Samem do domu.

— Nic z tego, dupku — warczę. — Mieszkam tutaj i nie zamierzam się nigdzie stąd ruszać. — Mijam go i idę w stronę samochodu, ale Dean chwyta mnie mocno za ramię i przyciąga do siebie, tak że stoję teraz tuż przed nim.

— Obawiam się, że nie masz w tej sprawie nic do powiedzenia, ale podoba mi się, że nabrałaś pod moją nieobecność trochę charakterku. — Szarpie mnie, obracając tyłem do siebie. — To bardzo pasuje do twojej małej, jędrnej dupki.

Kopię go i próbuję się wyrwać.

— Puszczaj! Nigdzie z tobą nie pójdę!

Dean wybucha śmiechem i tylko mocniej ścisną mnie za ramię.

— Jakie to słodkie! Wydaje ci się, że twoje zdanie coś znaczy? Otóż nie. Wsiadaj do tego cholernego auta.

Kiedy podnoszę wzrok i widzę, gdzie mnie prowadzi, uginają się pode mną kolana — to ford explorer, którym jeździł; ten sam, w którym mi to robił. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa i upadam na ziemię. Torba spada obok i wszystkie rzeczy się rozsypują — ołówki, długopisy i papiery. Wiatr porywa kilka kartek i rozrzuca je po alejce jak wielkie płatki śniegu.

Otwieram szeroko oczy i rozchylam usta. Głos w mojej głowie każe mi krzyknąć, ale nie mogę wydobyć z siebie żadnego dźwięku — nie mogę zaczerpnąć tchu. Czuję się, jakby ktoś mnie kopnął w spłot słoneczny.

— Wstawaj i wsiadaj do tego pieprzonego wozu albo sam cię tam zawlokę!

— Dean próbuje mnie podnieść, ale leżę na ziemi bezwładnie niczym kukła. Dean szarpie mocniej i wykręca mi ramię. Kiedy krzyczę z bólu, grozi mi: — Złamię ci ją, przysięgam na Boga! Wstawaj i wsiadaj do auta!

Leżę bez ruchu.

Dean spełnia swoją obietnicę i wykręca mi rękę mocniej na plecy. Z gardła wydiera mi się okrzyk bólu — bólu, który mnie oślepia. Wbijam wzrok w ziemię. Ten potwór coś mówi, bełkocze coś, czego nie rozumiem. Puszczą mnie wreszcie,

ale palący ból w ramieniu nie ustaje.

Dean kopie mnie czubkiem buta i drze się na mnie.

— Zamknij się! Zaraz ktoś tu przyleci! — Łapie mnie za drugą rękę i ciągnie do góry, a potem zarzuca sobie mnie na ramię jak dziecko. Naprawdę zamierza wrzucić mnie do tego wozu...

Wpadam w szal. Wraca mi jasność umysłu, a wraz z nią gniew. Gryzę go w ramię — głęboko; czuję w ustach krew, ale nie przestaję, dopóki Dean nie zaczyna kląć głośno i nie rzuca mnie na ziemię. Upadam na plecy — przed oczami widzę białe plamy. Ramię przeszywa mi niewyobrażalny ból — milion razy gorszy niż wcześniej.

Krzyczę głośno — nieświadomie powtarzam w kółko:

— Zostaw mnie! Zostaw mnie! — A kiedy Dean próbuje mnie podnieść z ziemi, kopię go — i trafiam prosto w twarz.

— Ty pierdolona dziwko! — Trzyma się za policzek i drze się na mnie. — Zapłacisz za to! — Pochyla się znowu nade mną, a ja znowu go kopię, jednak tym razem on uskakuje, łapie mnie za kostkę i zaczyna ciągnąć w stronę wozu. Obracam się na brzuch i próbuję odpełznąć, ale tylko zdzieram sobie skórę na palcach.

— Zostaw mnie! Puszczaj! — krzyczę i próbuję mu się wyrwać. Nie wsiadę do jego samochodu, za nic w świecie! Jakimś cudem udaje mi się przekręcić znowu na plecy i kopnąć go w krocze, a kiedy mnie puszcza, obracam się z powrotem na brzuch i dopełzam do mojej torby. Znajduję kluczyki, jednak zanim udaje mi się wstać i dobiec do samochodu, Dean mnie dopada. Uderza mnie pięścią w skroń; kluczyki wypadają mi z ręki. Szlocham i krzyczę, z twarzą wysmarowaną smarkami i krwią. Dean trzyma mnie za głowę tak mocno, że nie mam szans się wyszarpnąć. Ugryzłam się w policzek i usta mam pełne krwi — czuję na języku jej żelazisty posmak.

Dean ma spocone czoło.

— Wsiądź do tego cholernego auta, a będę dla ciebie łagodny — syczy mi do ucha. — Podskocz jeszcze raz, a przejażdżka do domu będzie mniej niż przyjemna. Rozumiesz, co mówię, ty mała suko? — Jedną ręką trzyma mnie za brodę, a drugą wsuwa między moje nogi i chwyta mnie za krocze.

Instykt bierze górę — nie jestem już tą samą dziewczyną co cztery lata temu. Wolę umrzeć, niż pozwolić, by znowu mnie dotknął. Biorę zamach i uderzam go czołem w nos; słyszę, jak kość pęka z przyprawiającym o mdłości trzaskiem, i nagle wszędzie jest pełno krwi. Dean wydaje z siebie jęk, który brzmi jak zwierzęcy warkot, a ja biegnę przed siebie; nie mam pojęcia, co chcę zrobić, ale puszczam się pędem w kierunku budynku, w którym mamy angielski. W połowie drogi wpadam na Petera — i to dosłownie. Gdy kładzie mi dłonie na ramiona, próbując mnie uspokoić, krzyczę.

Peter mruży oczy, a kiedy widzi krew, jego twarz wykrzywia grymas gniewu. Jestem cała umazana krwią.

— Co się stało?

— On jest tutaj! Z tyłu, na parkingu! — Nie mogę złapać tchu.

Peter stawia torbę na chodniku i sięga po telefon; wybiera jakiś numer i czeka na sygnał, rozglądając się dookoła. Nie widzi ich, ale ja — tak. Zamieram w jego ramionach. Sam i Dean idą w naszą stronę. Peter ma na sobie spodnie od garnituru i koszulę. Przez torbę ma przewieszoną marynarkę — nie wygląda zbyt groźnie.

Sam i Dean uśmiechają się do siebie na nasz widok; Peter staje między mną a nimi.

— Co się dzieje? Który z was jej to zrobił? Sam rzuca mi pod nogi moją torbę.

— Koniec tego dobrego, Sidney. Idziemy. Bierz swoje graty i wsiadaj do wozu.

— Nigdzie z wami nie pojedę. — Ocieram twarz wierzchem dłoni.

— Nie pytam cię o zdanie — warczy Sam, rzucając mi ostrzegawcze spojrzenie.

— Ona nigdzie z wami nie pójdzie — potwierdza Peter.

Sam podchodzi do niego.

— Jestem jej bratem. Przejechałem kawał drogi, żeby ją zabrać do domu. Musi się zobaczyć z naszą matką. Coś mi się wydaje, że chyba nie poznała Deana.

— Ogląda się na przyjaciela i rechocze. — Pewnie wzięła cię za bandytę czy kogoś w tym stylu! Spuściła ci niezłe manto! Nie poznać swojego własnego chłopaka, dobre! — Odwraca się do Petera i zachowuje, jakby nigdy nic — jakby nic się nie stało, całkiem jakby coś takiego mogło się przydarzyć każdemu. Wyciąga rękę i daje mi znak, żebym szła z nim. — Chodź. Do domu długa droga.

— Jesteś jej bratem? — pyta Peter. Sam patrzy na mnie i kiwa głową. — A ty jej byłem? — Dean trzyma przy nosie koszulkę, próbując zatamować krwawienie.

— Taa, sam chyba słyszałeś, ciemniaku. — Dean zwraca się do Petera, ale patrzy na mnie — takim wzrokiem, jakby chciał mnie rozerwać na strzępy.

— Wynoście się stąd — mówi Peter głosem tak niskim, że brzmi jak warkot. Sztywnieją mu ramiona. — W tej chwili. — Nie mówi nic więcej. Dean parska śmiechem i zerka na Sama, a potem wraca wzrokiem do Petera.

— Bo co? — Staje między Samem a Peterem i pochyla się w naszą stronę.

— Postawisz mi dwóję? Och, a może ty lecisz na moją laskę? Jeśli tak, to wiedz, że ona jest moja — Sidney zawsze będzie moja. — Uśmiecha się do mnie obleśnie, a mnie krew w żyłach ścina lód. — Mówiła ci, jaka była z nas dobrana parka? Opowiadała, jak lubi się zabawiać?

Peter nie odpowiada. Ręce ma opuszczone po bokach i tylko nerwowe zaciskanie palców zdradza, jak bardzo jest wzburzony.

Dean przenosi wzrok na mnie i rzuca mi spojrzenie, od którego ogarniają mnie mdłości.

— A może już ją puknąłeś,
co? Peter milczy.

Sam jest wyraźnie wkurzony.

— Daj spokój, Dean. Nie chcę słuchać, co moja siostra wyprawia w łóżku.

— Strzela na mnie palcami jak na psa. — Chodź, ale już.

— I co, nic nie powiesz? — Dean uśmiecha się pod nosem i wciska palec w pierś Petera. — A może jesteś wściekły, bo nie chciała ci dać dupy? — Znów napiera na jego pierś, teraz mocniej.

Tym razem Peter reaguje — w dwóch susach dopada do Deana i łapie go od tyłu, zakładając mu blokadę na szyję. Syczy mu do ucha coś, czego nie słyszę, a Dean sięga rozcapierzonymi palcami do gardła i próbuje uderzyć napastnika łokciem w brzuch, jednak cios jest zbyt słaby, żeby Peter odpuścił.

— Co jest, do kurwy nędzy? — krzyczy Sam i rzuca mi spojrzenie, które znam aż za dobrze, mówiące: „To wszystko twoja wina!”. Uderza w bok Petera, który puszcza Deana, a potem obaj rzucają się na niego.

Drę się jak opętana i nie mogę przestać. Gracze na boisku przerywają mecz i patrzą w naszą stronę. Sam i Dean mają przewagę nad Peterem. Nie wiem, co robić. W naszą stronę biegnie kilku chłopców z boiska. Peter wyprowadza cios w twarz Sama; słychać chrzęst i Sam zatacza się w tył, wydając z siebie jęk, jednak Dean nie daje za wygraną. Trzyma w ręku nóż — ten sam przeklęty nóż, którym mnie zranił! Peter dostrzega go i się wycofuje, Sam zaś podchodzi do Deana i mówi mu, żeby przestał, jednak on go nie słucha. Bierze zamach i o mały włos nie trafia Petera.

Nie, nie, nie! Moja torba leży na chodniku i mój wzrok pada na srebrny cylinder, który Millie dała mi dziś rano. Podbiegam do torby i podnoszę go z ziemi. Jestem tak bardzo roztrzęsiona, że ledwie udaje mi się wymacać nakrętkę — to gaz pieprzowy. Wstrząsam pojemniczkiem i podbiegam do walczących Deana i Petera.

Peter mnie widzi. Pryska bratu w twarz, a on krzyczy i zaczyna trzeć oczy, przeklinając mnie i wyzywając od najgorszych. Kiedy Dean się odwraca, żeby sprawdzić, co się stało, jego także częstuję porcją gazu. Dean krzyczy, sięgając do twarzy, zgina się w pół i upuszcza nóż. Posyłam ostrze kopnięciem do kratki ściekowej i chwytam Petera mocno za koszulę.

— Zawieź mnie do domu — mówię. — Szybko! — Sięgam po torbę, a Peter zabiera swoje rzeczy i biegniemy do jego samochodu. Obok nas przebiega bez słowa kilku piłkarzy. Rozpoznaję Marka. Na widok mojej twarzy umazanej krwią otwiera szeroko oczy, a potem je mruży. Sięga po telefon — widzę jeszcze, jak

mówi coś do słuchawki...

Rozdział 24.

Peter oddycha ciężko i zaciska kurczowo ręce na kierownicy. Oddalamy się od kampusu.

— Boli cię?

Opieram głowę o zagłówek i zaciskam powieki. Kiwam głową.

— Tak. Ramię. Chyba mi je wywichnął.

— Wytrzymaj jeszcze minutkę, dobrze? Zaraz się tym zajmiemy. Dam ci coś przeciwbólowego i zadzwonimy ode mnie po policję. — Wjeżdża na parking i pomaga mi wejść po schodach. Ma rozcięty policzek, ale rana nie wygląda zbyt groźnie. Za to ja... wyglądam jak siedem nieszczęść.

Kiedy Peter widzi mnie w świetle lamp, prawie dostaje zawału.

— Cała jesteś zakrwawiona!

— Większość z tego to nie moja krew. Chyba złamałam mu nos. — Pocieram czoło. Boli mnie głowa. Czuję się, jakby ktoś miażdżył mi mózg w imadle. Jesteśmy już w mieszkaniu Petera. Stoję w jego salonie i dygocę ze strachu — wciąż jeszcze panikuję, chociaż jestem już bezpieczna.

Peter podaje mi tabletki przeciwbólowe, a kiedy je połykam, wyjaśnia mi, co zamierza zrobić z moim ramieniem — to może zaboled. Mówię mu, żeby to zrobił, i krzyczę, kiedy nastawia mi bark.

— Bolało tak samo, jak kiedy mi je wykręcił! — skarżę się i rozcieram ramię ze łzami w oczach.

— Co się stało? — Peter delikatnie gładzi dłońmi moją twarz i ramiona. Jest taki czuły! — Co on ci zrobił? Czy...

— Nie — szepczę. Wreszcie puls zaczyna mi zwalniać. — Straszyl mnie i próbował zaciągnąć do samochodu siłą, bo nie chciałam z nim iść po dobroci.

Peter gładzi mnie po głowie.

— Postawiłaś mu się. Dzielna dziewczynka. — Bierze głęboki wdech i sięga po telefon. — Zadzwonię na policję.

Wyciągam rękę i powstrzymuję go:

— Nie, nie rób tego.

Peter patrzy na mnie, zaskoczony.

— Sidney, musimy to zgłosić!

— Ale Sam nic nie zrobił — to był Dean — tłumaczę.

— Sam stanął w obronie nie tej osoby, co trzeba. Nie jesteś mu nic winna.

— To mój brat. Peter, proszę... Pozwól mi to przemyśleć. Nie chcę teraz podejmować decyzji. Proszę, nie. Jeszcze nie teraz.

Przygląda mi się przez chwilę i w końcu kiwa głową.

— Pozwól, że cię obejrzę. — Bierze w dłonie moje ręce i przygląda się paznokciom — kilka jest połamanych, niektóre zdarte do żywego mięsa. Obraca

moje dłonie wnętrzem do góry i patrzy na zadrapania. Kiedy podnosi na mnie wzrok, jego oczy przepelnia poczucie winy. — Nie powinienem był zostawiać cię samej...

— Nie wiedziałeś.

— Powinienem był... — urywa, kręci głową i się odwraca. Siadam na kanapie — zmęczenie daje mi się we znaki. Peter idzie do łazienki i wraca z apteczką i ręcznikami. Oddycha ciężko i nie patrzy mi w oczy. Bierze moją dłoń i obraca ją delikatnie wnętrzem do góry. Jego dotyk sprawia, że czuję się znacznie lepiej.

Mam zamglony wzrok, ale w końcu udaje mi się skupić na jego twarzy. Rana na policzku jest głęboka — wygląda jak rozcięcie od noża. Patrzę na jego dłonie — też są pokancerowane. Chcę mu powiedzieć tyle rzeczy... Wyjaśnić, dlaczego wcześniej powiedziałam „nie” — nawet gdybym już nigdy nie spotkała Deana, musiałabym się z tym gryźć przez resztę życia.

— Peter, jeśli chodzi o naszą dzisiejszą rozmowę... — zaczynam.

— Nie ma o czym mówić — wchodzi mi w słowo. — Rozumiem. W porządku. — Polewa ranki na dłoniach wodą utlenioną, a ja krzywię się z bólu. Głos Petera jest zimny, jakby naprawdę nie chciał o tym rozmawiać, więc nie nalegam. Kiwam głową. Co za tchórz ze mnie! Po chwili Peter pyta: — Dlaczego chcieli, żebyś wróciła z nimi do domu?

— Nie wiem. Nie powiedzieli nic oprócz tego, że przysłała ich moja matka.

Peter kiwa powoli głową, zajmując się moją drugą ręką.

— Chcesz wrócić?

Patrzę na niego, jakby to była najgłupsza rzecz, o jaką mógł zapytać.

— Nie! Nigdy w życiu!

— Nawet pomimo tego, że to twój brat? Zamieram.

— Mój brat sądzi, że lubię ostry seks i że sama się o to prosiłam. Nie wierzy, że Dean mnie zranił — nie wierzy, że mnie wykorzystał. — Zaciskam mocno szczęki. Robię się agresywna — nie wiem dlaczego. Czuję się tak, jakby to Peter wypowiedział słowa, które usłyszałam od Deana — nie umiem się opanować. — Czy właśnie tak sobie myślisz? Sądzisz, że mi się to podobało? Że sama tego chciałam? — Ramiona tak mi sztywnieją, że wyszarpuję ręce z uścisku Petera. Wstaję i idę na korytarz, sama nie wiedząc, co chcę zrobić. Mam ochotę krzyczeć.

Peter wychodzi za mną.

— Wiem, że to nieprawda, Sidney — mówi łagodnym, kojącym głosem. — Wiem to. Chciałbym móc to zmienić — chciałbym móc ukoić twój ból. Czasami rodzina pomaga, to wszystko. Chciałem się upewnić, że wiesz, co robisz.

Spoglądam na niego gniewnie.

— Pieprz się! — Cała aż się trzęsę z wściekłości. — Sądzisz, że nie wiem,

co czuję? Sądzisz, że szłam spać każdego wieczoru, kiedy to się działo, i nie zastanawiałam się, czy tylko sobie tego nie uroiłam? Czy to nie była moja wina? Przez długi czas tak myślałam — bardzo długo byłam pewna, że to ja go sprowokowałam. To właśnie dlatego wciąż mi to robił i za każdym razem było gorzej niż poprzednio. Pozwalałam mu się gwałcić, ciąć i przypalać. Raz za razem. A moi rodzice go uwielbiali! Nie stanęli w mojej obronie! Mój własny brat mi nie uwierzył, więc nie udawaj, że wiesz o mnie cokolwiek, bo nie wiesz nic! Nie masz pieprzonego pojęcia! — krzyczę. Zaciskam dłonie w pięści i nie potrafię — nie chcę się powstrzymać. Nie chcę tego, ale nie umiem przestać. Peter wbija wzrok w podłogę — nie chce mi spojrzeć w oczy. Z całej siły staram się przestać trząść — mam mięśnie napięte do granic możliwości. Muszę się opamiętać! Muszę się opanować, ale nie mogę! Czuję, jak otwierają się stare rany i ból niemal mnie zabija. Drżą mi wargi, przygryzam je, ale drzenie nie ustaje. W gardle wzbiera mi szloch. Odwracam się od Petera — nie zniosę tego dłużej. Nie mogę znieść myśli o tym, że tak mnie postrzega — to właśnie dlatego mu odmówiłam. Dlatego go odtrąciłam. Nieważne, co zrobię, jakaś częśćka mnie zawsze będzie o tym pamiętać. Ukrywam twarz w dłoniach i staram się powstrzymać łzy.

Peter staje za mną i dotyka delikatnie mojego ramienia.

— Nie wiem, przez co przeszłaś — mówi cicho, odwracając mnie ostrożnie w swoją stronę. — Nie mam pojęcia. Nie rozumiem tego. Nie chcę nawet udawać, że...

Wbijam wzrok w jego pierś, w jego zakrwawioną koszulę i sięgam ku niemu, zanim w ogóle dociera do mnie, co robię. Obejmuję go w pasie i wtulam się w niego. Peter przyciąga mnie do siebie; tuli mnie w ramionach i pozwala mi się wypłakać. Pozwala mi wylać wszystkie żale nad tym, co utraciłam, nie składa próżnych obietnic, że pomoże mi naprawić coś, na co nie ma wpływu. Szlocham w jego szeroką pierś, a on obejmuje mnie mocno.

Wsluchuję się w bicie jego serca — równy, miarowy rytm uspokaja mnie. Otwieram usta i zamykam je kilka razy, aż wreszcie zbieram się na odwagę i pytam:

— Czy mogę dziś u ciebie zostać na noc?

Boję się, że powie „nie”. Boję się, że zepsułam wszystko i że on mnie już nie chce, ale Peter odpowiada łagodnie:

— Jasne. — Gładzi mnie po głowie i tuli, dopóki nie oswobadzam się z jego objęć, a potem daje mi ręcznik i wysyła pod prysznic. Kładzie na szafce w łazience swoją koszulkę i mówi: — Nie mam damskich ciuchów, ale to chyba wystarczy?

Kiwam głową, a on wychodzi z łazienki, zostawiając mnie samą.

Rozdział 25.

Kiedy leżę w łóżku, nozdrza wypełnia mi zapach Petera. W pokoju jest ciepło i cicho. Peter zasypia, tuląc mnie w ramionach. Jego cichy, spokojny oddech sprawia, że czuję się bezpiecznie — odpędza wspomnienia dzisiejszych wydarzeń, ale one wciąż wracają. To dlatego nie mogę zasnąć. Boję się zamknąć oczy — nie chcę tego rozpamiętywać.

Leżę na plecach, z ramieniem Petera przerzuconym przez brzuch. Jestem taka zmęczona! Słucham jego oddechu, patrzę na wznoszącą się i opadającą spokojnie pierś. Peter śpi w samych spodniach od piżamy, więc leniwie prześlizguję się wzrokiem po jego mięśniach. Zastanawiam się, jak to jest — być samotnym, a potem trafić na taki wrak człowieka jak ja.

Peter jest dla mnie za dobry, za miły. Wyznał mi miłość, a ja ją odrzuciłam. Wierci się i przekręca na bok. Kładzie między nami rękę — jest teraz zwrócony biodrami do mnie. Wędruję wzrokiem po jego ciele i zatrzymuję się na białej szramie na boku, zachodzącej na plecy. Na jej widok czuję w żołądku chłód i ciężar. On także przez coś przeszedł — to nie jest blizna pooperacyjna, o, nie. Jest na to zbyt poszarpana i nierówna.

Kiedy tak mu się przyglądam, Peter otwiera nagle oczy i uchwytuje mój wzrok. Mruga kilka razy.

— Jeszcze nie śpisz? — pyta.

— Nie. — Teraz, kiedy się obudził, zaczynam się denerwować — w moim życiu panuje taki chaos, że czuję, iż nie ma w nim dla niego miejsca, a jednak...

Peter rozkłada ramiona i mówi:

— Chodź do mnie.

Nie protestuję. Przytulam się do niego i kładę głowę na jego piersi. Przytula mnie mocno. Jest taki ciepły, taki silny... Przymykam oczy i pozwalam mu głaskać się po głowie. Mruczę, a on się uśmiecha.

— Podoba ci się?

— Mmm — mamrocę tylko. Powoli odpływam. Nozdrza wypełnia mi jego zapach. Całym sercem chcę z nim zostać, ale biję się z myślami — istnieje tysiąc powodów, dla których nie powinniśmy być razem, i jeszcze więcej obaw o to, że go zranię. Co za ironia — leżę z nim w jego własnym łóżku i nie mam ochoty się z nim kochać. Nic nie czuję. Żadnego łaskotania w brzuchu, zupełnie nic.

— Przestań myśleć — szepcze Peter. — Śpij.

— Dlaczego sądzisz, że...

— Możesz tylko mruczeć. — Głaszcze mnie mocniej i rzeczywiście — umiem się zdobyć tylko na mruczenie i lekki chichot. Czuję się dziwnie, słysząc własny śmiech, ale to miłe uczucie. — Widzisz? Całkiem nieźle ci idzie.

Mamrocę coś pod nosem i wtulam się mocniej w Petera, a on głaszcze

mnie, dopóki nie zapadam w sen.

Kiedy otwieram oczy, nie mam pojęcia, gdzie jestem. Zrywam się gwałtownie, przyciągając do piersi prześcieradło. Peter leży obok i mruga, próbując się obudzić. Odwracam się i patrzę na niego — obudziłam go! Znowu! Która jest godzina? Rozglądam się w poszukiwaniu zegarka.

— Już po dziewiątej! — Spóźniłam się na poranne zajęcia. Przerzucam nogi przez krawędź łóżka i próbuję wstać, ale Peter łapie mnie za rękę.

— Zostań ze mną — prosi.

Z nerwów dławi mnie w gardle — o to samo poprosiłam go ja zeszłego wieczoru. Zastanawiam się nad tym, co powinnam zrobić, ale jakiś głos w głowie krzyczy, że powinnam uciekać. To nie w porządku. Wszystko znów popsuję.

Ta noc znaczyła dla mnie tak wiele! Peter zatroszczył się o mnie, obronił mnie. Gdyby nie on, byłabym już teraz pewnie w Tennessee.

Uśmiecham się do niego, a on odpowiada uśmiechem.

— No dobra. — Kładę się z powrotem, ale wciąż jestem zdenerwowana. Dzisiaj wszystko dociera do mnie ze zdwojoną mocą — to, że leżę w jego łóżku, obok niego, jego zapach. Próbuję o tym nie myśleć, odegnać od siebie złe przeczucia, które niepostrzeżenie mnie ogarniają. Podciągam prześcieradło pod brodę. — No to... jakie mamy na dzisiaj plany?

Peter podnosi brew.

— Przede wszystkim chcę, żebyś wiedziała, że cieszę się, że nic ci się nie stało, i sądzę, że powinnaś zadzwonić na policję. Jednak ponieważ wiem, że tego nie chcesz, uważam, że powinniśmy napić się kawy.

Blednę. Czy on sobie stroi żarty?

— Słucham? — udaje mi się wykrztusić.

Peter patrzy na mnie dziwnie, a potem wybucha śmiechem.

— Nie! Nie to miałem na myśli! Mówię o zwykłej kawie, w kubku, takiej normalnej. — Uśmiecha się do mnie, a potem wyciąga rękę i wsuwa mi za ucho niesforny kosmyk. — Co o tym sądzisz?

— Nie mam nic przeciwko, o ile rzeczywiście masz na myśli picie kawy. — Ja także się do niego nieśmiało uśmiecham. Kiedy na niego patrzę, mój wzrok wędruje do blizny na biodrze.

Uśmiech Petera znika bez śladu.

— Całkiem o tym zapomniałem — mamrocze. Odwraca się na plecy, skrywa twarz w dłoniach i pociera ją przez chwilę. — Domyślam się, że chcesz wiedzieć, co się stało?

— Może troszeczkę...

Kładzie się z powrotem na boku i odkrywa prześcieradło, odsłaniając poszarpaną szramę.

— Chciałbym, abyś coś mi o sobie opowiedziała.

Sposób, w jaki to mówi, sprawia, że zaczynam się martwić, jednak mimo to chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia.

— Śmiało, pytaj.

— Zeszłego wieczoru powiedziałaś coś... coś o tym, że twój były chłopak cię zranił. Nie wiedziałem o tym. — Patrzy mi w oczy i gładzi mnie po policzku.

— Jeżeli nie chcesz o tym rozmawiać...

— Nie ma zbyt wiele do opowiadania. Jest pokręcony. Związał mnie i kazał mi być cicho — ten pierwszy raz. Chyba go w jakiś dziwny sposób do tego zachęciłam — najpierw uznałam, że to może być... zabawne? Nie wiedziałam, co zamierza, i to było na swój głupi sposób ekscytujące. Zazwyczaj po tym, jak mnie krępował, całował mnie, ale pewnego dnia... nie zrobił tego. Zachowywał się inaczej. Przejechał mi nożem po biodrze i powiedział, że jeśli zacznę krzyczeć, potnie mnie. — Uciekam wzrokiem w bok. Nie mogę spojrzeć Peterowi w oczy. — Pewnego dnia posunął się dalej. Wsadził mi rękę w majtki i przystawił nóż do gardła. Przestraszyłam się. Pisnęłam, a wtedy on... — Biorę głęboki oddech.

— Nie musisz mi o tym opowiadać, jeśli nie chcesz.

— Właściwie to nigdy nikomu o tym nie opowiadałam. Nawet moi rodzice nie znają całej prawdy. — Wzruszam ramionami. Z nerwów ściska mnie w żołądku. — Może kiedy komuś się z tego zwierzę, będzie mi lżej.

Peter uśmiecha się do mnie smutno, całkiem jakby wiedział, co mam na myśli.

— Zranił mnie — wskazuję bliznę na szyi — tuż pod gardłem, z prawej strony obojczyka. — Biorę głęboki wdech i wyrzucam z siebie: — A twoja blizna? Skąd ją masz?

— Od noża. To też była rana od noża. — Peter milknie na dłuższą chwilę, a potem mówi: — To było tego wieczoru, kiedy się oświadczyłem. Klęczałem przed Giną, a ona zasłoniła usta rękami. Była naprawdę zaskoczona i uśmiechała się od ucha do ucha. Spojrzała na mnie i na pierścionek w mojej dłoni. Rozmawialiśmy. Nie odpowiedziała mi jeszcze... — Kiedy to mówi, jego wzrok staje się zamglony. Niemal widzę w jego oczach powracające wspomnienia. — Nagle poczułem pod żebrami ostry ból. Ktoś mi wyrwał pierścionek. Byliśmy obserwowani — to oni to zrobili. Facet, który mnie dźgnął, przekreślił nóż — dlatego rana jest taka poszarpana.

Wstrzymuję oddech i łzy stają mi w oczach.

— O mój Boże, Peter...

Przez chwilę oboje milczymy, aż wreszcie Peter pyta:

— Chcesz usłyszeć resztę historii?

Nie wiem dlaczego, ale kiwam głową. Peter patrzy mi w oczy.

— Czy to dlatego boisz się seksu? Po tym wszystkim, co ci się przydarzyło?

Czuję, że się rumienię. Otwieram usta i zamykam je, nie wiedząc, co

powiedzieć — chcę odruchowo zaprzeczyć. Chcę coś powiedzieć, cokolwiek, ale nie mogę. Patrzę tylko na niego w milczeniu, zastanawiając się, co powinnam powiedzieć — czy mogę mu zdradzić, jaka ze mnie idiotka. Dean mnie zmienił i nie potrafię sobie wyobrazić, żebym mogła z powrotem być normalna. Nawet tego wieczoru, kiedy poznałam Petera, nie potrafiłam zachowywać się zwyczajnie.

Próbuję się uśmiechnąć, ale niezbyt mi to wychodzi.

— Nie boję się samego seksu — to znaczy nie tego, co się wydarzy. Boję się, że to mi się nie spodoba. Boję się, że pogrążę się we wspomnieniach, zamiast być tu z tobą.

— Serio? Kiedy tak obok ciebie leżałem, nie wiedziałem, czy tego chcesz, czy nie. Wiedz jednak, że bardzo mnie pociągasz. — Peter uśmiecha się do mnie. Patrzy mi głęboko w oczy i czuję, że mogę mu wszystko powiedzieć.

— Teraz czuję się inaczej. Nigdy nie pragnęłam niczego bardziej niż twoich pocałunków albo dotyku twoich rąk. Kiedy myślę o innych rzeczach... — Wstrząsa mną dreszcz i kręcę głową. Zaciskam nerwowo usta i patrzę na niego. — Nie wyobrażam sobie, żebym znowu mogła się tak poczuć. A skoro ostatni raz był taki straszny... skąd mam wiedzieć? Co będzie, jeśli znowu popełnię ten sam błąd? Co, jeśli... jeśli mnie zranisz? — pytam niepewnie.

Peter bierze moją rękę i podnosi ją do swoich ust. Całuje wewnątrz mojej dłoni i zagląda mi głęboko w oczy.

— Nigdy, przenigdy cię nie zranię, Sidney.

— Jak możesz być tego pewien? Dean też na początku taki nie był. To znaczy...

Peter ujmuje moją dłoń i patrzy mi głęboko w oczy.

— Jestem tego pewien, uwierz mi. Nie jestem taki. Tacy ludzie rzadko się trafiają. To nie była miłość, Sidney. On cię wykorzystywał.

Słowa więzną mi w gardle i nieco zbyt gwałtownie kiwam głową.

— Jesteś w stanie to udowodnić?

Kręci głową.

— W żaden sposób poza pokazaniem ci, jak bardzo mi na tobie zależy. Kocham cię. I zaczekam, aż będziesz gotowa — jak długo zechcesz. Nie musimy się kochać — nie od razu. Nie, jeśli nie będziesz tego chciała.

Czuję w gardle dziwne dławienie. Nie potrafię spojrzeć Peterowi w oczy.

— Nigdy nie będę gotowa — odpowiadam piskliwie.

— W takim razie będę czekał całą wieczność. — Uśmiecha się do mnie, nachyla się i całuje mnie w nos. Patrzę mu w oczy, trzepocę rzęsami i uśmiecham się do niego.

— Zrobię dla ciebie, co zechcesz. Tylko nie pozwól mi odejść.

Rozdział 26.

Chyba naprawdę potrzebowałam snu, bo budzę się kilka godzin później. Peter rozmawia z kimś za drzwiami sypialni. Szyba jest chropowata i wpuszcza do środka niewiele światła. Przeciagam się i wstaję. Bolą mnie dłonie — zapomniałam zupełnie, że są poranione, a pulsujący ból daje mi znać, że dzisiaj będę miała kiepski dzień — cała jestem obolała.

Przecieram oczy i podchodzę do drzwi. Przez chwilę obserwuję stojącego na korytarzu Petera — przyciska do ucha telefon i mówi cicho:

— Wiem, co to oznacza. — Milknie i odsuwa z oczu ciemne kosmyki. Brwi ma ściągnięte. — Nie, nie tylko o to chodzi. Czy poznałaś kiedyś kogoś, przy kim miałaś wrażenie, że znacie się od lat? Kiedy na mnie patrzy... Sądzę, że los nie bez powodu nas ze sobą zetknął, że moje życie nie było tak gówniane bez celu. Nie mogę jej zostawić. Nie, nie liczę na to, że zrozumiesz — chciałem po prostu, żebyś wiedziała, że to nie był zwykły kaprys. — Potrząsa głową, całkiem jakby było mu nie w smak to, co mówi jego rozmówca. — Nie, nie wrócę, ale dzięki, tak czy siak. Przyjdę później, żeby zabrać z biura swoje rzeczy. — Rozłącza się i rzuca telefon na stolik.

Czuję się podle — podsłuchiwałam go! Peter widocznie wyczuwa moją obecność, bo odwraca się do drzwi.

— Hej! Jak samopoczucie? — pyta.

Uśmiecham się słabo i podchodzę do niego.

— Chyba ciut lepiej. Dzięki, że mogłam u ciebie zostać. — Patrzą na niego, zastanawiając się, z kim rozmawiał. Wydaje się nieco roztrzęsiony. — Wszystko w porządku?

Patrzą mi w oczy i przez chwilę milczy, aż wreszcie bierze głęboki wdech i mówi:

— Chcą, żebym wrócił.

— Kto taki? — Patrzą na niego niepewnie. Właściwie to już wiem, ale chcę mieć pewność.

— Uczelnia. Rozmawiałem ze Strickland. Powiedziała, że nie przyjmuje mojej rezygnacji i że popełniam błąd. — Przeczesuje włosy palcami i masuje sobie kark. Wzdycha i patrzy na mnie.

Ogarnia mnie poczucie winy, aż mnie skręca. Nie prosiłam o to — nie chcę rujnować mu kariery.

— Chyba jesteście sobie bliscy...? — Zastanawiam się, dlaczego rozmawiał z nią tak otwarcie.

Przytakuje.

— Byliśmy na tej samej uczelni. Zanim się tu przeniosła, byłem u niej na stażu. To ona mnie poleciła. Byłem jej asystentem. Dobrze ją znam, bo sporo z nią

pracowałem. To dzięki niej dostałem tę robotę. Poręczyła za mnie, kiedy władze uczelni szukały kogoś na stanowisko Tadwicka. — Peter krzyżuje ręce na piersiach. Podnosi na mnie wzrok i dodaje: — Przyjaźniliśmy się — jeszcze zanim to się stało...

Mój wzrok spoczywa na jego żebrach, na bliźnie pod białym podkoszulkiem. Patrzę Peterowi w oczy i kiwam głową.

— Powinieneś wrócić — mówię, a on się śmieje, całkiem jakby uważał, że żartuję. — Mówię poważnie, Peter. Nie mogę ci tego robić. Nie...

— To nie twoja wina, tylko jakiegoś dupka z Nowego Jorku. Ktoś, kogo nawet nie znaleźli, skradł mi całe moje życie. To nie byłeś ty. Skoro już o tym mowa, dzięki tobie odzyskałem je z powrotem. — Wzdycha i podchodzi do mnie, bierze mnie za rękę i ciągnie na kanapę. Idę posłusznie za nim, czując się dziwnie naga w samej koszulce. Siadamy, a Peter patrzy na mnie poważnie. — Chcę wiedzieć, co sądzisz o wczorajszym wieczorze.

Cała aż się jeżę.

— Nie zamierzam dzwonić na policję — zaczynam, ale przerywa mi, kręcąc głową. Ujmuje moją dłoń i kładzie ją sobie na kolanach.

— Nie to miałem na myśli. Czy nie chciałabyś... — Jednak zanim kończy zdanie, ktoś łomocze do drzwi. Wiem, kto to, zanim jeszcze słyszę głos: — Otwieraj te pieprzone drzwi! Wiem, że ona tam jest! — woła Sam.

Peter patrzy na mnie, a potem z powrotem na drzwi. Walenie ustaje i zapada cisza. Od drzwi dzieli nas kilka metrów. Peter wstaje i wygląda przez wizjer, a potem wraca.

— To twój brat — informuje mnie, całkiem niepotrzebnie. — Chcesz, żebym go wpuścił? — głos więźnie mu w gardle. Rozwiera i zaciska nerwowo palce.

— Nie ma z nim Deana? — pytam, a Peter kręci głową. Nie wiem, co robić. Nie chcę rozmawiać z Samem, ale muszę go przekonać, żeby zostawił mnie w spokoju. — Zaczekaj chwilę — mówię i wstaję. Zakładam džinsy i wygładzam włosy. Wiem, że to może źle wyglądać, ale nie obchodzi mnie, co sobie pomyśli mój brat. Sam znów wali w drzwi. Kiwam Peterowi głową, a on naciska kłamkę. Kiedy drzwi się otwierają, pięść Sama zawisa w powietrzu.

Peter łypie na niego gniewnie.

— Jeżeli znów spróbujesz ją skrzywdzić, skopię ci tyłek.

Sam uśmiecha się pod nosem.

— Jak wczoraj? O ile dobrze pamiętam, to moja siostra ocaliła ci dupę. Peter przestaje być miły — widzę, jak coś w nim pęka. Zamiast odpowiedzieć, łapie Sama za gardło i przyciska do ściany. Syczy mu do ucha coś, czego nie mogę dosłyszeć. Sam otwiera szeroko oczy i robi się czerwony. Brakuje mu tchu. Peter rozluźnia uścisk i zamyka z trzaskiem drzwi, a potem krzyżuje ręce

na piersiach i mówi do mnie:

— Dwie minuty. Macie dwie minuty na rozmowę.

Sam boi się Petera — widzę wyraźnie, że mu się to nie podoba i że nie chce ze mną przy nim rozmawiać, ale nie ma wyjścia.

— Przepraszam za Deana — mówi.

— Nie przepraszaj. Nie mam ochoty tego słuchać. Czego chcesz? — rzucam ostro. Stoimy naprzeciwko siebie. To mój brat bliźniak. Kiedyś byliśmy sobie tak bliscy... Znał moje myśli i wiedział, co czuję, ale to się bezpowrotnie zmieniło. Zamiast mnie wybrał swojego głupiego kumpla. Krzyżuję ramiona na piersiach i patrzę mu prosto w oczy, ale on odwraca wzrok i zerka na Petera. — Słucham.

Sam wbija wzrok w moje stopy i milczy.

Kątem oka widzę Petera — zaciska nerwowo szczękę, aż drżą mu mięśnie.

— Minuta — mówi.

Sam robi skrzywioną miną.

— Minuta jeszcze nie minęła! O co ci chodzi?

— Mam to gdzieś. Tracisz tylko czas. — Peter rzuca mu złe spojrzenie. Sam wreszcie zaczyna mówić i tłumaczy mi, dlaczego po mnie przyjechał:

— Mama jest chora. Poważnie. Prosiła, żebyś przyjechała. Obiecałem jej, że cię odnajdę i przywiozę. Nie mogę wrócić bez ciebie. Proszę, siostrzyczko... Ona... umiera.

Nie chcę dopuścić do siebie jego słów, ale bezskutecznie. Opuszczam ręce wzdłuż ciała.

— Kiedy to się stało? Co jej jest?

Sam przechyla głowę na ramię i patrzy na mnie jak na debila.

— Pisałem do ciebie. Pogorszyło jej się kilka miesięcy temu. Znalazłem cię w okolicach Gwiazdki w zeszłym roku. Wiedziałem, że coś jest nie tak, ale nie chciałem, żeby mama poczuła się gorzej. Kiedy zaczęła o ciebie pytać, napisałem do ciebie z prośbą, żebyś przyjechała, ale mnie złałaś.

Przyglądam mu się uważnie. Jego twarz zdradza emocje, z którymi próbuje walczyć.

— Nie czytałam twoich listów.

— Dlaczego, do kurwy nędzy?

Łypię na niego gniewnie.

— Naprawdę chcesz znać odpowiedź? Dla mnie jesteście martwi — wszyscy! Nie chcę mieć z wami nic wspólnego! Dlaczego, do jasnej i ciężkiej, bujasz się dalej z Deanem? Spójrz, co mi wczoraj zrobił — spójrz tylko! — Podnoszę ręce, żeby dokładnie je sobie obejrzał — całe są poranione. — A to nic w porównaniu z tym, co mi zrobił wcześniej! Jak mogłeś go tu sprowadzić?

— A ty cały czas o tym?

— Jasny gwint! — Peter wchodzi mi w słowo i zagląda Samowi w oczy.

Cały aż się gotuje. — Czy naprawdę jesteś aż tak głupi? Spójrz tylko na swoją siostrę i powiedz mi, że podoba jej się, że wczoraj tak ją potraktował! Powiedz to, dupku! No, dalej! — Trąca go w ramię, ale Sam nie reaguje. Nie wiem, co mu wcześniej powiedział, ale mój brat wygląda na wystraszonego.

Zerka na mnie niepewnie.

— Po prostu... wróc ze mną — mamrocze, a potem odwraca się na pięcie i odchodzi bez słowa. Peter zatrząskuje za nim drzwiami. Kiedy Peter na mnie patrzy, mam wrażenie, że zaraz się rozpłaczę. Nie wiem, dlaczego i czy w ogóle go obchodzi. Jednak łzy nie płyną — wylałam ich już zbyt wiele. Wracam do pokoju i opadam ze znużeniem na kanapę. Jest mi niedobrze.

— Dlaczego? — pytam rozżalona. — Dlaczego tu przyszedł i mi o tym powiedział? Nie mogę tam wrócić... Nie mogę się z nimi spotkać. Nie po tym wszystkim, co się wydarzyło — mamroczę do siebie, a do głowy przychodzi mi tysiąc powodów, dla których nie powinnam jechać do domu.

Mija kilka chwil, zanim Peter siada koło mnie. Gapię się przed siebie pustym wzrokiem. Nie wiem, co robić. Nie wiem dlaczego.

— Zadaj sobie tylko jedno pytanie, Sidney — mówi Peter. — Czy będziesz żałowała, jeżeli nie pożegnasz się z własną matką?

— Nie wiem. Nie mogę się z nimi spotkać. Nie przeżyję spotkania z nimi, z Deanem i...

— Pojadę z tobą. — Podnoszę na niego wzrok, zaskoczona. — Chyba nie sądzisz, że pozwolę ci się z nimi znowu spotkać? — pyta. — Z tymi...

— Co mu powiesz?

Peter uśmiecha się krzywo i kręci głową.

— To już nie twój problem. Spokojna głowa. Wczoraj się powstrzymałem — nie chciałem ich skrzywdzić. Nie chciałem, żebyś zamartwiała się bardziej niż to konieczne. Ostrzegłem Sama, że mu nie odpuszczę. Nie pozwolę, żeby ktoś cię zranił — nie przy mnie.

Jego oczy są tak niebieskie...

— Nie chcę już tak żyć — mamroczę pod nosem. — Chcę być normalna... — Ukrywam twarz w dłoniach. Nie wiem, co robić. Jakaś część mnie chce jechać — moja matka nigdy wcześniej nie dała mi do zrozumienia, że mnie potrzebuje. Jeśli naprawdę sytuacja jest poważna, powinnam jechać z nimi, ale nie mam pewności, czy Sam mnie nie oszukuje.

Peter otacza mnie ramieniem i przyciąga do siebie.

— Nie żądam od ciebie nic w zamian.

Jego słowa mnie zaskakują. Przeżył swoje. Siadam prosto i zaglądam mu w oczy.

— Zrobiłbyś to dla mnie?

Kiwa głową.

— Bez mrugnięcia okiem.

— Dlaczego? — Patrzę na niego z otwartymi ustami. Nie mogę znieść samej siebie. Dałabym wszystko, żeby tylko być kimś innym. Żeby być normalną dziewczyną. Czuję się jak liść na wietrze, miotany jego podmuchami zbyt długo — jestem rozdarta. Nie jestem już sobą, a jedynie splątany, zagmatwanym kłębkim nerwów. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam się z powrotem pozbierać.

Patrzę Peterowi w oczy — nie mam pojęcia, czy wie, w co się pakuje, ale on uśmiecha się do mnie i dotyka mojego policzka.

— Nie zamieniłbym tego na nic. Wiem, kim jestem — wiem, co jest dla mnie ważne. To, co mi się przydarzyło, zmieniło mnie, ale nie postąpiłbym inaczej. Nie odpuściłbym. — Pochyla się i szepcze mi do ucha: — A nawet gdybym zyskał drugą szansę, nie postąpiłbym inaczej, bo dzięki temu nasze drogi się spotkały.

Odwaga Petera daje mi siłę. Nie wiedziałam, co on myśli. Nigdy bym nie przypuszczała, że dzięki niemu odzyskam własne życie — nie po tym, jak zostało mi ono w tak brutalny sposób odebrane.

Nagle już wiem, co powinnam zrobić. Uciekanie nic tu nie da. Moja przeszłość i tak mnie odnajdzie — prędzej czy później. Nigdy nie będę wolna — nigdy, chyba że pogodzę się z cierpieniem, o którym powinnam zapomnieć.

Muszę wrócić do domu i stawić czoło przeszłości.

Spis treści

Rozdział 1.
Rozdział 2.
Rozdział 3.
Rozdział 4.
Rozdział 5.
Rozdział 6.
Rozdział 7.
Rozdział 8.
Rozdział 9.
Rozdział 10.
Rozdział 11.
Rozdział 12.
Rozdział 13.
Rozdział 14.
Rozdział 15.
Rozdział 16.
Rozdział 17.
Rozdział 18.
Rozdział 19.
Rozdział 20.
Rozdział 21.
Rozdział 22.
Rozdział 23.
Rozdział 24.
Rozdział 25.
Rozdział 26.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



- 1. ZAREJESTRUJ SIĘ**
- 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI**
- 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ**

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA

 **Helion SA**

SIDNEY I PETER.

PIĘKNA DZIEWCZYNA I WYJĄTKOWY MĘŻCZYNA.

Oboje pełni temperamentu i wdzięku. Spotykają się przypadkowo, na randce w ciemno, która początkowo układa się jak zabawna komedia pomyłek z happy endem... który niestety nie następuje. Zamiast namiętnego finału Sidney otrzymuje kolejnego kopniaka w tyłek. Na tym rozczarowaniu sprawa się nie kończy. Już wkrótce okazuje się, że ten piękny mężczyzna, bosko zbudowany i silny, a przy tym inteligentny i wrażliwy, jest wykładowcą akademickim, a ona jego asystentką, a także — co gorsza — studentką.

Byłoby łatwiej, gdyby Sidney nie ściągały demony przeszłości i gdyby Peter nie nosił w sobie bolesnych wspomnień o śmierci i rozstaniu. Oboje czują, że nie są sobie obojętni — łączy ich więź silniejsza od bólu i strachu. Miłość, którą przyjmują z niedowierzaniem, będzie jednak wymagać odwagi, woli i mocy. Najpierw trzeba stawić czoła przeszłości, aby móc rozpocząć budowę wspólnego szczęścia.

Oto pierwszy tom historii Sidney i Petera, która zachwyca setki tysięcy czytelników. To zaledwie początek opowieści o dwojgu młodych ludziach, o narastającym pożądaniu, radości żywiołowego tańca, ciepłe młodzieńczej przyjaźni, ale i strachu przed cieniami, które wciąż powracają. Ta wciągająca powieść sprawi, że każdą kolejną kartkę będziesz odwracać z niepokojem i niecierpliwością...

H.M. WARD — jest niekwestionowaną królową niezależnych publikacji cyfrowych. Jej powieści sprzedały się w milionach egzemplarzy. Jako pisarka odniosła wielki sukces, co skrupulatnie odnotowały takie periodyki jak „New York Times”, „USA Today” czy „Forbes”. Z wykształcenia jest teologiem, z zawodu fotografką, a z zamiłowania autorką pasjonujących historii. Ward urodziła się w Nowym Jorku, a dziś mieszka w Teksasie wraz z rodziną.

 **editio red**

 **Księgarnia internetowa:**
<http://editio.pl>

 **Zamówienia telefoniczne:**
0 801 339900
 **0 601 339900**

Sprawdź najnowsze promocje:

- 🔗 <http://editio.pl/promocje>
- 📖 Książki najchętniej czytane: <http://editio.pl/bestsellery>
- 📰 Zamów informacje o nowościach: <http://editio.pl/nowosci>

Helton SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny wyłącznie na:
ebookpoint^{PL}



ISBN 978-83-283-3088-7



Cena 34,90 zł